

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 Zł (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

www.slaskgtl.pl

Nr 11 (288) • ROK XXVI • LISTOPAD 2019



METAFIZYKA
W KULTURZE

ISSN 1425-3719



9 771425 391707 11



W słoneczny, jasny dzień bryła opuszczonego szpitala w Raciborzu zdaje się zapraszać amatorów dawnej architektury do swoich pomieszczeń, jednak mało kto chciałby zapuścić się w labirynty szpitalnych korytarzy po zmroku. O opuszczonym po powodzi z 1997 roku, ponad stuletnim gmachu, w Raciborzu krążą mrozące krew w żyłach miejskie legendy.

Szczegóły str. 19



Wśród pól w Dąbrówce Wielkiej, dzielnicy Piekar Śląskich, w rejonie wzgórza 304,7, znaleźć można przedwojenne polskie schrony bojowe, tworzące jeden z pierwszych punktów oporu słynnego zespołu fortyfikacji, jakim jest Obszar Warowny Śląsk. Twierdza, w jaką zamienili wzniesienie polscy sztabowcy, miała chronić pobliską granicę, jednak dziś sama potrzebuje ochrony ze strony entuzjastów militarnych zabytków.

Szczegóły str. 52



Likwidacja Gliwickiego Teatru Muzycznego, kontynuującego wieloletnie tradycje Operetki Śląskiej, doprowadziła – paradoksalnie – do utworzenia na Śląsku kilku lokalnych teatrów i teatrzyków, prezentujących z dużym powodzeniem spektakle operetkowe i musicalowe. Wzbudzają one duże zainteresowanie publiczności. O jednej z takich wartościowych inicjatyw kulturalnych piszemy w artykule „Uskrzydleni zapaleńcy”.

Szczegóły str. 74

Muzeum Historii Katowic, Dział Teatralno-Filmowy wraz z Wydawnictwem Naukowym „Śląsk” zapraszają miłośników poezji w dniu **12 grudnia 2019 (czwartek) o godz. 18.00,** do Działu przy ul. M. Kopernika 11 w Katowicach na wieczór poetycki poświęcony

TADEUSZOWI KIJONCE

Liryki opublikowane w tomie zatytułowanym *Wiersze wigilijne*

czyta **ARTUR ŚWIĘS**

Po kilkumiesięcznej przerwie wznowiony zostaje cieszący się dużym powodzeniem cykl spotkań pod hasłem „Salon sztuk” z udziałem poetów, artystów plastyków i aktorów. Grudniowe, specjalne spotkanie, poświęcone będzie zmarłemu ponad 2 lata temu wybitnemu poecie Tadeuszowi Kijonce.

Znakomity aktor Teatru Śląskiego Artur Święs, laureat Złotych Masek, bardzo lubiany przez poetę, przeczyta jego utwory z ostatniego tomu „Wiersze wigilijne”, opublikowanego przez Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”. Spotkanie z udziałem rodziny i przyjaciół Tadeusza Kijonki poprowadzi dyrektor artystyczny Fundacji ORFEO im. Bogusława Kaczyńskiego – Krzysztof Korwin-Piotrowski.

Nr 11 (288). Rok XXVI. LISTOPAD 2019

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztuka

ANNA GAUDY-PIĄTEK Korekta

Stali współpracownicy:
EWA BARTOŚ
MAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
RYSZARD JASNORZEWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
WOJCIECH LIPOWSKI
JULIA MONTEWSKA
JAN MIODEK
KATARZYNA NIESPOREK
JERZY PASZEK
DARIUSZ PIETRUCHA
BOGNA SKWARA
HENRYK SZCZEPAŃSKI
JOANNA WARONKA
AGNIESZKA ZIELIŃSKA

ADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.pl

DTP: Tomasz Kowalski
tomekk1959@tlen.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty:
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”
na terenie całego kraju. Bezpośrednio
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGŻ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490

Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wska-
zany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Egzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56

Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1800 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 *Tadeusz Sierny* OD REDAKTORA
4 *Agnieszka Zielińska* PŁANETNIKI, STRZYGI I WĄPIERZE
6 *Agnieszka Zielińska* WOLNOMULARZE NA ŚLĄSKU I W ZAGŁĘBIU
10 *Arkadiusz Gardaś* WICCA: MISTERIUM I MAGIA ZA ZASŁONĄ CODZIENNOŚCI
11 *Arkadiusz Gardaś* WSPÓŁCZESNA CZAROWNICA ROZMOWA Z AGNI KEELING
16 *Stefan Gierlotka* SZKOLNICTWO GÓRNICZE NA GÓRNYM ŚLĄSKU
19 *Ireneusz Witek, Marek Poprawa* CZY TUTAJ STRASZY?
20 *Katarzyna Niesporek* CZARNE MIASTO O ŚLĄSKIM WIERSZU TADEUSZA RÓŻEWICZA
23 *Henryk Szczepański* EDWARD CZERNICHOŃSKI. SZKIC DO PORTRETU PEDAGOGA
26 *Grzegorz Grzeszkowiak* OBRONA POŁUDNIOWEJ RUBIEŻY W STYCZNIU 1919 ROKU
29 *Krystyna Heska-Kwaśniewicz* PRZYWRÓCONA PAMIĘĆ
30 *Ks. Henryk Pyka* MIĘDZY DWIEMA OJCZYZNAMI
39 *Dominika Tkocz* Z PERSPEKTYWĄ SAMORZĄDOWĄ
40 *Aleksander Nawarecki* PORTRETY HUMANISTÓW. PROFESOR ELŻBIETA HURNIK
46 *Piotr Zaczkowski* KSIĄŻKA O ŚMIERCI
48 *Andrzej Jarczewski* RANDKA ESPERANTYSTÓW
49 *Antoni Wilgusiewicz* MUZEUM OSTATNIEJ NADZIEI
50 ŚLĄSKIE TAJEMNICE *Julia Montewska* PAŁAC W PANKOWIE
52 HISTORIE PACHNĄCE BETONEM *Dariusz Pietrucha* WZGÓRZE 304,7 - ARCHITEKTO-
NICZNY EKSPERYMENT
58 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* TRZY TOMY SZTUKI INTERPRETACJI
74 *Zbigniew Lubowski* USKRZYDLENI ZAPALEŃCY
77 *Małgorzata Lichecka* OSTATNIA WIELKA POLSKA SAGA
80 *Aneta Weisło* ZAGŁĘBIOWSKA MEDIATEKA
82 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* SONETY KRYMSKIE STANISŁAWA MONIUSZKI?!
88 *Radosław Kobierski* PLANETA ARS

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 32 *Tadeusz Sierny* ŚNIALNIA, CZYLI ONEIRON
34 *Radosław Kobierski* TWARZE PRZYSZŁOŚCI
69 GALERIA: *Krzysztof Szłapa* WIDOKÓWKI Z MIASTA WE MNIE

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Leszek Szaruga* LIMES
14 *Leszek Szaruga* WIERSZE
44 *Marcin Halaś* WIERSZE
56 *Daniel Orzadowski* RYŻY UMARŁ

TEATR

- 78 *Wojciech Lipowski* W POSZUKIWANIU WIECZNEJ MIŁOŚCI

FELIETONY

- 37 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSzcZYZNA. *Jan Miodek* ONDRASZKU, ONDRASZKU...
38 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* O ABSENCJI ŚMIERCI W KULTURZE
WSPÓŁCZESNEJ
73 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* KOMPOZYTORKA ROZRZUTNA

KSIĄŻKI

- 61 *Marian Kisiel* CZYTANIE SZUBERA
62 *Paulina Imiela* KASZALOT
64 *Piotr Skowronek* JAK PLANUJE SIĘ ZBRODNIE?
65 *Andrzej Juchniewicz* WIDMA ZAGŁADY
66 *Jerzy Paszek* A(R)MATORZY GOMBROWICZA
67 *Andrzej Jarczewski* KAPUŚCIŃSKI FICTION
68 *Tadeusz Sierny* OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA I ZNISZCZENIA

NOTATNIK KULTURALNY

- 84 CZĘSTOCHOWA, KATOWICE

Na okładce:

Anna Korusiewicz, olej na płótnie.

Ostatnia strona okładki:

Cmentarz Centralny w Gliwicach, 1 listopada 2019.

Fot. z drona: Patryk Bródka i Rafał Grzegorz.

Od Redaktora!

Redaktor Marek Czyż prowadzący dyskusję panelową podczas międzynarodowej konferencji zorganizowanej w Zabrze, poświęconej wojnom i konfliktom w Europie Środkowej i ich aspektem społecznym oraz kulturowym, niestety bezskutecznie próbował przekonać dyskutantów, by rozważyli możliwość funkcjonowania ludzkości, człowieka – bez plagi wojen. Wszyscy polemisi do tak sformułowanej tezy odnieśli się wyjątkowo sceptycznie, dowodząc, że np. w historii Europy trudno znaleźć taki okres, w którym by nie toczyły się jakiegokolwiek wojny, włącznie z XX i XXI wiekiem.

Czy zatem prowadzenie wojen jest immanentną cechą rodzaju ludzkiego? Czy nie potrafimy rozstrzygać ciągle odradzających się konfliktów w bardziej „cywilizowany” sposób?

Rzymianie powiadali: *Inter arma silent musae* (Podczas wojny milczą muzy). Biografie naszych twórców – K.K. Baczyńskiego, W. Broniewskiego i in. poniekąd zaprzeczają tej tezie. Dlatego uprawnionym wydaje się być temat kolejnej konferencji, która tym razem odbyła się w gościnnych progach Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego, poświęconej „Obrazowi Powstań Śląskich i Plebiscytu w edukacji, historiografii, kulturze i przestrzeni publicznej”.

Ta tematyka, chociaż postrzegana z nieco innej perspektywy, była także domeną wypowiedzi i dyskusji podczas odbywającej się w szacownej Sali Sejmiку w Gmachu Sejmu Śląskiego Międzynarodowej Konferencji poświęconej ocenie historycznej Powstań Śląskich i Plebiscytu na Górnym Śląsku.

Konferencje naukowe, popularnonaukowe, imprezy artystyczne, muzyczne, wystawy – wszystkie te dzia-

łania uświetniają rocznice Powstań Śląskich, przypominają nam wszystkim o heroizmie i bohaterstwie pokoleń naszych dziadków i pradziadków.

Ale gdy minie czas świętowania rocznic, przyjdzie nam w 2022 i następnych latach podsumować dorobek owych zaledwie kilku mijających lat, to obyśmy nie pozostali z jedynie bogatym spisem wspaniałych uroczystości. Każde pokolenie powinno wzbogacić dorobek już zawarty, ukryty w kapitale kulturowym, jaki dane mu było zastać.

Jest w Katowicach piękny pomnik Powstań Śląskich, symbolizujący w trzech skrzydłach zrywy powstańcze na Górnym Śląsku, w Warszawie stanął wreszcie pomnik Wojciecha Korfantego – śląskiego polityka na miarę ówczesnej Europy. To trwałe znaki naszej pamięci.

Czyż nie nadszedł już czas, by w Katowicach w miejsce nieszczęśliwie zlikwidowanego Śląskiego Instytutu Naukowego stworzyć Instytut Naukowy im. Wojciecha Korfantego, krocząc drogą wytyczoną przez zaradnych Poznańców, którzy ocalili swój Instytut Zachodni?

Instytut Badań Regionalnych Biblioteki Śląskiej, kierowany obecnie przez prof. dr hab. Ryszarda Kaczmarską, funkcjonujący dzięki skromnym środkom wyodrębnionym z budżetu naszej Książnicy, jego prace i dorobek – są dowodem na wielką potrzebę stworzenia takiej odrębnej placówki naukowej zajmującej się najważniejszymi dla naszego regionu problemami badawczymi.

Czyż już nie nadszedł czas, by na półki naszych bibliotek i księgarń trafiły obok już tam istniejących zbiorów dzieł Ojców Niepodległości: J. Piłsudskiego, W. Witosa, R. Dmowskiego – dzieła zebra- ne, wybitnego chadeka, wicepremiera

w rządzie odrodzonej Rzeczypospolitej, Dyktatora III Powstania Śląskiego, męża stanu, śląskiego polityka o europejskim prestiżu Wojciecha Korfantego. Przekłady na język polski jego przemówień w Reichstagu i pruskim Landtagu z czasów od roku 1904 do 1918 zostały już opublikowane przez Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” w 2012 roku, zatem czekają jeszcze na zintegrowaną publikację przemówienia w polskich izbach parlamentarnych, jego przebogata publicystyka, liczna korespondencja i pamiątki oraz inne dokumenty dotyczące tej historycznej postaci (np.: niemieckie i czeskie raporty policyjne, raporty z przesłuchań przez polską policję, dokumentacja z procesu przed sądem marszałkowskim itp., itd.).

Na publikację oczekują wspomnienia dziś już nieżyjących Powstańców Śląskich, liczne antologie zarówno profesjonalnej jak i nieprofesjonalnej twórczości literackiej, plastycznej, muzycznej, opracowania prasy i dorobku polskich dziennikarzy ówczesnej prasy śląskiej, archiwalia powstańcze przechowywane w różnych miejscach.

Pięknym zwieńczeniem rocznicowego trzylecia byłaby nowa edycja *Encyklopedii Powstań Śląskich*, a w roku 2020, w trzydziestą rocznicę pierwszych wolnych wyborów do rad gmin edycja (prawie gotowej w wersji elektronicznej w IBR BŚI): *Encyklopedii Samorządowego Województwa Śląskiego*.

Realizacja tych i wielu innych, podobnych inicjatyw zgłaszanych podczas trwających obchodów rocznicowych (np. Panteonu Śląskiego) byłaby trwałą, na wieczne czasy pamiątką pozostawioną naszym następcom przez nas – współczesnych mijającemu stuleciu Powstań.

Tadeusz Sierny

LIMES

doszło między nami do wymiany
słów ty wymieniałeś moje
na euro i dolary ja twoje
na obole

spotkamy się na końcu języka
lodowca w epoce zmartwychwstałych
mamutów

powrócą pterodaktyle oraz
narodzą się klasycy
neomistycyzmu zaś dezserterzy
wszystkich armii świata
zaatakują system

będą eksplozje mieszejają się
czasy i tryby
przypuszczające zdominują
centralę

będziemy mówić jeden
przez drugiego będziemy gryźć
dolary i rozmieniać obole
na ziarnka piasku pustynie
porosną mchem

pterodaktyle będą zapraszać
mamuty
do tańca zaś planeta
zwiększy obroty będzie
się kręcić coraz szybciej

będziemy spadać na wszystkie
strony wszechświata i nucić
prastarą melodię
ludzkości

linia horyzontu
zaciśnie się
na gardłach



Leszek Szaruga, ur. 1946 w Krakowie, poeta, prozaik, tłumacz, eseista. Jeden z głównych przedstawicieli pokolenia 68. Wydał osiemnaście zbiorów wierszy, pięć tomów prozy, siedem tomów krytycznych. Laureat Nagrody Kościelskich (1986) oraz paryskiej „Kultury” (1999).

Płanetniki, strzygi i wąpierze

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Jak wskazuje archeolog prof. Włodzisław Szafranski, człowiek jest zwierzęciem świadomym swej śmierci i świadomości tego faktu odnajdujemy w ludzkiej mentalności od czasów najdawniejszych. Aby śmierć oswoić i zaakceptować kruchość ludzkiego życia, stworzono cały świat bogów, demonów i innych zjawisk nadprzyrodzonych oraz towarzyszących im zabiegów magicznych. Nawet zjawisko kanibalizmu powszechne w epoce paleolitu służyło najprawdopodobniej przedłużeniu ludzkiego żywota.

Słowiańskie demony, podobnie jak istoty w mitologii greckiej pierwotnie traktowano w sposób ambiwalentny, stanowiły zarówno pozytywne, jak i negatywne określenie tego co nadludzkie. Demony były i groźne, i dobrotliwe (jako takie pełniły np. funkcję duchów opiekuńczych). Mogły przyczynić się do zyskania przez człowieka bogactwa i władzy, ale też do utraty zdrowia, a nawet życia. Często pełniły także funkcje strażników, chroniących określone terytorium (np. ostępy leśne, akweny wód lub rzek). Część demonów było związanych z żywiołami wody (utopce, in. topielce; wodniki) zy powietrza (płanetniki,

in. chmurniki). Takie demony najczęściej przedstawiano w postaci półludzkiej i półzwierzęcej. Ponadto wiele wyobrażeń demonicznych odwołuje się do postaci, które na ogół są człowiekowi życzliwe, a szkodzą mu jedynie w słusznym gniewie (np. Skarbnik). Muzeum Miejskie „Sztęgarka” w Dąbrowie Górniczej kilka lat temu prezentowało wystawę słowiańskiego *Bestiariusza*.

– Tematyka legend słowiańskich jest u nas jednak stosunkowo mało znana, w szkole omawiamy mity greckie, fantastykę Tolkiena. Jeśli o chodzi o słowiańskie wierzenia, mamy tylko m.in. prozę Andrzeja Sapkowskiego. Dlatego staram się przemycić do moich książek trochę legend słowiańskich (jest w *Utopcach*, czy wydanych w 2019 r. *Rodzanicach*). Jeśli jesteśmy na wsi, blisko natury, te wierzenia są bardziej uwidocznione, bardziej żywe. W mieście jesteśmy bardziej od tego oderwani – tłumaczy Katarzyna Puzyńska, pisarka kryminałów.

Prześledźmy zatem mitologiczne demony, dobre duszki i inne stwory z wierzeń słowiańskich. W panteonie bogów znajdziemy tu przede wszystkim Peruna, bóstwo nieba i piorunów, którego można byłoby utożsamiać z gromowładnym Zeusem. Jego symbolem był dąb – nic dziwnego, że właśnie dęby były powszechnie czczone przez ludność w Europie Środkowo-Wschodniej.

Opiekunką zajęć kobiecych była Mokosz utożsamiana z kultem płodności, urodzaju i Wilgotnej Matki Ziemi. Ważnym demem Słowian była Mamuna (Dziwożona), postać zamieszkująca nad jeziorami. Stare pokraczne kobiety o obwisłych piersiach podmieaniały matkom ich dzieci. Podrzutki były złośliwe, brzydkie i niedorozwinięte. Dlatego niemowlętom wiązano na rączce czerwone wstążeczki, nie wolno było dzieci pozostawiać też bez opieki ani prac pieluch w rzece po zachodzie słońca. Z kolei Mara to dusza opuszczająca ciało śpiącego (bez jego wiedzy), albo zmara męcząca człowieka we śnie. Mary mogły być też duszami zmarłych. Natomiast znany z wierzeń na ziemiach polskich Odmieniec wabił nieszczęśników pod postacią pięknego wierzchowca, a człowiek który, na niego wsiadł zostawał porwany w nieznanne. Rodzanice opiekowały się Rodem, czyli losem człowieka i jego dołą.

– „Słowianki wzywały je w czasie porodu, aby zmniejszyły cierpienia i pomogły w narodzinach zdrowego dziecka. Rodzanice miały też rozstrzygać o losie człowieka zaraz po jego narodzinach. Słowianie wierzyli, że w noc po urodzeniu dziecka zjawiają się u niego trzy Rodzanice, przepowiadając los dziecka, przypieczętowały też fatum, składając na czole dziecka niewi-

Jacek Malczewski, *W tumanie*





Jacek Malczewski, *Boginka w dziewczannach*

dzialny znak. Aby je ułaskawić, przygotowywano im poczęstunek” – podkreśla Leszek Matela w publikacji *Tajemnice Słowian*.

W gronie złych duchów trzeba wskazać Babę Jagę, ale nie tę z chatki piernikowej, znanej z bajek dla dzieci. Słowiańską Babę Jagę przedstawiano jako kościstą, przerażającą staruchę, która potrafiła latać na moździerzu, miotle, a nawet na kotłach czy garnkach. Potrafiła rzucać uroki, znała się na ziołach, rozumiała mowę zwierząt, które jej służyły. Baba Jaga była groźnym demonem pożerającym ludzi, zwłaszcza młodych. Zwabiała ich do siebie, by później zamordować i zjeść. Krwą ludzi miały też żywić się strzygi (groźne demony żeńskie, duchy osób tragicznie zmarłych). Wyobrażano je sobie jako czarne ptaki lub upiorne kobiety. Podobnie wampierze (in. wampierze, lub wampiry). Były to duchy ludzi niegodziwych. Także żmij (zły demon, przeciwnik bóstwa nieba, żyjący w korzeniach drzewa życia) mógł porwać i pożreć ludzi. Strach przed pożarciem i unicestwieniem człowieka (jego śmiercią) mógł mieć też inne podłoże.

– „Już najdawniejsze szczątki praczłowieka australopiteka i pitekantropa noszą na sobie ślady kanibalizmu. Ludożerstwo towarzyszyło odtąd dalszemu rozwojowi kultury ludzkiej społeczeństwa pierwotnego, występując licznie także w obozowiskach musterskich łowców środkowo-paleolitycznych” – wylicza Włodzimierz Szafrąński w *Prahistorii religii na Ziemiach Polskich*.

Ślady kanibalizmu znaleziono np. w jaskini w Krapinie w północnej Chorwacji, gdzie ujawniono połupane i nadpalone kości neandertalczyków. Także we Włoszech w Monte Circeo znaleziono czaszkę neandertalczyka z wyraźnie powiększonym otworem w części potylicznej, który wykonano, by... zjeść mózg. To zdaniem Włodzimierza Szafrąńskiego można interpretować jako chęć spożycia pokarmu dającego nieśmiertelność jak u bogów olimpijskich.

(na ziemiach polskich nie ujawniono takich przypadków). W epoce brązu i wczesnego żelaza nasi przodkowie palili szczątki zmarłych, umieszczając w urnach popielnicowych lub bezpośrednio prochy wysypując do ziemi. Dopiero później pojawiły się groby szkieletowe. I tu nie brak praktyk, świadczących o tym, że ludzie bali się, by zmarli nie wrócili z grobu, stając się strzygami, czy wampirami (na wzgórzu Zamkowym w Będzinie ujawniono w latach 90. ub. wieku np. dwa pochówki wczesnośredniowieczne z praktykami antywampirycznymi. Groby były najpewniej ponownie otwierane, szkielety były bowiem nienaturalnie ułożone, a twarz i klatka piersiowa przywalone kamiennymi płytami). Jak wskazuje jednak zagłębiowska archeolog Katarzyna Sobota-Liwoch, na każdym cmentarzysku znajdowany jest pewien odsetek grobów odmiennych od innych, ze zwyczajami pogańskimi.

– „Dawni Słowianie uważali, że z demonami można walczyć na różne sposoby. Niekiedy wystarczyło zaklęcie – tak jak przeciwko demonom wodnym – wodnikom, na wampiry skutecznym był czosnek. Przeciwko boginkom używano dzwonek i konwalii, podczas, gdy aby zwalczyć latawce, duchy wywołujące wiry powietrzne trzeba było używać ostrych narzędzi jak siekiera czy nóż. Przede wszystkim starano się jednak żyć w zgodzie ze światem duchów, zostawiając im pożywienie, kwiaty, czy róż-

nego rodzaj dary. Pojawienie się chrześcijaństwa nie położyło kresu dawnej wierze. Wiele z nich przetrwało w legendach, powiedzonkach, czy porównaniach używanych w języku współczesnym” – tłumaczy Leszek Matela. ■

Konsultacja: Arkadiusz Rybak, dyrektor Muzeum Miejskiego „Szttygarka” w Dąbrowie Górniczej



Witold Pruszkowski, *Niebezpieczne piękno*

Wolnomularzami byli cesarze Prus, Francji, Rosji, a także prezydenci Stanów Zjednoczonych; a jeśli chodzi o Polaków: król Stanisław August Poniatowski, młody Adam Mickiewicz, autor tekstu hymnu narodowego Józef Wybicki. Być może także Tadeusz Kościuszko. Pojawia się nawet teza, że gdyby wykluczyć członków ruchu masoniiego w XVIII i XIX w. na ziemiach polskich w ogóle nie byłoby patriotów. Także w wieku XX z masonerią (in. sztuką królewską) na ziemiach polskich związana była elita: lekarze, artyści, politycy, naukowcy. Prof. Ludwik Hass, historyk i badacz ruchu masoniiego, wskazuje, że w XIX w. wolnomularze stopniowo porzucali upodobanie do nastrojów mistycznych („światowy spisek”) i nauk tajemnych jak szukanie kamienia filozoficznego czy eliksiru życia – na rzecz myślenia pozytywistycznego i humanitaryzmu. Rezygnowano też z tzw. obrzędku dawnego, gdzie stopni wtajemniczenia było blisko 90, wprowadzając mniej rytualny obrządek szkocki (ok. 30 stopni). W wieku XX wolnomularze stali się pragmatykami.

Związany z Instytutem Historii PAN prof. Ludwik Hass (1918–2008) problematykę masonerii badał przez blisko pół wieku i napisał na ten temat kilkadziesiąt pozycji. Rozważania „spisku światowego”, za który rzekomo mieli odpowiadać wolnomularze, kwituje stwierdzeniem: „gdzie świadkowie milczą, rdzą się legendy”.

Z kolei inny badacz dziejów nowożytnych skarżył się, że „nie dowiemy się pełnej prawdy o dziejach najnowszych, pokąd nie otworzą się archiwa jezuitów, masonerii i Rothschildów”. Choćby bowiem znaczna część XVIII-wiecznych ksiąg dotyczących ruchów masoniiego w monarchii habsburskiej (obejmowała prawie całą ówczesną Europę) została zniszczona w pożarze w Wiedniu na początku XX w. Zachowane do naszych czasów europejski dokument z XVIII w. prezentuje np. kobierzec, na którym odbywało się nadanie stopnia mistrza (trzeci stopień wtajemniczenia), przedstawiał m.in. ołtarz z utworzoną księgą Ewangelii, grobowcem wraz z dawnym hasłem mistrza „Jehova”, trupa głową, skrzyżowanymi piszczałkami i gałęzią akacji.

– Samo istnienie stowarzyszenia bądź stowarzyszeń tajnych, będących przedmiotem nieprzemijającego, nadzwyczaj intensywnego zainteresowania opinii publicznej i publicystyki, zarazem skrajnie kontrowersyjnie ocenianych, jest dla historyka wystarczającym powodem, by zwrócić na nie uwagę – stwierdza Ludwik Hass w publikacji *Wolnomularstwo w Europie Środkowo-Wschodniej w XVIII i XIX w.*

Już w XVIII w. przeciwko masonerii bullę wystosował papież Klemens



Ci, którzy uprawiali sztukę królewską

Wolnomularze na Śląsku i w Zagłębiu

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

XII (członkowie masonerii byli obłożeni ekskomuniką Kościoła katolickiego), w XIX w. papież Pius IX nazwał masonerię „synagogą szatana”, krytykował ten ruch także papież Leon XII, nazywając masonów „synami diabła”. Z kolei na Śląsku przeciwko masonerii występowali w XIX w. katolicki pisarz i dziennikarz Karol Miarka oraz w 1926 r. późniejszy prymas Polski ks. biskup metropolita katowicki August Hlond, podnosząc argumenty, że poza wrogością do chrześcijaństwa „masoneria to konspiracja zagraniczna, której na Polsce nic nie zależy, ale która potężnej Polski nie chce”. Prześledźmy jednak idee ruchu od początku.

Wszystko zaczęło się od cechu murarskiego

Jak podkreślał prof. Ludwik Hass i dr Leon Chajm, stowarzyszenia wolnomularskie są inicjacyjnymi (wtajemniczającymi) zrzeszeniami zorganizowanymi wielostopniowo. Przyjęcie do nich oraz sukcesywne zaznajamianie człowieka z zasadami i celami ruchu dokonuje się przez udzielanie pouczeń będących wtajemniczeniami, kolejno na ucznia, czeladnika i mistrza. Podstawową jednostką organizacyjną wolnomularstwa jest łożo. Łoże jednego kraju lub jego części łączy się w związek, zrzeszenie, centralę, pod nazwą Wielka Łoża lub Wielki Wschód.

Członkowie łoż rozpoznają się za pomocą znaków. Organizacje wolnomularskie są stowarzyszeniami zamkniętymi, ale nie tajnymi, członkowie są zobowiązani do utrzymywania w tajemnicy składu osobowego, obrzędów, rytuałów, znaków rozpoznawczych i symboli. Obowiązują zasady wprowadzone przez Rewolucję Francuską, która przyniosła ruchowi złoty wiek.

„Członkowie łoż niezależnie od pozycji społecznej i majątkowej, narodowości i rasy oraz poglądów spotykają się na zasadzie równości i braterstwa, żeby doskonalić się oraz metodami pokojowymi prowadzić ludzkość do solidarności oraz powszechnej pomyślności, co w retoryce wolnomularskiej jest związane z budowaniem świątyni ludzkości” opisuje pojęcie Ludwik Hass.

Wolnomularstwo wywodzi się jednak ze średniowiecznych angielskich cechów murarskich, a ściślej ze związków wolnych mularzy (z języka ang. freemasons), budowniczych katedr gotyckich oraz ze zrzeszeń różokrzyżowców. Dla budowania legendy ruchu generalnie wolnomularstwa cofano do czasów powstania Świątyni Jerozolimskiej (Salomon i Hiram). Organizacje cechowe nie tylko przekazywały sobie umiejętności i sekrety, stanowiły też wsparcie dla swoich członków. W 1717 r. w Lon-

dynie powstała Wielka Loża wolnomularska, w formule która jest znana i dziś. W nowej organizacji skupili się zamożni i wykształceni zwolennicy wczesnego oświecenia, tolerancji, swobody sumienia i wolności obywatelskiej oraz braterstwa. Podstawowe zasady zostały sformułowane w Konstytucji Wolnych Mularzy w 1723 r. Niebawem powstały pierwsze loże na kontynencie europejskim – w Paryżu (1725 r.), Madrycie (1728 r.), Florencji (1729 r.), Hamburgu (1733 r.), a także w Ameryce Północnej (Filadelfia przed 1733 r.). Wolnomularstwo zostało szybko przeszczepione do monarchii Habsburgów i Rosji. Ówczesne loże były ogniskami oświecenia i działalności charytatywnej. Symbolika wolnomularska obejmuje wiele znaków, które znajdujemy na przedmiotach używanych przez członków łóż. Są wśród nich: węgielnica, cyrkiel i litera „G”. Cyrkiel to symbol mądrości, wiedzy i rozumu oraz sojuszu wiedzy z inteligencją (odnosi się także do nauk ścisłych), a węgielnica symbolizuje porządek, uczciwość i szczerość. Litera „G” to monogram słów: Generacja – czyli siła kolejnych pokoleń, Grawitacja – siła rządząca ruchem ciał i materii, oraz Geometria jako fundament nauk ścisłych. Ponadto litera „G” może symbolizować Geniusz, a więc inteligencję umożliwiającą odkrywanie sprawiedliwości i prawdy lub Gnozę – najgłębszą wiedzę moralną i siłę postępu.

Alchemia i inna „wiedza tajemna”

„W Europie kontynentalnej do wolnomularstwa w XVIII w. przeniknęli członkowie stowarzyszeń mistyków, alchemików itp. Powstały rozmaite wolnomularskie systemy (ryty, obrządki, zakony), które do trzech podstawowych stopni wtajemniczenia dołączyły kolejne, tzw. stopnie wyższe. W niektórych lożach zaczęto uprawiać alchemię, magię i inną – wiedzę tajemną. Pod koniec XVIII w. wolnomularstwo przeważnie powróciło do postaw racjonalistycznych, zachowało jednak pewne elementy nabyte, jak systemy stopni wyższych. Najbardziej rozpowszechnił się 33-stopniowy obrządek szkocki – dawny i uznany. W miarę rozwoju wolnomularstwa w poszczególnych krajach powstawały ich Wielkie Loże (Wielkie Wschody) – we Francji (1736 r.), Prusach (1744 r.), Niderlandach i Szwecji (1756 r.). Deizm wolnomularstwa i równorzędne traktowanie wszystkich wyznań chrześcijaństwa, antyklerykalizm, spowodowały wrogi do niego stosunek hierarchów Kościołów katolickiego i ewangelickiego. Takie nastawienie do wolnomularstwa utrzymało się do połowy XX w., następnie uległo pewnemu złagodzeniu” – wylicza Ludwik

Hass. „Podejrzliwość wzbudzała tajemnica otaczająca wolnomularstwo, co rodziło oskarżenia o metody spiskowe, chęć opanowania po kryjomu kierownictwa państw, partii politycznych i organizacji, a wreszcie o osiągnięcie nieuczciwych korzyści przez

wzajemne wspieranie się. Poglądy wolnomularstwa bywają interpretowane jako kontynuacja tradycji gnostyckiej i bezzasadne gloryfikowanie możliwości człowieka”.

Ruch stopniowo się rozrastał. Wolnomularstwo męskie (bez odłamu mistycznego) na początku 1932 r. skupiało w ok. 200 centralach ponad 3 mln członków. Na przełomie XX i XXI w. w ok. 300 centralach działało prawie 4 mln osób. Formacje wolnomularskie były do początku XX w. stowarzyszeniami męskimi, tylko przy niektórych, przejściowo, istniały podporządkowane im loże kobiece, „adopcyjne”, z odrębną symboliką i rytuałami. Potem, pod wpływem ruchu feministycznego, powstało jednak wolnomularstwo mieszane.

W praktyce wolnomularstwo skupiało osoby z warstw wyższych i średnich. W ciągu ponad dwóch i pół wieku należało do niego wiele osobistości życia publicznego, sławni wojskowi, wybitni przedstawiciele nauki, techniki, kultury, literatury, sztuki, a także przedsiębiorcy. Wśród nich: cesarze i królowie krajów europejskich oraz wielu prezydentów USA, np. George Washington, Theodore Roosevelt, Gerald Rudolph Ford. Należeli tu: odkrywcy i podróżnicy; uczeni i wynalazcy (np. Gustave Eiffel, budowniczy wieży Eiffela czy Alexander Fleming, odkrywca penicyliny). Dalej pisarze i poeci (m.in. Mark Twain, Voltaire, Oskar Wilde). Artyści, jak Jan Sebastian Bach, Joseph Haydn, Wolfgang Amadeusz Mozart. I wreszcie aktorzy (m.in. Clark Gable oraz John



Wayne) i producenci filmowi. Wolnomularzem był także Henry Dunant, założyciel Czerwonego Krzyża.

Na ziemiach polskich

Pierwsze placówki masońskie powstały w Warszawie, było to wkrótce po utworzeniu Wielkiej Loży Londynu. W 1721 r. pojawiło się w Rzeczypospolitej „Czerwone Bractwo”, w którym działali m.in. podstoli litewski Michał Fryderyk Czartoryski oraz Franciszek Maksymilian Ossoliński, sekretarz króla Augusta II i marszałek sejmu zwyczajnego. Później w Warszawie działalność rozpoczęły Loża „Trzech Braci” i „Cnotliwego Sarmaty” (in. Wielka Loża „Cnotliwego Sarmaty”). Prowadziły działalność polityczną i charytatywną. Potem utworzono Wielki Wschód Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego. 74 wolnomularzy – przeważnie zwolenników Konstytucji 3-go maja – było posłami na Sejm Czteroletni. Wolnomularzem był także król Stanisław August Poniatowski.

– Lata 80. XVIII w. były złotym wiekiem wolnomularstwa. Na czele Wielkiego Wschodu Narodu stanęły tak odmiennie osobowości, jak Ignacy Potocki, Stanisław Szczepny Potocki czy Kazimierz Nestor Sapieha. W okresie reform stanisławowskich, wolnomularze w loży (czy dzięki niej), odgrywali nieproporcjonalnie do swojej liczebności dużą rolę w tworzeniu przełomu oświeceniowego i ukształtowaniu się nowego zorca kulturowego. Równie poważna była ich rola w pracy Sejmu Czteroletniego i przygotowaniach do powstania kościuszkowskiego. Dlatego wolnomularstwo polskie znalazło się w trwałym antagonizmie z obozem starszłacheckim – wyjaśnia prof. Ludwik Hass we wstępie książki *Masoneria polska XX wieku. Losy. Loże. Ludzie*.

Sytuacja uległa zmianie po I rozbiórce Polski. Co istotne jednak fale emigracji polskiej po rozbiorach II i III do Włoch i Francji pozwoliły się ruchom masońskim odrodzić. Jedną z ważniejszych postaci był choćby Jan Henryk Dąbrowski, który związany z masonerią w Rzeczypospolitej także na uchodźstwie był jej aktywnym działaczem. W Królestwie Polskim cesarz Rosji Aleksander I Romanow (także wolnomularz) pozwolił, by ruch prze-

żywał swój „srebrny wiek”. Powstawały nowe polskie loże. Np. Wielki Wschód Narodu (skupiał ok. 4,5 tys. członków). Tu wśród działaczy odnajdziemy patriotę Waleriana Łukasińskiego i... Adama Mickiewicza, który zetknął się z ideą wolnomularstwa jako młody człowiek. Jak podkreśla prof. L. Hass (*Sekta farmazonii warszawskiej. Pierwsze studium wolnomularstwa w Warszawie 1721–1821*) w 1821 r. wolnomularstwo zostało jednak rozwiązane postanowieniem namiestnika gen. Józefa Zajączka (byłego zresztą wolnomularza). W tym czasie tylko w zaborze pruskim nadal istniały loże niemieckie (w tym również na Górnym Śląsku).

Na przełomie XIX i XX w. sytuacja zaczęła się zmieniać. Samuel Goldbaum (wolnomularz z 25-letnim stażem) w legalnie działającym Towarzystwie Humanitarnym „Szczerą Przyjaźń” we Lwowie wygłosił na jednym z posiedzeń referat pt. „Czy Kościuszko był wolnomularzem” i odpowiedział na pytanie twierdząco. Opisał też dzieje masonerii na ziemiach polskich, w których stwierdził, że: „Polska – jeśliby miano pominąć jej wolnomularzy – pozostałaby bez wielkich patriotów”. Niestety w prasie pojawiły się informacje o działalności loży z nazwiskami działaczy, co położyło jej kres.

Wolnomularze nie zaniechali jednak przeszczeplenia ruchu z Francji czy Wielkiej Brytanii. W Paryżu na Światowym Kongresie Wolnomysłicielskim nie brakowało polskich przedstawicieli. W 1910 r. utworzono w Warszawie lożę „Wyzwolenie”, której przewodniczącym był Rafał Radziwiłłowicz (lekarz psychiatra i działacz społeczny), prywatnie szwagier pisarza Stefana Żeromskiego, także wolnomularza (nawet w powieści *Popioły* S. Żeromskiego odnajdziemy efekty fascynacji twórcy tym ruchem).

W Radzie Najwyższej Polski (zrzeszała kilkanaście loż) zasiadał m.in. pisarz Andrzej Strug (właściwie Tadeusz Gałeczki). O roli masonerii w 20-leciu międzywojennym świadczy choćby to, że ukazywało się sporo publikacji na ten temat. Redaktorzy „Gazety Wrocławskiej” z 6 września 1921 r. napisali np.: „Dzisiaj toczy się walka na śmierć i na życie między cywilizacją zachodniochrześcijańską a wschodniosemicką, która wszystkimi porami przenika nawet do wnętrza twierdz katolicyzmu. Prowadzą tę walkę w sojuszu Żydzi, masoneria potężnie zorganizowana, protestantyzm germański, coraz bliższy duchowi judaizmu”.

Czasami jak w *Szopce politycznej* z 1930 r. (autorzy: Marian Hemar, Jan Lechoń, Julian Tuwim czy Antoni Słonimski – znany wolnomularz) – o masonach pisano z przymrużeniem oka.



o mniejszym znaczeniu Loże Wszechświatowego Zjednoczenia Wolnomularstwa, np. w Warszawie „Św. Graal”, „Św. Michał Archanioł” czy „Pokój” w Katowicach). Każdy członek loży przybierał imię zakonne składające się z fikcyjnego imienia i nazwiska.

Wczorajsi ludzie podziemi

„Do polskich loż najchętniej i najliczniej garnęli się Wczorajsi ludzie podziemi z niedawnych formacji niepodległościowych oraz działacze ze środowisk do nich ówczynie zbliżonych. Spełnienie ich marzenia – Polska Niepodległa – sprawiło, że znaleźli się z wyjątkiem socjalistów, u końca swojej facyny. Wdzieli nieoczekiwanie szeroki zasięg wpływów – pokazały to wybory parlamentarne w 1919 i 1922 r. – swojego tradycyjnego przeciwnika politycznego endecji, również wzrost i ofensywność klerykalizmu.

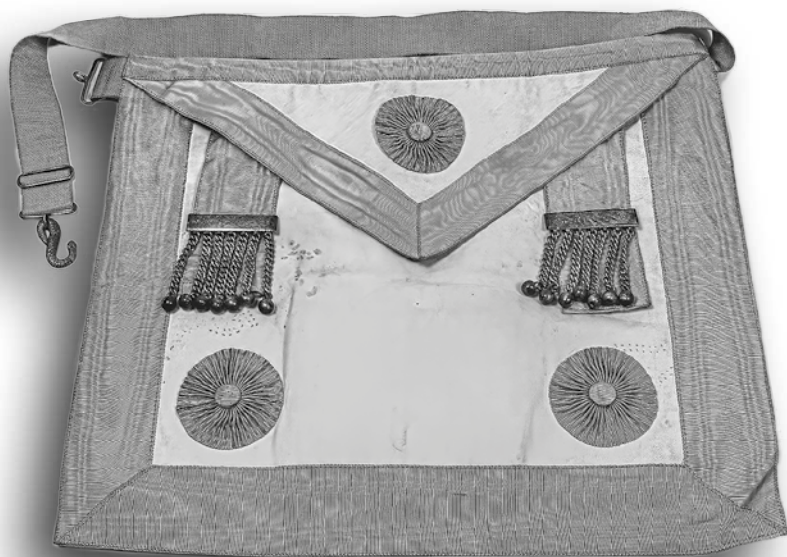
Sami zaś mieli przeszłość socjalistyczną i przyzwyczajeni byli do konspiracyjnych form działania. Toteż propozycja wolnomularska odpowiadała energiczniejszym i bardziej zdecydowanym, ale była realna jedynie w dużych miastach, gdzie można było się lepiej konspirować” – wylicza prof. Ludwik Hass.

Co ciekawe jednak IV Kongres Międzynarodówki Komunistycznej uznał, że niedopuszczalne jest być jednocześnie komunistą i wolnomularzem!

Wolnomularze chcieli oddziaływać na społeczeństwo i mocno angażować się w politykę. W czasie zamachu stanu w 1926 r. poparli Józefa Piłsudskiego. Członek loży „Staszic” Witold Wyspiański napisał nawet: „dla Państwa Polskiego koniecznością jest, aby Marszałek Piłsudski został przywrócony do czynnej i twórczej władzy”. Po kilku latach pisarka Maria Dąbrowska, również członkini ruchu stwierdzi jednak rozczarowana, że „wolnomularzom polskim pozostaje

„Gdy noc już zapada, i ciemność wszystko przysłoni, wtedy wychodzą masoni, i słychać kielni stuk. Ciche wiodą narady, jak poobsadzać posady, i mówią że nie ma Boga, jest tylko Andrzej Strug” napisali poeci.

„Matką” ruchu pozostawała oznaczona numerem „I” w rejestrze Wielkiej Loży – loża „Kopernik” działająca od 19 marca 1920 r. w Warszawie. Kolejne loże warszawskie to np. „Łukasiński”, „Kościusko”, „Wolność Przywrócona”, „Mickiewicz”, „Jednanie”, „Henryk Dąbrowski”. Ponadto w Łodzi istniała loża „Gabriel Narutowicz” (miano na cześć prezydenta Narutowicza, masona rzecz jasna), w Wilnie „Tomasz Zan” (miano także od nazwiska działacza ruchu), w Krakowie „Przesąd Zwyciężony”, a w Zagłębiu Dąbrowskim oznaczona nr. rejestru XVI „Staszic”, (in. Staszyc). Istniały też



jedynie zajmować się kwestiami etycznymi i wychowawczymi, będąc zrzeszeniem szczupłym, zamkniętym i trudno dostępnym”. Wielka Loża rozwiązała się 26 października 1938 r.

„22 listopada 1938 r. Prezydent RP podpisał dekret o rozwiązaniu zrzeszeń wolnomularskich. Dwa dni później ogłoszony w Dzienniku Ustaw, ten akt prawny, uznawał je bez podania uzasadnienia, za rozwiązane z mocy samego prawa. Ich majątek nieruchomości i ruchomy miał zostać przekazany na cele dobroczynne, archiwa i bieżąca dokumentacja – państwu. Kontynuowanie działalności rozwiązanych stowarzyszeń, bądź jej popieranie, zostało zagrożone karą do 5 lat więzienia i grzywną. Zaś zakładanie ich w przyszłości lub kierowanie nimi karą od 2 lat więzienia. Na Ministra Spraw Wewnętrznych nakłada obowiązek wykonania zawartych w nim postanowień. Minister miał również rozwiązać zrzeszenia zależne od wolnomularstwa” – wskazuje prof. Ludwik Hass.

Jednak drobne grupy wolnomularzy w Warszawie i Krakowie nadal działały. Oczywiście wszystko zmienił wybuch II wojny światowej w Europie, a w Polsce czasy PRL-u. Lożę „Kopernik” reaktywowano w Paryżu, gdzie działała do lat 50. ub. wieku. Działalność masonska przeniosła się do Warszawy w latach 60. (tam miała tajny charakter). Dopiero w 1991 r. utworzono ponownie Wielką Lożę Narodu Polski (wielki mistrz Tadeusz Gliwic, w latach 30. związany z lożą „Staszic”, syn wolnomularza Hipolita Gliwica). Obecnie w Warszawie jest loża „Wschód”, którą prowadzi Waldemar Gniadek.

W Zagłębiu Dąbrowskim

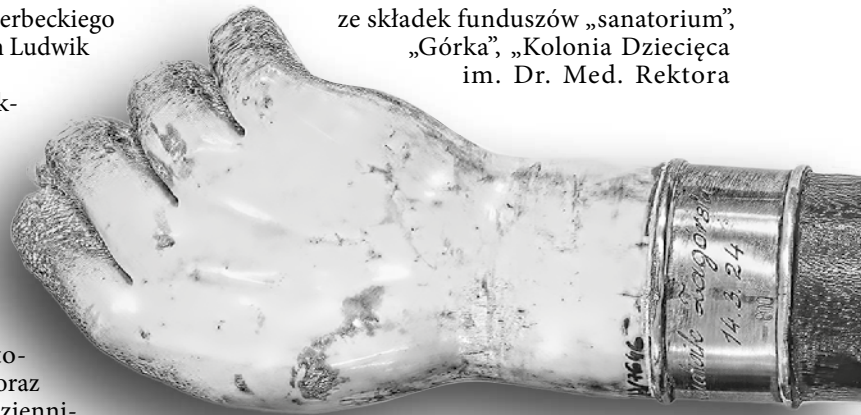
Jedną z loż, która opierała się skutecznie przeciwnościom była Masonska Loża Wschodnia „Staszic” z siedzibą w Sosnowcu, która działała od 14 marca 1924 r. do 26 października 1938 r. Muzeum Miejskie „Sztugarka” w Dąbrowie Górniczej prezentuje w ekspozycji pt. „Adam Piwowar. Rewolucjonista. Odkrywcą. Wolnomularz” (pierwszy prezydent miasta i współzałożyciel loży) sporo zabytkowych wolnomularskich przedmiotów. Są to: fartuch, sygnet, puchar, młotek, dwie laski i dzwonek. Przedmioty są bogato zdobione, wykonane z ogromną precyzją i starannością, np. dzwonek, puchar i sygnet są ze srebra, pokryte inskrypcjami i symbolami. Sygnet wolnomularski i laska zwieńczona elementem z metalu w kształcie grzybowego kapelusza należały do samego prezydenta Dąbrowy Górniczej Adama Piwowara (1874–1939, pseudonim Jan Krzemień), a laska zakończona dłonią zaciśniętą w pięść z kości słoniowej do inżyniera mierniczego kopalni „Paryż” i działacza społecznego

– Ludwika Berbeckiego (pseudonim Ludwik Zagórski).

W loży aktywnie działali także: Ignacy Bereszko, Józef Kozłowski, Adam Pawełek, Antoni Bogucki oraz pedagog i dziennikarz Witold Wyspiański (ps. Antoni Seidel, kuzyn malarza Stanisława Wyspiańskiego). Także prekursor kompleksowej rehabilitacji dzieci, założyciel stowarzyszenia „Kropla mleka”, lekarz związany z Zagłębiem – Szymon Starkiewicz po 1923 r. został przyjęty do loży (imię zakonne Szymon Górka). Z kolei Zygmunt Cieplak, znany w Zagłębiu nauczyciel i działacz społeczny, komisarz ludowy został do niej przyjęty w 1937 r. (Z. Cieplak został zamordowany w obozie Oświęcimiu, w Dąbrowie Górniczej uczczono jego imieniem jedną z ulic).

Posiedzenia zagłębiowskich wolnomularzy odbywały się w Sosnowcu, Dąbrowie Górniczej oraz Busku-Zdroju u mieszkających tam członków organizacji. Osoby działające w loży masonskiej zajmowały się szeroko pojętą działalnością społeczną. Jednym z wyników tych działań było powstanie sanatorium przeciwgruźliczego dla dzieci w Busku-Zdroju nazwanego „Górka”. Placówka ta działa do dziś. Założycielem sanatorium był dr Szymon Starkiewicz (obecnie patron dąbrowskiego szpitala miejskiego), który jednak bez pomocy wielu osób, a w szczególności Adama Piwowara nie mógłby doprowadzić tego ambitnego przedsięwzięcia do końca. Sanatorium powstało m.in.

ze składek funduszków „sanatorium”, „Górka”, „Kolonія Dziecięca im. Dr. Med. Rektora



Józefa Brudzińskiego”.

Adam Piwowar działał czynnie w radzie miasta Dąbrowy Górniczej przez cały okres międzywojenny.



Prowadził jako nauczyciel w Szkole Górniczej (nazwanej od 1919 r. Państwową Szkołą Górniczą i Hutniczą im. Stanisława Staszica, stąd też prawdopodobnie nazwa loży masonskiej) zajęcia z zakresu geologii i mineralogii. Jako badacz Nowej Ziemi był autorem licznych publikacji na ten temat. Zmarł w lutym 1939 r. w Dąbrowie Górniczej, zamykając w ten sposób jeden z ważnych okresów w dziejach miasta. Spoczął w grobowcu rodzinnym na cmentarzu parafialnym przy ul. Starocmentarnej. Jego syn, znany poeta okresu międzywojennego – Lech Piwowar, został zamordowany w Kатыniu. Jego symboliczny grób znajduje się w Dąbrowie Górniczej, w rodzinnym grobowcu Piwowarów. ■

Konsultacja: Arkadiusz Rybak, dyrektor Muzeum Miejskiego „Sztugarka” w Dąbrowie Górniczej

Zdjęcia: Muzeum Miejskie „Sztugarka”

Agnieszka Zielińska – dziennikarka, regionalistka, blogerka. Jest absolwentką Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Jako dziennikarz prasy regionalnej specjalizuje się w tematyce społecznej oraz budownictwa i ekologii. Prowadzi Blog Autorski „Dziennika Zachodniego” poświęcony zieleni, ekologii i ogrodnictwu „Zielińska w zielonym”.

Jest autorką książek *Niezdara – miejscowość pogranicza – życie i dorobek kulturowy*, *Nowa Wieś w gminie Mierzęcice – miejscowość odmienna od wszystkich*, *Na biesiadzie u pana Stanisława* oraz współautorem publikacji *Śląskie budowanie* napisanej wspólnie z Tadeuszem Wnukiem i Danielem Bienkiem. Agnieszka Zielińską od najmłodszych lat fascynuje poezja. Wydała zbiorczy tom poezji *Toast za zapominanie* i prowadzi Blog Autorski „Dziennika Zachodniego” „Pod Musą Poezji”.

Wicca: misterium i magia za zasłoną codzienności

ARKADIUSZ GARDAŚ

Na ołtarzu płonie kadzidło. Dym owiewa statuetki Bogini Matki i Boga Ojca, przywodząc na myśl opary, w których przepowiadały przyszłość delfickie kapłanki. Na środku postawiony jest kielich i pentakl (dysk z wyrysowanymi na nim magicznymi znakami), kilka różdżek i sztylety athame. Pod ołtarzem, zakryty częściowo czarną płachtą, spoczywa miecz – jedno z najważniejszych narzędzi współczesnych czarownic. Gdzieś pod ręką obowiązkowo muszą znajdować się zapałki, woda i sól, jeśli trzeba – nawet chusteczki higieniczne. Praktyka to w rzemiośle więdźm podstawaw.

Na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat w świecie zachodnim zaczęły pojawiać się religie nawiązujące do starożytnych praktyk pogańskich. Niektórzy błędnie uważają je za mające coś wspólnego z satanizmem, podczas gdy w rzeczywistości są to ścieżki oparte przede wszystkim na nawiązaniu więzi z Naturą oraz widzące Ziemię, gwiazdy czy żywioły jako przejawy manifestacji boskich mocy. Ich wyznawcy, zwykle nastawieni do świata dość pokojowo, pojawiają się dziś również w Polsce, stanowiąc

niewielką, choć ciekawą alternatywę dla ludzi rozczarowanych religiami głównego nurtu. Jedną z takich ścieżek jest Wicca – religia czcząca zarazem bóstwo męskie i żeńskie, kładąca nacisk na świętość życia w jego różnych formach i odmianach.

Wicca jest nazywana współczesną religią czarownic. Powstała w latach czterdziestych ubiegłego wieku, zapoczątkowana przez Brytyjczyka Geralda Gardnera, a potem rozwijana przez Doreen Valiente, jedną z jego kapłanek, oraz Alexa Sandersa, maga i wizjonera (choć niewątpliwie postać kontrowersyjną), ścieżka ta ulegała zmianom i wciąż istnieje, będąc jedną z najszybciej rozwijających się dziś religii. Choć jej praktyki, z duchem czasu, ulegają pewnym zmianom wraz ze wzrostem ludzkiej świadomości, w wicca istnieje rdzeń, ten sam od czasów Gardnera. To ścieżka inicjacyjna i misteryjna, nawiązująca atmosferą do starożytnych misterii życia i śmierci, znanych w Eleusis czy praktykowanych przez wyznawców kultu Izdy i Ozyrysa. Wiccianie wierzą w dynamicznie przejawiające się w świecie działanie dwóch pierwiastków, Boga i Bogini, którzy – choć znani inicjo-

wanym pod konkretnymi imionami – noszą wiele imion i przejawiają się w każdej kulturze niemal od początku istnienia ludzkości. Z jednej strony duchowa i mistyczna, wicca kładzie duży nacisk na życie codzienne i obcowanie ze sferą sacrum w każdym przejawie ziemskiej egzystencji. Jedną z dróg do tego jest magia, praktykowana tak w sferze rytualnej, jak i przyziemnej. Dlatego właśnie przedstawiciele wicca nazywają siebie zarazem kapłanami i kapłankami, jak i czarownicami (słowo to występuje zwykle tylko w formie żeńskiej, ang. witch, choć określa się nim wyznawców obu płci).

W Polsce wicca stała się szerzej znana dopiero w początkach XXI wieku. Wtedy na rodzimym rynku ukazały się pierwsze książki na temat tej religii, niestety nie pisane przez inicjowanych wiccian, a więc zawierające wiele błędów. W naszym kraju inicjowani zaczęli ujawniać się mniej więcej w okolicach 2005 roku i z czasem organizowano coraz więcej spotkań, warsztatów czy rytuałów otwartych dla ludzi zainteresowanych tą ścieżką. Wydawać by się mogło, że skoro to religia zakorzeniona w kulturze

brytyjskiej, choć sięgająca po źródła z czasów pogańskich, niekoniecznie przyjmie się na naszym gruncie. Okazuje się jednak, że wicca i w naszym kraju znalazła wyznawców. Na ten temat rozmawiam z Agnieszką (Agni) Keeling, pierwszą Polką inicjowaną w wicca, w czasach, gdy o tej religii w Polsce jeszcze nie słyszano. Agni zaczęła swoją drogę do wtajemniczenia w roku 1994, teraz na stałe mieszka w Wielkiej Brytanii, mimo to wciąż pojawia się w naszym kraju, gdzie organizuje konferencje i weekendowe warsztaty dla sympatyków. Czym jest dla niej wicca? Jak postrzega ją w odniesieniu do polskiej kultury? Czym ta religia przyciąga poszukiwaczy i co mogą w niej oni odnaleźć? Poprosiłem Agni o wywiad, by mogła mi odpowiedzieć na te pytania. ■

fot. arch. aut.



Współczesna czarownica

Z AGNI KEELING

rozmawia ARKADIUSZ GARDAŚ

Magia w XXI wieku... Wcale nie brzmi to archaicznie, biorąc pod uwagę, jak wielu ludzi wciąż interesuje się praktykami magicznymi. Ty faktycznie uprawiasz magię, rzucasz zaklęcia, wyznajesz pogańskich bogów. Co Cię przywiodło na tę ścieżkę?

Magia nigdy chyba się nie zestarzeje. Jest wieczna i nadal tajemnicza. Nauka i technologia mogą się rozwijać i odpowiadać na coraz więcej pytań, ale z każdą odpowiedzią na istniejące pytanie pojawi się tylko więcej takich, na które odpowiedzi jeszcze nie mamy. Większość znanych mi czarownic chętnie czyta o najnowszych teoriach naukowych, nie neguje nauki i korzysta z najnowszych zdobyczy technologicznych, jednocześnie zdając sobie sprawę z tego, że nauka nie wszystko jeszcze może wyjaśnić. Mimo że różne teorie fizyczne, kwantowe, psychologiczne, i tak dalej, starają się zbadać to, co niezbadane, nadal trudno będzie nam wyjaśnić, jak działa magia. Nie wszyscy oczywiście w nią wierzą, a jednak wielu ludzi pozostaje świadomych, że poza światem materialnym, który daje się zbadać i opisać, istnieje jeszcze coś, czego nie da się zmierzyć i tak łatwo zrationalizować.

Część ludzi, mimo postępu technologicznego, a może właśnie poprzez ten postęp, będzie potrzebować powrotu do duchowych korzeni ludzkości. Dla takich ludzi religia, lub też mniej zinstytucjonalizowana i bardziej osobista duchowość, będzie odgrywała ważną rolę w życiu. Żyjemy w ciekawych czasach, a to, co się dzieje na świecie nie napawa pozytywnymi uczuciami co do naszej przyszłości. **Mówię tu o polityce czy sprawach związanych z ekologią.** To także powoduje, że ludzie zwracają się w stronę duchowości, zarówno tej głównego nurtu, jak i alternatywnej. Dla osób zainteresowanych alternatywnymi ścieżkami praktyka powiązana z magią, czyli ze zmienianiem własnej świadomości i rzeczywistości za pomocą naszej woli i w zgodzie z nią może okazać się bardzo atrakcyjna.

Co mnie samą przywiodło na tę ścieżkę? Trudno powiedzieć. Być może byli to bogowie, może przeznaczenie, moja własna wola, może przypadek? No dobrze, w przypadki akurat nie wierzę. Sądzę, że nic nie dzieje się bez powodu, wszystko jest konsekwencją czegoś, co już zaistniało, więc najpewniej moja ścieżka jest naturalną konse-

kwencją wszystkich moich poprzednich wyborów, które kształtowały zarówno moją osobowość, jak i moje potrzeby, całe moje życie. Być może łańcuch zależności, których rezultatem jest moja praktyka, sięga poprzednich żyć? **Nie wiem, są to rzeczy, których nie da się całkiem zbadać.** Dwadzieścia pięć lat temu, gdy byłam inicjowana, powiedziano mi, że wiccanami stają się ci, którzy wiccanami już są. **Poprzednie życie? A może wewnętrzne przekonanie, że przejście inicjacji to powrót do duchowego domu, z wyczuwalnego powiązaniem z innymi ludźmi w wicca.** To właśnie te trzy uczucia spowodowały, że gdy tylko usłyszałam o wicca i poznałam innych ludzi to wiedziałam, że to moje przeznaczenie.

Dwadzieścia pięć lat temu? I od tej pory ta ścieżka codziennie Ci towarzyszy. Zdradzisz więcej na temat swojej drogi do niej?

Prawdę mówiąc, nie analizowałam wtedy, co dokładnie zbliżyło mnie do wicca. Usłyszałam to słowo podczas wykładu na uniwersytecie w Irlandii, gdzie byłam na kilkumiesięcznym stypendium. Wtedy coś jakby we mnie drgnęło, pojawiło się uczucie, że właśnie natrafiłam na coś, co jest moim, w pewnym sensie, domem. Zdumiałam się, gdy zrozumiałam, że istnieją ludzie, którzy myślą aż tak podobnie do mnie.

To były czasy, gdy w Polsce nikt o wicca jeszcze nie słyszał. Intuicja wręcz krzyczała do mnie, że muszę się dowiedzieć na ten temat więcej, muszę się zainteresować. Dwa tygodnie później rozmawiałam ze swoją przyjaciółką z Niemiec, którą znałam od trzech lat. Powiedziała jej o wicca, a wtedy – to było niesamowite – okazało się, że i ona jest wiccanką! Zaproponowała mi, że przedstawi mnie osobom inicjowanym. Czy to był znak, że to moje przeznaczenie? Tak sądzę. W następnym kilka miesięcy doświadczyłam serii „przypadków”, które jak po sznureczku do kłębka prowadziły mnie coraz bliżej wicca. Nie miałam więc żadnej wątpliwości, że jakaś siła wyższa chce mnie skierować na tę drogę, a że i ja tego też bardzo chciałam, pomyślałam sobie: „Niech się dzieje wola nieba”, w końcu „z nią się zawsze zgadzać trzeba”.

Czy wicca to religia? Może nazwałabyś ją raczej ścieżką życia? Jak wpływa na Twoją codzienność?



fol. Aleksandra Jędraszewska

To wszystko zależy od tego, jaką definicję religii przyjmujemy. Wicca na pewno nie jest religią tego samego typu co chrześcijaństwo, nie ma w niej na przykład dogmatów, choć posiada cechy, które powodują, że jak najbardziej można ją nazwać religią. Jako przykład podałabym tutaj system wierzeń i praktyk, pewną strukturę i do pewnego stopnia instytucję. **Praktykujemy w kowenach. Są one wprowadzie autonomiczne, jednak należą do linii (inicjacyjnych) i tradycji. W wicca posiadamy tradycję gardneriańską (od Gardnera) i aleksandriańską lub aleksandryjską (od Alexa Sandersa). Na czele kowen stoją arcykapłan i arcykapłanka.**

Ważną cechą wicca jest to, że nie mamy podziału na osoby duchowne i wiernych. U nas każdy inicjowany staje się kapłanem, a osoby prowadzące kowen są jedynie „pierwsze między równymi”. Kolejną istotną różnicą między wicca a innymi religiami jest to, że praktyka jest ważniejsza niż wierzenia, które – ze względu na brak dogmatów – mogą się trochę różnić między poszczególnymi wiccanami. Zawsze podkreślamy, że wicca to religia ortopraktyczna, a nie ortodoksyjna, a więc dbamy o zachowanie przekazu i odpowiednich praktyk, **z kolei to, w co wierzymy, wynika z osobistego odbioru rytuału.** Być może właśnie z tego względu nie wszyscy wiccanie określają wicca mianem religii. Dla wielu jest to głównie praktyka duchowa i może się zdarzyć, że w kowenach znajdują się agnostycy, a nawet ateści. Nie każdy musi być panteistą lub politeistą. W wicca liczy się osobisty wybór pewnych doświadczeń, więc chociaż istnieją mit i wierzenia dostarczające ram do wspólnej praktyki, to nie zmusza się nikogo, żeby wierzył tak samo.

Na pewno dla wszystkich wiccan jest też ścieżka życia, a także rozwój duchowy

wy i osobisty. Wierzymy, że świat materialny jest blisko związany ze światem duchowym i tak, jak nie da się ich rozdzielić, tak nie da się rozdzielić tego, w co się wierzy i co jest dla nas najbardziej wartościowe od tego, co robimy w życiu. Nasze duchowe doświadczenia kształtują naszą świadomość i osobowość, a te z kolei wpływają na nasze postawy, zachowanie, wybory życiowe i tak dalej. **Moim osobistym przykładem jest to, że gdy w Polsce toczyła się debata na temat przyjmowania uchodźców, wiele godzin spędziłam na rozmowach na polskich portalach społecznościowych, dziwiąc się, jak bardzo rasistowskimi postawami kierowali się niektórzy użytkownicy, często ci określający się jako osoby religijne. Moja praktyka duchowa nauczyła mnie, że wszystko jest jednością, dzielimy zbiorową odpowiedzialność za życie na naszej planecie, stąd postawa wiccan względem różnego rodzaju inności jest bardzo otwarta.**

Kto i dlaczego szuka wicca? Dla kogo jest ta religia?

Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Każdy może mieć inne powody. Ja nie szukałam wicca – wicca sama się znalazła we właściwym momencie mojego życia i okazała się odpowiedzią na moje potrzeby duchowe. Na pewno ta ścieżka będzie atrakcyjna dla wszystkich tych osób, które czują, że poza światem materialnym istnieje coś więcej, coś co jest bardzo ważne i warte poznania. To mogą być ludzie, którzy potrzebują jakiejś duchowości, ale wielkie religie im nie wystarczają. Te osoby nie czują chrześcijaństwa i tego co, ono sobą reprezentuje. To mogą być ludzie, którzy szukali wśród innych religii i alternatywnych praktyk, ale zawsze czegoś im brakowało, ludzie, którzy chcą odkrywać duchowe korzenie ludzkości, tacy, którzy czują boskość w otaczającym nas świecie, w przyrodzie i chcą to uczucie pogłębiać albo też osoby, które są zainteresowane magią jako praktycznym narzędziem w osiągnięciu własnych celów, ludzie, których pociąga tajemnica, a nawet ci, którzy potrzebują poczucia wspólnoty – pod tym względem wicca też może dużo ofiarować.

Czy jako wiccanka uważasz się za osobę zaangażowaną politycznie i społecznie? A może wolisz podchodzić do życia jak buddyjski mnich? Czy Twoja ścieżka w ogóle ma wpływ na to, jak postrzegasz codzienność, czy raczej oddzielasz magię grubą kreską od życia „zwyczajnego”?

Na pewno jestem zaangażowana do pewnego stopnia zarówno politycznie, jak i społecznie, ale nie powiedziałabym

, że robię to jako wiccanka, a raczej jako człowiek, choć na pewno moje doświadczenia w wicca kształtują moją świadomość, a ta wpływa na poglądy polityczne i chęć walki o sprawiedliwość społeczną i ogólnie lepszy świat. **Przykładem jest sprawa uchodźców, o której już wspominałam.**

Praktyki związane z mistyczną stroną duchowości powodują często, że silniej czujemy powiązanie z resztą ludzkości i nawet całego stworzenia. Mimo tego że wiemy, że każdy z nas jest autonomiczny, indywidualny, to jednak czujemy też, że na jakimś poziomie wszystko, co istnieje – a więc i my – jest jednością. To daje nam inne spojrzenie na sprawy społeczne, prowadzi do większego altruizmu w miejsce egoizmu społecznego i powoduje, że stajemy się bardziej wrażliwi na nieszczęścia i niesprawiedliwości współczesnego świata.

Najważniejszą zasadą wicca jest postępowanie według własnej woli, o ile nie krzywdzi się nikogo. Nie chodzi tu o zachcianki, ale o odkrywanie swojej prawdziwej woli, co nie zawsze jest łatwe, z kolei niekrzywdzenie oznacza, że większość wiccan wystąpi przeciwko wojnom, przemocy, korupcji itp. W wicca miłość jest ważną wartością, więc ciężko się patrzy na tych w życiu politycznym, którzy kierują się miłością do siły, zamiast siłą miłości. W wicca ważna jest też ekologia, bo w naszych praktykach niesłuchanie istotna jest otaczająca nas przyroda. Sfera sakrum dotyka boskości, bogów, bogiń, różnych duchów, które często interpretowane są jako siły przyrody, siły stojące za mechanizmami kształtującymi nasz świat, są one odpowiedzialne za proces tworzenia i rozpadu, utrzymywania statusu quo itp. Gdy w praktyce spotykamy te siły, wtedy przyszłość planety i naszego środowiska przestaje być obojętna, a staje się

fot. arch. aut.

duchową odpowiedzialnością. Ziemia jest naszą matką, niebo naszym ojcem – jeśli one mają o nas dbać, my musimy dbać o nie.

Jak już mówiłam, jak najbardziej moja ścieżka ma wpływ na to, jak postrzegam codzienną rzeczywistość i vice versa. Tego nie da się tak naprawdę odseparować, bo kroczyliśmy ścieżką cały czas, każdego dnia. Nie da się odłożyć swojej wiary, duchowości, wartości i poglądów na półkę, bo to one stanowią o tym, kim jesteśmy. Rozumiem, że wspominając o buddyjskim mnichu, masz na myśli bardziej ucieczkę od świata, akceptowanie go takim, jakim jest bez próby zmiany czy poprawy. W wicca mistycyzm i magia się uzupełniają. Nie muszą stać ze sobą w sprzeczności. Podczas gdy mag chce używać magii, by dokonać zmiany za pomocą i podług swojej woli (więc kładzie nacisk na działanie i zmianę tego, czego nie akceptuje), mistyk często akceptuje wszystko takim, jakim jest, z kolei jeśli coś nie jest dobre, to kładzie na tym kreskę i się wycofuje. Brak działania jest jego celem, to ucieczka od rzeczywistości zamiast zmieniania jej. Myślę, że jako wiccanka nie stoimy gdzieś pośrodku. Naszą odpowiedzialnością jest zmieniać świat na lepsze, zostawić go lepszym niż go zastaliśmy, choćby w niewielkiej części – to część naszego wielkiego dzieła, ale czasami też mądrość dyktuje, że coś musi się stać tak, jak się dzieje. Pewnych rzeczy zmieniać nie można.

Polska to kraj w większości katolicki. Sądysz, że istnieje tu jakikolwiek grunt pod wicca? Wiccanie nie szukają wyznawców, więc inicjatywa musi wyjść od osób zainteresowanych. Jak wiele tych osób jest? Dostrzegasz wśród nich jakiś trend? Kto interesuje się wicca?



Jak najbardziej wicca może się tak samozakorzeńić w Polsce, jak w innych krajach europejskich, a nawet jak zakorzeńić się poza Europą. W Polsce tak naprawdę bardzo wiele osób to katolicy z nazwy, osoby niepraktykujące, które nie widzą Kościoła jako swojego duchowego domu. Niektórzy po prostu nie potrzebują żadnej duchowości, inni szukają alternatywnych praktyk i wierzeń. Myślę, że takich ludzi jest coraz więcej, tak samo jak więcej jest wyboru różnych alternatywnych ścieżek duchowych, począwszy od buddyźmu czy ruchu Hare Krishna, na słowiańskim rodzimowierstwie kończąc. Wicca nie jest oczywiście dla każdego, ale sporo ludzi poczuje się w niej jak w domu. **Jednocześnie istotną zasadą naszej ścieżki jest to, że nie poszukujemy wyznawców – ludzie sami muszą trafić na wicca i ją „poczuć”. Jest to rodzaj powołania.** Do dam może jedynie, że jeśli spojrzysz się na różne kraje, w których wicca jest praktykowana, okazuje się, że inicjowani pochodzą z każdej grupy społecznej – są wśród nas ludzie bogaci i biedni, lekarze, profesorzy, policjanci i robotnicy, są kobiety i mężczyźni, osoby określające się innymi płciami, osoby reprezentujące różne orientacje seksualne, starzy i młodzi, różnie wyglądający... Naprawdę wiccianie mają „różne kształty i rozmiary”!

W wicca sporo mówi się o bogini. Niektórzy ludzie uważają to za feministyczne, tylko dlatego, że obok boga, istnieje w wicca jeszcze pierwiastek żeński, równy mu (choć przez niektórych widziany jako ważniejszy).

Jak najbardziej. Feminizm jest ważny – ten prawdziwy feminizm, który mówi o równouprawnieniu kobiet i mężczyzn. W wicca oba pierwiastki, męski i żeński, są równie ważne: Bóg i Bogini, mężczyźni i kobiety. Wicca daje kobietom ważne miejsce w hierarchii, umacnia je i dodaje im siły, by móc być sobą, by stawać się silniejszymi, bardziej niezależnymi itp. **Bogini często wydaje się bliższa, podobnie jak matka, więc może dlatego niektórzy sądzą, że jest darzona przez nas większym szacunkiem. Wcale tak jednak nie jest. Wicca zakłada całkowitą równość płci, a mężczyźni-wiccianie często mówią, że również są feministami.**

Jak ważna jest w wicca otoczka rytualna? Wicca samo w sobie jest bardzo zrytualizowane, natomiast osoba postronna może się zastanawiać, czy faktycznie wierzyacie w to, że przedmioty, takie jak amulety, różdżki, etc., posiadają jakąś moc? Co myślisz na temat ludzi, którzy panicznie boją się działania magii, klątw i są przesądni?



fot. arch. aut.

Rytuał leży w sercu wiccańskiej praktyki, to na nim głównie skupia się nasza praktyka i poprzez niego zachodzą różne duchowe – i nie tylko takie – procesy. Rytuał stanowi symboliczną manifestację tych procesów – czy to duchowych, psychologicznych, czy fizycznych, takich jak zmiany w przyrodzie – i pokazuje nam jak mocno wszystko się zazębia, wynika z siebie nawzajem i ogólnie jest ze sobą powiązane w sieci zależności.

Poprzez regularną i częstą praktykę można też zauważyć na jak wielu płaszczyznach da się odczuć działanie rytuałów. Otoczka rytualna jest więc bardzo, bardzo ważna, ale nie znaczy to, że jesteśmy zabobonni. Wręcz przeciwnie: ponieważ wiemy jak to działa, jak mają się rytuał i magia do psychologii, nie podajemy się zabobonom. Jasne, niektóre stare rytualne przedmioty mogą nasiąknąć energią osób, które ich kiedyś używały i same w sobie mogą wtedy mieć jakąś moc, ale oczywistym dla nas jest też, że moc pochodzi z naszego wnętrza, z umysłu, woli i ciała, i to my nadajemy przedmiotom moc poprzez ich używanie. Przedmioty rytualne są przedłużeniem naszego ciała i moc, która przez nie przepływa, jest naszą mocą.

Co do amuletów czy talizmanów, oczywiście dobrze wykonany talizman, tak jak inne rodzaje magii, może nam pomóc w osiągnięciu celu, ale to nie znaczy, że powinniśmy siedzieć z założonymi rękami i oczekiwać, że wykona za nas całą pracę. Nie ma sensu robić magii na wygraną w loterię, jeśli nie kupi się kuponu. Klątwy to skomplikowana sprawa, bo są różne ich rodzaje, i to, co ludzie nimi nazywają, może mieć różną genezę. Dokładnie tego omówienie zajęłoby wiele stron. Powiem tylko, że najczęściej ludzie wmagają sobie klątwy, jeśli coś często im nie wychodzi, zaczynają się zastanawiać, czy zła passa nie jest wynikiem klątwy, albo usłyszą coś o klątwie i się na tym się za-

fiksują. A to najgorsze, co można zrobić, bo wiele takich klątw działa tylko dlatego, że w nie wierzymy i myślimy, że jesteśmy pod ich wpływem.

Na koniec: jak chciałabyś, aby myśleli o Tobie i innych wiccianach? Co ludzie powinni wiedzieć, żeby nie bać się wicca albo nie ośmieszać jej na tle innych, większych religii?

Na pewno chciałabym, aby ludzie nie byli ignorantami i zanim wyrobią sobie zdanie, jeśli już muszą lub chcą sobie takowe wyrobić, to żeby sięgnęli do rzetelnych źródeł. Jak zwykle, w erze post-prawdy, wokół wicca narosło trochę mitów, które mogą dać skrzywiony obraz tej religii. Zdarzają się ludzie, którzy opierają swoje sądy na zasłyszanych opiniach, a potem rozpowszechniają je jako prawdziwe informacje i tak można się dowiedzieć dzisiaj, że wicca to satanizm, że wicca to seksualna rozwiązłość, że wicca to sekta, New Age itp. A wystarczy poszukać w sieci dobrych informacji pochodzących od inicjowanych wiccian, żeby dowiedzieć się, że to nieprawda.

Chciałabym, żeby nie powielano tych fałszywych mitów i dezinformacji, ale poza tym – to muszę podkreślić – ani mnie samej, ani większości wiccian nie zależy na tym, jak ludzie mówią o naszej religii. Wicca jest niszowa, nie jest dla wszystkich. Ten rodzaj praktyki – dosyć trudny i wymagający, jeśli robiony poprawnie – nie będzie odpowiadał każdemu, więc nie zależy nam na nawracaniu czy przekonywaniu do swoich racji. Jeśli ktoś dokopie się do dobrych informacji i dojdzie do wniosku, że to coś dla niego, wtedy chętnie dzielimy się naszymi doświadczeniami; jeśli ktoś dojdzie do wniosku, że to same bzdury – też dobrze. Nie wszyscy muszą być zakochani w wicca, nie wszyscy muszą mieć o niej dobre zdanie czy myśleć, że jest dla nich. Ważne, by chcąc się o nas czegoś dowiedzieć, pytali u źródła. ■

WSPÓLNOTA

drzewo się widzi
w sobie
we mnie
się widzi drzewo

ścięte
na opał
na papier
na półki
na wsporniki
w kopalniach

cmmentarzach
drzew
nie ścinanych
pomarłych

naturalnie

NA WEZWANIE

słowa się stawiają
na wezwanie

ludzie stawiają
pierwsze słowa

miłości
nie ma
niema
jest

ŚMIERĆ OBCEGO

mocne słowo miłość
gdy pada z ambony
razi bólem zbawienia
tej bezinteresownej
gotowości na śmierć

bóg umarł mówią jedni
i czują się wolni
bóg umarł mówią drudzy
czują się bezradni

i pytają bez boga
cóż poczniemy teraz
ten oto człowiek był dla nas
jakimś rozwiązaniem

WZAJEM

kosmos mojego ciała
moje ciało kosmosu
wzajem się przenikają
zdane na łaskę losu

10⁻⁴⁷ SEKUNDY PO

a jednak wszyscy
gdy uwolnimy się
od ciał pędzimy
szybciej od światła
by się odnaleźć w epoce
plancka tam
się spotkamy

Z OJCEM

z ojcem rozmawiałem
rzadko i często
były to rozmowy
bez końca i w końcu
umilkły

KOSMICI

od dawna szukamy we wszechświecie
kosmitów a przecież wystarczy
spojrzenie w lustro

ŁĄKA

pisz mówią jak leci co ci wpadnie
do głowy to wszystko przecież
i tak się z sobą łączą

łączy myślę to może znaczyć
że na łące że w łąkę
wnika że z łąki wyrasta

i leżymy na łące
połączeni bo wpadliśmy
sobie w oczy

DROGA

zakochany w narodzie
nienawidzi
rodaków którzy
nie umieją sprostać i
nie są na miarę

mówi w martwym
języku ja wiem ja
was przemienię bo
jesteście
tego warci chociaż
nie macie
o tym pojęcia ja
wam pokażę

drogę donikąd

NA RYMIE SIĘ TRZYMIE

a to polska właśnie
niech na wieki zaśnie

TYLE

tyle wierszy na nic na
próżno każde słowo
opatrzone przypisem

przypisów coraz więcej
słów coraz mniej

i ta cisza w przypisach
boli do krwi

ZAIMKI

prajaszczury będą porywać
zaimki
do dance macabre lodowce
poniosą na swych grzbietach
zdziczałe głazolice

dzikie szczepy promieni
słonecznych wyrosną
z jądra planety i zakwitną
gwiazdy dzierzawcze ich
twoich moich
przekleństw

W LUCE

przeżuwanie historii kończy się
niestrawnością wymiotami oraz
biegunką myśli a tymczasem
przyszłość degustuje nasze
pozbawione przypraw
życie w luce między
inwazjami żywiołów

Lato rys. Roman Schmelter



Od Tarnowskich Gór do Katowic-Brynowa

Szkolnictwo górnicze na Górnym Śląsku

STEFAN GIERLOTKA

W okresie powojennym, gdy młody człowiek chciał w Polsce zdobyć zawód górnika, zgłaszał się do jednej z licznych Zasadniczych Szkół Górniczych. Kwalifikacje górnicze zdobywał w ciągu trzech lat nauki. Szkolenie odbywało się w kilku specjalnościach potrzebnych w kopalni. Jeśli miał dalszą chęć do nauki, mógł swoją wiedzę pogłębić w technikum górniczym, a potem na wyższej uczelni technicznej. Gdy został już studentem i zdał egzaminy z kursu matematyki, miał szansę zostać inżynierem górnikiem.

Nim jednak powstało i rozwinęło się szkolnictwo górnicze, praktyczną wiedzę w zawodzie osiągał się u boku doświadczanego górnika. Gdy kandydat opanował już należycie swą profesję, powoływano go na górnika-rębacza. Odbywało się to bardzo uroczystie przez tzw. skok przez skórę. W dawnych czasach, gdy górnicy tworzyli zamknięte bractwa, taki awans dawał prawo uczestnictwa w górniczych biesiadach, odbywających się w wybranych gospodach.

O randze zawodu górnika i potrzebach kształcenia pisał już w 1556 roku Georgius Agricola w swej książce *De re metalica libri XII*. Wspomina w niej, iż:

„Górnika [...] musi sztukę swoją znać doskonale, by od razu wiedział, na którym wzniesieniu lub w której dolinie kopać byłoby lepiej. Poza tym znać musi żyły i warstwy skalne. Ponadto musi on dokładnie rozpoznawać wiele różnych gatunków ka-

mieni, skał, kruszców, a także znać się powinien na sposobie prac podziemnych. Oprócz tego powinien posiadać wiedzę, w jaki sposób różne substancje sprawdzać [...]. Powinien dobrze znać się na różnego rodzaju nauce, by wiedział o powstawaniu oraz właściwościach rzeczy podziemnych [...]. Znać się powinien na medycynie, by mógł się zaopiekować górnikami [...], aby nie dotknęły ich choroby, które im bardziej aniżeli innym ludziom zagrażają [...]. Oprócz tego powinien znać astronomię, by znał strony świata i według nich rozpoznawał kierunek żył. Musi znać miernictwo, by mógł też zmierzyć, jak głęboko należy głębić szyb i by umiał wymierzyć granice kopalni [...]. W następnej kolejności znać musi arytmetykę, rysowanie i techniki budowlane [...]. Posiadać powinien znajomość prawa górniczego, by sam niczego niekorzystnego nie wykonał i innym w kwestiach prawa doradzić...”

Pierwszą na Górnym Śląsku szkołę górniczą utworzono w 1780 roku w Świerkłańcu z inicjatywy dyrektora Wyższego Urzędu Górniczego we Wrocławiu Fryeryka Redena. Szkołę tę w 1803 roku przeniesiono ze Świerkłańca do Tarnowskich Gór, tworząc Oberschlesische Bergschule in Tarnowitz. Przez 121 lat Górnos Śląska Szkoła Górnicza w Tarnowskich Górach przygotowywała kadry dozoru górniczego oraz mierniczych górniczych. Nauka była bezpłatna, a zajęcia odbywały się w języku nie-

mieckim. Warunkiem przyjęcia do szkoły było wcześniejsze odbycie jednorocznej praktyki pracy pod ziemią w kopalni. Szkoła kształciła przyszłych sztygarów, mierniczych górniczych i dozór wyższy. Najlepszym i wybijającym się absolwentom finansowano jednoroczne praktyki w kopalniach angielskich. Absolwentami tej szkoły w 1820 roku byli między innymi Fryderyk Wilhelm Grundmann oraz Franciszek Winkler. Zamierzano wynieść szkołę do rangi akademii górniczej.

Po zakończeniu pierwszej wojny światowej i po podziale Górnego Śląska w wyniku plebiscytu, Tarnowskie Góry zostały przydzielone stronie polskiej. Od 1922 roku nauczanie zostało rozdzielone na dwie szkoły różnojęzyczne. Powstała polskojęzyczna Górnos Śląska Szkoła Górnicza w Tarnowskich Górach oraz niemieckojęzyczna Bergschule in Tarnowitz. Obie szkoły działały w tym samym budynku zbudowanym w 1892 roku. W 1924 roku niemieckojęzyczna szkoła górnicza została przeniesiona na część niemiecką Górnego Śląska do Pyskowic.

W roku szkolnym 1927/28 na polecenie Wyższego Urzędu Górniczego nastąpiło uzgodnienie i ujednoczenie programów nauczania szkół górniczych w Tarnowskich Górach, Wieliczce i Dąbrowie Górniczej. W obszarze Polski w Wieliczce nauczała szkoła górnicza dla żup solnych, założona w 1861 roku, a w Dąbrowie Górniczej od 1889 roku szkoła górnicza nawiązująca do tradycji dawnej akademii kieleckiej.

W 1933 roku szkołę górniczą przeniesiono z Tarnowskich Gór do Katowic i połączono ze szkołą górniczą z Wieliczki. Z połączenia obu szkół utworzono w 1933 roku Państwową Szkołę Górniczą w Katowicach, która mieściła się w gmachu Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych w Katowicach przy ul. Krasickiego 8c.

Państwowa Szkoła Górnicza w Katowicach nauczała do września 1939 roku. O okresie wojennym nauczanie przeniesiono do szkoły górniczej w Pyskowicach Bergschule in Peiskretschem, która przez cały okres wojny kontynuowała edukację. Podczas II wojny światowej Niemcy planowali otworzyć górniczo-hutniczą wyższą szkołę inżynierską w Bytomiu.

Po wojnie reaktywowano przedwojenną Państwową Szkołę Górniczą w Katowicach

fot. arch. aut.



w część gmachu Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych z wejściem oddzielnym od strony ul. Granicznej. Od 1 września 1948 roku szkoła została przekształcona w liceum i zmieniono nazwę na Liceum Przemysłu Węglowego. Nauka w liceum była czteroletnia. Do szkoły przyjmowano młodzież po ukończeniu siedmioletniej szkoły podstawowej oraz po złożeniu egzaminu wstępnego z języka polskiego i matematyki. Wymagane było również od kandydatów odpowiednie świadectwo zdrowia.

Rozwój górnictwa w okresie powojennym wymuszał przygotowanie nowych kadr do zawodu. Budowę zasadniczych szkół górniczych podjęły kopalnie, które finansowały inwestycje oświatowe i pokrywały koszty edukacji. W Katowicach kopalnia „Wujek” wybudowała w 1951 roku duży budynek szkolny przy ul. Mikołowskiej 131. 1 września 1951 roku przeniesiono Liceum Przemysłu Węglowego z gmachu Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych do nowej szkoły w Katowicach-Brynowie. Zmieniono nazwę szkoły na Technikum Górnicze w Katowicach. Obok szkoły przy ul. Gallusa kopalnia „Wujek” wybudowała internat dla zamiejscowych uczniów. Zakładem opiekuńczym szkoły była kopalnia „Wujek”, która oprócz kosztów edukacji finansowała stypendia dla uczniów oraz książki i przybory szkolne. Wszyscy uczniowie górniczej szkoły stacjonarnej otrzymywali bezpłatnie mundury górnicze. W 1952 roku powstał przy szkole Wydział Zaoczny dla Pracujących, kształcący pracowników górnictwa z długoletnią praktyką zawodową. Nauka na Wydziale Zaocznym trwała 5 lat.

1 września 1953 roku wprowadzono codzienne apele poranne, które miały na celu poprawę dyscypliny oraz zapoznanie uczniów z ważnymi wydarzeniami w szkole i kraju. W roku szkolnym 1955/56 zmieniono programy nauczania oraz wprowadzono pięcioletni okres nauki.



Powstańcy Śląscy przy tablicy pamiątkowej, 1966

Oprócz nauczania teoretycznego uruchomiono w roku szkolnym 1953/54 warsztaty szkolne, w których uczniowie nabywali praktyczne umiejętności zawodowe. Początkowo był to barak, gdzie było 50 stanowisk szkoleniowych dla uczniów klas I. W warsztatach uczniowie zapoznawali się z ręczną obróbką drewna, robotami ciesielskimi i pracami ślusarskimi. Zajęcia praktyczne odbywały się też w kuźni kopalnianej, warsztacie elektrycznym, lampowni oraz w stacji ratownictwa górniczego. Praktyczna nauka zawodu odbywała się pod kierownictwem doświadczonych instruktorów – byli to najczęściej emerytowani sztygarzy.

W 1954 roku zaadaptowano pomieszczenia po starej brykietni kop. „Wujek” na sztolnię uczniowską. Wyposażono ją w maszyny górnicze do urabiania i transportu węgla. W sztolni uczniowie poznawali obsługę maszyn górniczych i ćwiczyli wykonywanie drewnianej obudowy chodnikowej. Warsztaty produkowały też skrzynie na materiały wybuchowe,

koszty do konstrukcji przenośników, haki do podwieszania kabli i wiele innych elementów potrzebnych w kopalni. Uczniowie klas III i IV odbywali praktykę już pod ziemią na oddziałach górniczych.

Powojenne zapotrzebowanie na kadry dla budowanych kopalń spowodowało, że szkoły górnicze rozpoczęły na terenie całego kraju agitację naborową uczniów do szkół górniczych. Od 1954 roku rozpoczęły się pierwsze wyjazdy naborowe agitujące uczniów do podejmowania nauki i pracy w zawodzie górnika. Wyjazdy agitacyjne były prowadzone w różnych rejonach Polski, aż do końca lat osiemdziesiątych XX wieku. W terenach wiejskich słabo uprzemysłowionych młodzież kończąca szkoły podstawowe często korzystała z oferowanej szansy wyjazdu w inny przemysłowy świat, w którym zakładała rodziny i kontynuowała dalsze swoje życie związane z górnictwem.

1 września 1959 roku przy Technikum Górniczym w Katowicach otwarto Zasadniczą Szkołę Górniczą przy KWK „Wujek”. Po ukończeniu Zasadniczej Szkoły Górniczej uczniowie mieli możliwość kontynuowania nauki w trzyletnim technikum górniczym, uzyskując dyplom technika i świadectwo dojrzałości.

W czerwcu 1966 roku Technikum Górniczemu w Katowicach nadano imię Powstańców Śląskich. Przy wejściu do budynku szkolnego wmurowano tablicę pamiątkową, a szkoła otrzymała sztandar z nowym imieniem: Technikum Górnicze im. Powstańców Śląskich.

Ministerstwo Górnictwa i Energetyki specjalnym rozporządzeniem z dnia 1 września 1974 roku połączyło dotychczasowe Technikum Górnicze im. Powstańców Śląskich, Technikum Górnicze dla Pracujących oraz Zasadniczą Szkołę Górniczą KWK „Wujek”, tworząc **Zespół Szkół Zawodowych MGİE w Katowicach**. Szkoła miała 48 oddziałów i kształciła ponad 1500 uczniów. Była to największa jednost-



Szkoła górnicza



Pasowanie na górnika

ka oświatowa w resorcie górnictwa. Szkoła otrzymała drugi budynek po hotelu robotniczym kopalni „Wujek” z przeznaczeniem na internat dla zamiejscowych uczniów. Tam także znalazły pomieszczenia: biblioteka, sala teatralna, świetlica i uczniowska przychodnia lekarska.

Z okazji uroczystości barbórkowych w 1984 roku szkoła otrzymała „Złotą Odznakę Zasłużonego dla Górnictwa PRL”.

Upowszechnienie komputeryzacji, jaka nastąpiła w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, spowodowała, że w szkole w roku 1986 otwarto pracownię z 5 kompletnie wyposażonymi komputerami. Rozpoczęto jednocześnie nauczanie informatyki. 1 września 1989 roku przy szkole rozpoczęło działalność **Policealne Studium Zawodowe** kształcące w zakresie programowania maszyn cyfrowych.

Szkoła przez cały czas nauczania prowadziła pozalekcyjne kółka zainteresowań. Oprócz rozwijania zainteresowań sportowych młodzież mogła się rozwijać w licznych kółkach humanistycznych. Działający w latach 1968–1991 pod kierownictwem Mieczysława Dziegiela chór szkolny był wiodący wśród szkół górniczych całego resortu. Upiększał wszystkie barbórki i imprezy okolicznościowe organizowane przez kop. „Wujek”.

W związku ze zmianami w resorcie górnictwa, z dniem 1 stycznia 1988 roku zmieniono nazwę szkoły na Zespół Szkół Zawodowych nr 1 Wspólnoty Węgla Kamiennego w Katowicach. Kolejna zmiana nastąpiła 1 września 1990 roku, kiedy szkoła otrzymała nową nazwę: Zespół Szkół Zawodowych Nr 1 Państwowej Agencji Węgla Kamiennego S. A. w Katowicach. W zreorganizowanej szkole uległy likwidacji dotychczasowe przywileje: bezpłatne umundurowanie, przydział podręczników i przyborów szkolnych, posiłki regeneracyjne, wczasy śródroczne, wycieczki adaptacyjne oraz zwroty kosztów podróży dla uczniów klas pierwszych.

Od września 1992 roku, z powodu ograniczenia środków finansowych na oświatę, zajęcia pozalekcyjne były stopniowo likwidowane. W styczniu 1993 roku szkoła przekazana została do Kuratorium Oświaty i Wychowania

w Katowicach. Z dniem 21 kwietnia 1993 roku zmieniono nazwę szkoły na: Zespół Szkół Górniczych w Katowicach. W związku z ogólnie trudną sytuacją w oświacie, szkoła finansowana przez Ministerstwo Edukacji Narodowej, napotkała na poważne problemy finansowe. Zabrakło pieniędzy na działalność kół zainteresowań i zespołów zajęć pozalekcyjnych. Kopalnia „Wujek” zlikwidowała internat, ze względu na coraz mniejszą liczbę uczniów zamiejscowych.

Od 1 stycznia 1996 roku Zespół Szkół Górniczych stał się szkołą gminną. Organem prowadzącym było miasto Katowice, a nadzór sprawowało Kuratorium Oświaty. Decyzją władz miejskich od 1 lipca 1998 roku nastąpiła zmiana nazwy szkoły i profilu kształcenia. Powstał Zespół Szkół Technicznych i Ogólnokształcących Nr 2 w Katowicach. Z roku na rok zmniejszała się liczba klas o specjalnościach górniczych. W utworzonym liceum ogólnokształcym kształci się w kierunkach niezwiązanych z górnictwem. ■

Racibórz. Senne miasto na południu Polski. Przechadzając się ulicami miasta, mijamy galerie handlowe, zadbane parki, wysprzątane ulice. Po chwili czar pryska i trafiamy na potężny budynek z czerwonej cegły. Budynek, który straszy powybijanymi oknami, wyrwanymi drzwiami oraz kotami, które wychodzą z ciemnych piwnic tego budynku. To stary szpital miejski, który przez ponad 100 lat ratował ludzkie życie. Był świadkiem narodzin i śmierci.

Jego budowę rozpoczęto w roku 1885. Pełną funkcjonalność uzyskał dopiero w 1910 roku. W końcu zmarł i on na skutek powodzi w 1997 roku oraz przeniesienia oddziałów do nowego budynku około roku 2004. Szansa na odbudowę tego pięknego kiedyś budynku pojawiła się w roku 2011, gdy stary szpital sprzedano, ale od tego czasu stan szpitala sukcesywnie się pogarsza.

Mówi się, że każde miejsce ma jakąś aurę. Każdy z nas tak ma, że wchodząc do jakiegoś pomieszczenia czuje euforię lub strach, wyczuwa pozytywne wibracje lub ciarki na plecach. To miejsce zdecydowanie zalicza się do tych drugich.

Przekraczając próg starego szpitala i słysząc zatraskujące się za plecami drzwi, zaczynamy zachowywać się w sposób szczególny. Mięśnie się napinają, wzrok oraz słuch stają się bardziej czułe na każdy szmer i ruch, a nos wychwytyuje każdy, nawet najmniejszy zapach. A tych tutaj jest cała paleta. Począwszy od zapachu pleśni i wilgoci poprzez zwierzęce odchody, aż do fetoru ludzkich ekskrementów oraz niemytego od wielu tygodni czy nawet miesięcy ludzkiego ciała.

Wnętrze starego szpitala sprawia, że atmosfera staje się gęsta. Długie, ciemne korytarze pozabawione szyb w oknach, zawałone porozrzucanymi elementami wystroju zmuszają do zachowania uwagi przed skaleczeniem poprzez nastąpienie na szkło czy gwoździe wychodzące z powyrwanych framug, drzwi oraz ram okiennych. W całkowitej ciszy panującej wewnątrz szpitala nasze ciała spinają się w gotowości do obrony czy też ucieczki na każdy dźwięk dochodzący z różnych ciemnych zakamarków tego miejsca.

Biegające wszędzie koty oraz lądujące gołębie powodują, że hałas trzaskającego szkła, miauczenia przechodzącego w koci lament powoduje wrażenie czyjejś obecności, a okna pozbawione szyb sprawiają, że wiatr zamyka i otwiera pozostałe w niektórych salach drzwi sprawiając wrażenie obecności sił nadprzyrodzonych.



fot. arch. aut.

Koty, kaplica i stół sekcyjny Czy tutaj straszy?

IRENEUSZ WITEK, MAREK POPRAWA

Jedno z pomieszczeń znajdujących się na pierwszym piętrze to stara szpitalna kaplica. Na próżno szukać tam krzyża, figur czy mis z wodą święconą. Znajdujemy porozrzucane i spalone ławki, niedopałki papierosów oraz puste butelki po alkoholu. Do stanu przedzawołowego brakuje tylko przemycanej bezgłośnie w oparach delikatnej mgiełki ubranej w habit postaci.

Oddział dziecięcy to miejsce, które nawet po latach dzięki znajdujących się tam coraz słabiej widocznym postaciom z bajek powoduje chwilowe wyrównanie pulsu i oddechu. Sal z rysunkami jest kilka, jednak przytłaczająca cisza tego miejsca sprawia, że znowu odczuwamy znaczny dyskomfort przebywając w tym miejscu.

Na dolnych kondygnacjach szpitala trafiamy na kolejne koty, klatki i pułapki na koty, miseczki, poidelka i inne tego typu przedmioty. Czytając to na pewno się ucieszysz, że ktoś dba o te zwierzęta. Nic bardziej mylnego.

My mamy inną teorię. Gdy mija pierwsza euforia i zaczynamy dostrzegać szczegóły, zauważamy, że klatki służą do łapania kotów, a następnie ich, delikatnie ujmując „degustacji”. Ciemne zaka-

marki oświetlone silnym światłem latarek ukazują kocie zwłoki pozbawione kończyn oraz innych elementów ciała tych małych drapieżników. W tym złym miejscu to one z drapieżników stały się ofiarami.

Wynosimy się z tego miejsca. Trafiamy na kolejny korytarz, którego zapach dobitnie świadczy o obecności wielu osób tam zamieszkujących. Nie zastajemy jednakże nikogo z kim można by porozmawiać. Może to i lepiej. Wycieczkę w tym miejscu kończymy w małym przyszpitalnym budynku, który okazuje się być starym prosektorium.

Bałagan, porozrzucane przedmioty, stary telewizor, odpadająca farba i napis, który nie pozostawia złudzeń: Chłodnie. Dwa małe pomieszczenia z przegórkami na zwłoki. Kilka par zwłok. Być może nam się wydaje, a być może naprawdę wszystko na chwilę ucichło. Nie słychać śpiewu ptaków, wiatr nie wieje. Zrobiło się tak jakoś... dziwnie.

Dodatkowo trafiamy na sytuację, która oglądana w kinie mogłaby wywołać delikatny uśmiech. Wyobraźcie sobie koty, małe i duże, skaczące oraz ostrzące pazurki na starym stole sekcyjnym. Widzicie to? Sytuacja na tyle groteskowa co niecodzienna. Opuszczamy to miejsce odprowadzani wzrokiem kilkunastu kocich lokatorów tego miejsca i wracamy do realnego świata ogrzewanego słabym jesiennym słońcem.

Tak, to miejsce zdecydowanie posiada złą aurę. ■

Ireneusz Witek oraz Marek Poprawa

to dwoje znających się od dziecka poszukiwaczy przygód, którzy wspólnie eksplorują miejsca niedostępne, niebezpieczne, postmilitarne oraz noszące miano nawiedzonych. Swoje wyprawy opisują na facebookowym profilu BAD BOYS KATOWICE, a filmy z ich eksploatacji można zobaczyć na kanale YouTube pod tą samą nazwą.

fot. arch. aut.





fol. arch.

Czarne miasto

O śląskim wierszu Tadeusza Różewicza

KATARZYNA NIESPOREK

Cisza

„Co cisza, to inna cisza” – pisała w jednym ze swoich esejów Aleksandra Kunce. Stwierdzenie to zwraca uwagę na „dynamikę ciszy”, która jest jednym z nieodłącznych elementów budujących świat człowieka. Nie jest ona jednostajna i niezmienna, ale także żywiołowa i energiczna. Potrafi przełamać i zmienić rzeczywistość, uczynić czymś nowym codzienność. Raz upragniona i wyczekiwana, innym razem zbyt głośna i doskwierająca. Cisza zbliża do świata albo od niego oddala. W znaczący sposób wpływa na jego ogląd i interpretację. Badaczka zwracała uwagę: „Cisza to doświadczenie i pojmowanie rzeczywistości, które może zbliżyć się do mistyki, imaginacji, nadrealności, iluzji, snu, ale może też kierować się w stronę zdroworozsądkowej i przyjaznej perspektywy, która każe oglądać rzeczy z pewnej odległości. I to ta druga perspektywa jest istotna. Idzie tu o dystans, kiedy śledzimy konstelację ludzi, przedmiotów, idei, działań, kiedy unieruchamiamy obraz, który ostatecznie zlewa, unieważnia dźwięki, maskuje zarysy postaci, by wydobyć inne”. Od człowieka zależy więc, w jaki sposób wykorzysta potencjał ukryty w ciszy. Z jednej strony otwiera na inne oddziaływania i bodźce, z drugiej zamyka na rzeczywistość. Ale brak dźwięków, odgłosów, hałasów czy wręcz milczenie paradoksalnie stanowią także jedne z najistotniejszych form porozumiewania się. Cisza wydarza się bowiem w języku. Jak każde wydarzenie „jest niespokojne, ruchliwe, szuka nowych form, które mogłoby przybrać, dąży do bycia wyrażonym w inny, niespotykany dotąd sposób”. Cisza zatem zawsze coś chce oznajmić. Nie jest – do wydził Heidegger – „czymś tylko bezgłośnym”, ale bywa także

„mową. Rozbrzmiewa, jak w poemacie Tadeusza Różewicza pod znanym tytułem *W ciszy tak drogo okupionej*. Napisał go poeta w Gliwicach, opublikował 1951 roku w tomie *Czas, który idzie*. Jest – zwracał uwagę Zdzisław Hierowski – „otwarty i zamknięty tym samym motywem”.

W ciszy tak drogo okupionej

Poeta pierwszą część wiersza rozpoczyna od opisu śląskiego pejzażu. Zanotował: „Śnieg kołował nad czarnym miastem/leży na hałdach senny biały ptak”. Różewicz, znajdując się we wnętrzu swojego domu, kieruje swój wzrok na zewnątrz. Spogląda z oddali przez okno. Rozpościera się z niego widok – jak pisał w swoich notatkach z 1969 roku – „z czerwonym kominem i białą brzozą”. Autor *Uśmiechów*, mieszkając na piętrze, wchodząc do domu „po schodach z białą poręczą” miał możliwość spoglądania na Gliwice z góry. Przyjmując taką perspektywę, nazywa je w wierszu „czarnym miastem”. Zdzisław Hierowski, patrząc na nie, pisał tak: „To miasto zrazu nie wydaje się czarne. Od dworca trzeba się przedrzeć przez zgiełkliwe śródmieście z jedną reprezentacyjną ulicą, która wieczorem rozpala się kolorami neonów, potem nagle kontrast – staromiejskie, ciasne uliczki z niewielkim ryneczkiem, coś z innego świata i innych czasów, i dopiero dalej miasto staje się czarne: typowo przemysłowe z ciemnymi, nieprzytulnymi ulicami w obramowaniu czarnych od sadzy kamienic, których cegła już dawno nie przypomina swej pierwotnej barwy”.

Określenie „czarne miasto” zwraca uwagę na wypełniające zurbanizowaną przestrzeń szarość, ponurość i brud. Szczegół-

nie doskwierały one autorowi *Niepokoju*: „Z listów Tadeusza Różewicza, zamieszczonych w tomie *Margines, ale...* wyłania się obraz miejsca, którego poeta nie oswoił, i w którym czuł się źle. Często powraca tu obraz «smutnego» [...] i «zadymionego» [...] miasta. Szczególnie uciążliwe wydają się spędzane w Gliwicach letnie dni. W roku 1958 w liście do Pawła Mayewskiego Różewicz skarżył się: «jestem zmęczony, cały lipiec, sierpień i część września siedziałem w Gliwicach – w dymie i zaduchu [...]»”.

Rzeczywistość przedstawiona w wypowiedziach Różewicza mieści się w określeniu Śląska, jako „czarnej krainy”, o czym pisała Elżbieta Dutka: „[...] «czarny Śląsk», «czarny kraj», powtarzają się wyjątkowo często także współcześnie [...]. Na trwale takie wyrażenia przyłgnęły do wyobrażeń przemysłowego regionu, który rozwinął się dzięki pokładom czarnego węgla, ale gwałtowna industrializacja oznaczała również zanieczyszczenie środowiska, w którym zaczął dominować właśnie kolor czarny – kolor sadzy i brudu”.

W omawianym wierszu autora *Uśmiechów* czarny pejzaż jest jednak inny. Rozświetlony przez padający śnieg prezentuje się pozytywnie. Poeta pisze, że „kołuje” on nad miastem. Nie jest zatem intensywny, uciążliwy dla otoczenia. Przeciwnie: z lekkością, powoli unosi się nad przestrzenią. Opadając stopniowo na ziemię, chowa pod swoją bielą czern. Śnieg z jednej strony przemienia rzeczywistość miasta Różewicza – jakby ją łagodzi i uspokaja, wprowadza w ciszę; z drugiej znacznie fałszuje jej obraz – przykrywa niedoskonałości, czyni ją nieautentyczną. Autor *Niepokoju*, wpatrując się w osnieżoną panoramę Gliwic, wyróżnia tylko jedno tworzące ją elementy. Są nimi rzucające się w oczy ze względu na swój stożkowaty kształt zwąły. Opadający na nie śnieg również zmienia ich scenierię. Poeta widzi go jako „sennego białego ptaka”. Nie przysiadł on na hałdach jedynie na chwilę, tylko po to, aby za moment odlecieć z nich i zniknąć w oddali, ale osiada się na nich i przytwierdza do nich, zostaje na dłużej. Różewicz oddany temu wrażeniu chce widzieć w hałdach nie tylko czarne wzgórze. „Senny biały ptak” (śnieg) czyni je innymi – osłabia ich czern, otacza spokojem. Różewicz przeczuwa, że jest on zapowiedzią czegoś więcej.

Po spojrzeniu na śląski krajobraz w zimowej scenerii następuje powrót wzroku poety do wnętrza mieszkania: „Cisza jest w naszym domu/w ciszy żona się śmieje/jej śmiech wypełnia ciszę//Koroną złotych włosów błyska/przyciska rękę do piersi/Jej śmiech wypełnia ciszę/tak drogo okupioną”. Uwaga autora *Niepokoju* zostaje teraz skupiona na ciszy wypełniającej przestrzeń domu oraz na żonie. Pierwsza to cisza powojenna – wyczekiwana i upragniona, naznaczona ludzkim cierpieniem i śmiercią. Człowiek nie chce przytłumić jej żadnym dźwiękiem. W mieszkaniu Różewicza osiąga ona swoje apogeum. Milczy w nim zarówno poeta, jak i jego żona. Symbolem tego milczenia jest niewyartykułowany śmiech kobiety. Poeta, obserwując ją, dostrzega nie tylko walory jej wyglądu zewnętrznego („Koroną złotych włosów błyska”), ale intuicyjnie rozpoznaje dźwięki przez nią niewypowiedziane. Różewicz podejrzewa, że żona się śmieje. Kobieta, której śmiech ciśnię się na usta, odczuwa lęk przed jego wyrażeniem, dlatego zatrzymuje go w sobie, hamuje. Podmiot wiersza opisuje jej zachowanie: „(żona – K.N.) przyciska rękę do piersi”. Gest ten daje znać, że w jej wnętrzu coś się wydarza. Kobieta broni się jednak przed uzewnętrznieniem swoich uczuć, ich wypowiedzeniem. Nie chce śmiechem zagłuszyć ciszy, obniżyć jej wartości. Zamknięcie spokoju byłoby powtórzeniem doskwierającej człowiekowi utraty ciszy, dlatego żona poety ukrywa czy chowa w niej swoją radość.

Ale też nie można jeszcze głośno się śmiać i cieszyć, bo – jak napisze Różewicz w drugiej części swojego wiersza –

W Hiszpanii w Grecji
w domach prostych ludzi
mieszka milczenie
w biednych domach
mieszka śmierć
Odszedł od nich śmiech

Myśli poety, rodzące się w zaciszu jego mieszkania nie koncentrują się tylko na jego najbliższym otoczeniu. Ten niewypowiedziany śmiech żony wywołuje w nim także inne obrazy. Autor *Niepokoju* sięga do cierpienia dwóch europejskich krajów. Między wierszami przypomina o toczących się wojnach domowych (w Hiszpanii – od 1936 do 1939 roku; w Grecji – od 1944 do 1949 roku). Zmagania zbrojne i walkę polityczną przeciwstawia cierpieniu zwykłych ludzi. Dokonuje się ono w przestrzeniach prywatności. Nie wypełnia ich taka cisza, jaka rozbrzmiewa po latach niepokoju w mieszkaniu Różewicza. Ta jest stanem fizycznym rzeczywistości, w której nie rozlegają się żadne dźwięki. Teraz mamy do czynienia z milczeniem i śmiercią. Pierwsza jest ciszą dialogiczną. Dzieje się ona między „ja” i „ty”, jest formą mowy, komunikującą sprawy najistotniejsze. W tym wypadku wyraża krzywdę i cierpienie człowieka. Druga jest ciszą absolutną. Przychodzi jak chce i kiedy chce. Istota ludzka nie ma na nią żadnego wpływu, tylko musi się jej poddać. Milczenie i śmierć zagłuszają spokój właściwej, upragnionej ciszy (tej, której ma szczęście doświadczać już autor *Czerwonej rękawiczki*), przytłumiają ludzki śmiech (ten, który ciśnię się na usta żony poety). Są mową komentującą niełatwą rzeczywistość, odzwierciedlającą sytuację, w jakiej przyszło znaleźć się człowiekowi: „Bo ludzie którzy czekają/ludzie którzy przywarli uchem do ziemi/ludzie którzy śpią z otwartym okiem/nie śmieją się/Ludzie którzy oddychają pod ziemią/Milczą”.

Oczekiwanie, następowanie, nocne czuwanie czy stan bezsenności, chociaż zastępują w wierszu śmiech, nie są milczeniem. Przeciwnie: czynności te przemawiają same w sobie, są mową wyrażającą nadzieję na ocalenie z czasów niepokoju. „Ludzie [...] przywarli uchem do ziemi”, bo próbują się z nią złączyć, zjednoczyć na tyle, aby móc jeszcze usłyszeć w niej głos innych ocalonych. Poszukują w jej wnętrzu oznak życia, które pozwoliłyby im uwierzyć w ludzkie zwycięstwo nad ciszą śmierci, przywrócić na usta utracony śmiech. Tymczasem – jak pisze Różewicz – „Ludzie, którzy oddychają pod ziemią/Milczą”. Porażeni bólem i cierpieniem, ukryci w niej, chociaż chwytają jeszcze powietrze, nie wypowiadają ani słowa, nie reagują na to nasłuchiwanie innych. Milczeniem bronią się przed wojną i śmiercią albo w milczeniu, chcąc powrócić do ziemi-matki, która ich zrodziła, umierają, albo szukają w niej ocalenia.

Ale w tej samej ziemi dokonuje się także odnowienie nadziei, ma miejsce początek odrodzenia do życia. Poeta zapowiada:

Nadchodzi czas

Rośliny, których korzenie i kwiaty
rozwijają się pod ziemią
do słońca zaczęły lecieć
W ciszy tak drogo okupionej
słychać piosenkę więźnia
„Padają trawy pod kosą, można je ogniem wypalić
ale kto mocen jest rozkazać ziemi wiosennej
Ziemi! Nie wolno ci rodzić zieleni
i nie noś na sobie bujnych traw”

Różewicz w fragmencie tym, przeczuwając nadejście wiosny, opisuje pozytywną wizję przyszłości. Zostaje ona przedstawiona przez obraz rozkwitającej natury. Usiłuje ona przebić się z wnętrza ziemi, z ciemności do światła. Jest zapowiedzią przemiany rzeczywistości, w której „podziemie” przebudza się do działania, pokazuje drżącą w nim siłę. To moment przełamania milczenia, nadejścia upragnionego czasu pokoju – „ciszy tak drogo okupionej”. Milczenie to przerywa również – dotąd bezbrony, uciemiężony, gnębiony – więzień. Przewycięża strach przed mówieniem. Jego zachowanie jest wymownym symbolem przywróconej do życia rzeczywistości. Patetyczne frazy patriotycznej pieśni zamienia na piosenkę. W „ciszy tak drogo okupionej” wybrzmiewa prosta forma gatunkowa. Wyłania się z niej triada: śmierć – życie – śmierć. Jej treść przekazuje najpierw prawdę, że dokonującego się właśnie odrodzenia nie można w za-

den w sposób powstrzymać. Podmiot mówi: „kto mocen jest rozkazać ziemi wiosennej”. Porażone umieraniem życie z jednej strony pokazuje więc niezłomność, zdolność do pokonywania przeciwności, powrót do swojej pełni; z drugiej przypomina, że śmierć jest obecna i nie można jej uniknąć, tym bardziej o niej zapomnieć.

W trzeciej części utworu myśli Różewicza koncentrują się ponownie na gliwickiej przestrzeni. Napisał:

W ciszy tak drogo okupionej
w mieście fabrycznym leży cmentarz
Czerwony mały cmentarz
w środku czarnego miasta
nagrobki z prostych desek
nad każdym stoi gwiazda
W ciszy tak drogo okupionej
słysząc śmiech dzieci które biegną
mijają cmentarz biegną dalej
Słysząc najczulsze każde słowo
i szept i oddech
W ciszy tak drogo okupionej

Strofa ta, będąca powrotem poety do „czarnego miasta”, przywołuje dwa, odległe od siebie obrazy. Pierwszym z nich jest cmentarz wojenny żołnierzy radzieckich biorących udział w ofensywie styczniowej 1945 roku w ramach operacji sandomiersko-śląskiej. Pełni on rolę miejsca pamięci o dramatycznych wydarzeniach. Kolor czerwony nie jest tutaj tylko barwą wypełniającą kontury pięcioramiennej gwiazdy występującej na fladze czy na godle państwa radzieckiego, ale także odzwierciedleniem dokonanej masakry na Niemcach i Ślązakach. Co istotne, jego lokalizacja – jak napisał Różewicz – „w środku czarnego miasta” nie pozwala zapomnieć o istotnych prawdach historycznych. Ludzie wojennego pokolenia, którzy każdego dnia poruszają się ulicami miasta nad Kłodnicą, przechodząc obok cmentarza, przypominają sobie o ludzkim cierpieniu, zderzają się z nim od nowa. Nawet „w ciszy tak drogo okupionej”, w latach nastającego pokoju, powraca ono do człowieka, wywołuje w nim uczucie trwogi, niepokoju. Drugi obraz przedstawia bieżące nieopodal tego samego miejsca dzieci – jak napisał Zdzisław Hierowski – „nieświadomych obcowania z bohaterstwem i śmiercią”. Mury cmentarza ich nie przerażają, groby nie robią na nich większego wrażenia. Nieuświadomione jeszcze przez śmierć, niedotknięte okrucieństwem wojny, żyją bez troski w „ciszy tak drogo okupionej”. To dla nich cisza codzienności – zwykła cisza. Innej bowiem nie znają. Przełamują ją radosnym śmiechem, którego odgłos roznosi się po okolicy. Nie zagłusza on jednak innych dźwięków nieśmiało przebijających się przez tę ciszę. Spontanicznemu, dziecięcemu śmiechowi poeta przeciwstawia „najczulsze każde słowo/i szept/i oddech” dorosłych. To mówienie prawie bezdźwięczne, niesłyszalne, niezagrażające rozbrzmiewającej głośno ciszy oraz myśl o dzieciach prowadzi Różewicza ponownie do jego domu:

Śnieg kołował nad czarnym miastem
leży na hałdach senny biały ptak
Cisza jest w naszym w domu
w ciszy żona się śmieje
jej śmiech wypełnia ciszę tak drogo okupioną

Koroną złotych włosów błyska
rękę przyciska do piersi Słyszę jej głos
„Dwa serca teraz biją we mnie”

Słyszę jej głos Słyszę jej śmiech
Szczęśliwy śmiech w tej ciszy.

wyartykułowany, ukryty w ciszy śmiech żony poety. Inaczej niż w pierwszej części poematu przedstawia się jednak scena, w której kobieta „rękę przyciska do piersi”. Tym razem gest ten nie zostaje zanurzony w „ciszy tak drogo okupionej”, ale więcej: prowadzi do przerwania milczenia i wypowiedzenia zdania: „Dwa serca teraz biją we mnie”. Tę powojenną, porażoną śmiercią rzeczywistość przemienia zapowiedź pojawienia się nowego istnienia. Wiadomość o nim przerywa wcześniej powstrzymywany i hamowany śmiech żony poety. Różewicz mówi: „Słyszę jej głos Słyszę jej śmiech/Szczęśliwy śmiech”. Dziecko stanie się znakiem nowych czasów. Wiersz napisany przez poetę w 1950 roku „w ciszy tak drogo okupionej” „w czarnym mieście”, w cieniu hałd zapowiada narodziny pierwszego syna Różewiczów. Przewidziane przez autora *Uśmiechów* w poprzednich częściach utworu odrodzenie przyszłości w sensie historycznym czy politycznym dotyczy więc także jego prywatnego życia.

Śląski pejzaż

W poemacie Tadeusza Różewicza śląski krajobraz z hałdami w tle nie jest najważniejszy. Pojawia się tylko przy okazji, jest elementem dodatkowym tworzącym scenerię dla opisywanej, rozgrywającej się w jego mieszkaniu ważnej sytuacji lirycznej. Ale również to m.in. w cieniu hałd i kopalnianych kominów – jak napisze Hierowski – „dokonywał się ów proces powrotu do codzienności, do prostych, najprostszyszych prawd życia, które człowiekowi żarzonemu śmiercią stawały się objawieniem, do zwykłych stosunków międzyludzkich”.

W *Ciszy tak drogo okupionej* śląski pejzaż jest szczególny. Poeta zestawia jego czerń z bielą śniegu. Ten, przykrywając miasto, nie tylko zmienia scenerię najbliższego otoczenia poety, ale uspokaja je, pozwala wpisać w eksponowaną w poemacie rzeczywistość ciszy i milczenia. Osiadający na hałdach „Senny biały ptak”, będący – jak już zostało wcześniej zaznaczone – metaforą śniegu, czyni je w pewnym sensie onirycznymi elementami krajobrazu, zmieniającymi ich właściwości. Hałdy nie są bowiem okryte kłębami trującego śląską przestrzeń dymu, nie żarzą się na nich kamienie wydobyte z kopalni. Takie przedstawienie śląskich wzgórz pojawia się dla odmiany w liryku *Odpowiedź* autora *Czerwonej rękawiczki*. Między programowe postulaty dotyczące poezji zostaje wpleciono następujący obraz: „Patrzę na dymy które unoszą się/pionowo nad płaskimi dachami/mojego miasta//Widzę pręgowane ogniem/boki hałd/widzę czarne dni robocze/które zbiegają się w czyste/kryształy planów”.

Różewiczowskie dymy nad miastem wydobywają się z kopalnianych kominów i śląskich zwałów, zaciemniając przestrzeń. W „czarnym mieście” hałdy zostają jednak wyróżnione. Na ich zboczach tym razem można dostrzec ogień, który podkreśla i oznacza formę zwału – jego kształt i wysokość. Wzgórze zostaje przez ów łagodnie objawiający się na nim żywioł wyodrębnione z ciemnego krajobrazu. Ogień w tym wierszu nie jest siłą niszczącą. Przeciwnie: dodaje zwałowi estetycznych walorów, przemienia go. Dzięki żywiołowi hałda nie jest już popielata czy czarna. Ogień wywołuje wrażenie, że śląskie wzgórze jest usytuowane w centrum przestrzeni, a nie na jej peryferiach. Hałda góruje i płonie nad miastem. Autor *Szkiców krytycznych*, przypominając motyw „czarnego miasta” w utworach Różewicza, słusznie skonstatował: „[...] typowe rekwizyty śląskiej poezji regionalnej – dymy, pręgowane ogniem boki hałd – [...] i budowany z nich obraz nie są celem dla siebie, jak się to dzieje u poetów, którzy na Śląsku tylko to właśnie dostrzegają. Jak w innych [...] wierszach Różewicz przez krajobraz dochodzi do człowieka, wiążąc go z nim w sposób istotny, by zamknąć wiersz pointą, która z liryką krajobrazowo-opisową nic nie ma wspólnego. Tak wiersz osadzony mocno w obrazie czarnego miasta nabiera sensu ogólnego, stając się jednym z ogniw w łańcuchu utworów nieodzownych do określenia poezji Różewicza”.

Urodził się w 1891 roku. Jego ojciec Zdzisław Czernichowski był urzędnikiem pocztowym. Dzieciństwo Edek spędził w wielojęzycznych i wielokulturowych Czerniowcach – stolicy okręgu Bukowina. Wtedy mieszkało tam ponad 50 tysięcy Polaków. Dawniej tereny pomiędzy Dniestrem, Prutem, Czeremuszem i Sereciem należały do polskich królów, a przed I wojną światową wraz z całym okręgiem do cesarstwa Habsburgów. Potem zaanektowały je władze Ukrainy, a w 1918 roku znalazły się w granicach królestwa Rumunii. Od czasów dziewiętnastowiecznych powstań narodowych w Czerniowcach mieszkała liczna i dobrze zintegrowana kolonia polskich patriotów. Skupiali się w Towarzystwie Bratniej Pomocy im. Adama Mickiewicza, które miało siedzibę w Domu Polskim. Wydawali „Gazetę polską”. Mieli polskojęzyczne gimnazjum, a w kamienicy „Pod złotym jagnięciem” polską czytelnię z biblioteką w ojczystym języku, gromadzoną od 1869 roku – zaliczaną do największych za granicą. Czerniowiecki dziennikarz Klemens Kołakowski, swoich rodaków – zawsze wiernych ojczyźnie, uwiecznił w strofach okolicznościowego wiersza:

„Jak ongi nasi rycerze starzy
W zbrojnych stanicach trzymali straż,
I my, do dalszej wezwani straży,
Na kresach sztandar wznosimy nasz.
Broń nasza – księga, dłuto i kielnia,
A teren boju – oświaty szlak;
Stanica nasza – skromna Czytelnia,
Gdzie straży wodze, hasło i znak”.

Tam, w kresowej metropolii nad Prutem, Edward ukończył kilka pierwszych klas gimnazjalnych, a maturę uzyskał we Lwowie w 1909. Karierę akademicką rozpoczął od studiowania teologii na lwowskim uniwersytecie Jana Kazimierza. Rychło jednak stwierdził, że nie była jego powołaniem i przeniósł się na filologię klasyczną. Gdy wybuchła I wojna światowa jako poddany habsburskiego tronu został wcielony do armii austro-węgierskiej. Walczył na froncie wschodnim. Po demobilizacji jesienią 1918 roku, ze stopniem podporucznika rezerwy powrócił do rodzinnych Czerniowiec. Na tamtejszym Królewskim Uniwersytecie Karola I, teraz już pod patronatem rumuńskiego monarchy, zaliczył brakujące wykłady i egzaminy, a finalny w 1919 roku zdał z wynikiem bardzo dobrym, uzyskując dyplom nauczyciela szkół średnich.

Przez 2 lata, w polskim gimnazjum realnym w Czerniowcach nauczał języka ojczystego, greki, łaciny i filozofii.

W czasie wojny Polakom na Bukowinie, wstrząsanej waśniami politycznymi pomiędzy Rusinami i Rumunami, wiodło się coraz gorzej. Liczba tamtejszych Polonusów topniała z roku na rok. W polskich szkołach kształciła się już tylko garstka uczniów. Rodacy szli na wygnanie. Wie-

Był jednym z pierwszych polskich nauczycieli Państwowego Męskiego Gimnazjum Klasycznego im. św. Kazimierza w Katowicach, (obecnie III Liceum Ogólnokształcące Adama Mickiewicza), a w latach 1926 do 1930 dyrektorem tej szkoły. On także inaugurował działalność polskiego gimnazjum matematyczno-przyrodniczego Mikołaja Kopernika. W 1930 roku zainicjował otwarcie katowickiego Instytutu Pedagogicznego, którego tradycje 38 lat później kontynuowali akademicy Uniwersytetu Śląskiego.

Szkic do portretu pedagoga Edward Czernichowski

HENRYK SZCZEPAŃSKI

lu kierowało się na inne kontynenty ale większość do Krakowa, a po 1921 roku także na powracający do Macierzy Śląsk. Edward Czernichowski znalazł się w grupie 70 wschodniogalicyskich emigrantów – jednej z pierwszych, która przybyła do Katowic w lipcu 1922 roku. Tutaj czekała na nich praca. Coraz liczniejsze gromady Niemców przenosiły się za nową granicę – do swoich germańskich mateczników w Prusach, Bawarii, Saksonii i Brandenburgii. Na Śląsku każdego Polaka witano z otwartymi ramionami.

Gimnazjum św. Kazimierza

Gdy wynajmował mieszkanie w kamienicy Gustawa Bernsteina przy ulicy Podgórznej 3, był upalny lipiec 1922 roku. Tam zamieszkała z nim żona Helena z domu Schwarz i tutaj doczekali syna Henryka. Pod tym adresem mieszkali do sierpnia 1939. Przez wiele lat ich sąsiadem był Konstanty Ostrowicz, emerytowany wiceprezes Sądu Apelacyjnego.

Od kilku tygodni Katowice należały do Polski. Polacy przejmowali władzę w mieście, organizowali własną administrację i szkolnictwo. 31 wiosen liczący pedagog zgłosił się do Wydziału Oświecenia Publicznego, który wtedy jeszcze mieścił się w Mysłowicach. Jako nauczyciel został skierowany do pracy w Państwowym Męskim Zreformowanym Gimnazjum Klasycznym im. Św. Kazimierza przy ulicy Mickiewicza 13 w Katowicach, gdzie od lipca tego roku, na stanowisku katechety i dyrektora komisarycznego pracował ks. Augustyn Koźlik, były „Zetowski” komisarz tajnych polskich kółek gimnazjalnych na Śląsku, a potem członek Polskiego Komisarjatu Plebiscytowego i wizytator nauki religii z ramienia Międzysojuszniczej Komisji Rządzącej i Plebiscytowej.

Jeszcze kilka tygodni wcześniej występowało pod nazwą: Königliches Gymnasium (Gimnazjum Królewskie). 14 września 1922 roku zainaugurowało pierwszy polski rok szkolny. To była ważna historyczna data. Po przeszło półwieczu indoktrynacji w duchu pruskiego poddaństwa, miało teraz kształcić zastępy inteligentów dla miasta, regionu i Polski.

Po Mszy Świętej w kościele Mariackim wspólnie z kolegami i młodzieżą, dr Czernichowski przeszedł do gimnazjalnej auli przy ulicy Mickiewicza, aby wysłuchać uroczystej oracji nowego dyrektora – dra Józefa Wolfa, przeniesionego tutaj z Ostrzeszowa na Ziemi Wieleńskie. Przemawiał po polsku i po niemiecku. Młodym Niemcom przypominał o obowiązkach wobec państwa polskiego i o przywilejach, należnych im na mocy konwencji genewskiej.

Jako filolog klasyczny, Czernichowski przez kilka miesięcy nauczał w tej szkole łaciny. Wśród kolegów z grona pedagogicznego miał głównie Polaków z zagranicy. Byli to absolwenci uczelni austriackich, niemieckich bądź innych krajów europejskich, którzy podobnie jak on obok języka ojczystego swobodnie posługiwali się językiem Goethego i Schillera, dzięki czemu w okresie przejściowym mogli prowadzić lekcje po polsku lub po niemiecku, stosownie do potrzeb i możliwości dwujęzycznej społeczności uczniowskiej.

Wychodząc do pracy w gimnazjum przy ulicy Mickiewicza prof. Czernichowski, z domu przy ulicy Podgórznej, celowo przechodził obok starego dworca kolejowego a potem przez Młyńską aby rzucić okiem na zgrabny, wysmukły i często spowity dymem z wysokiego komina amerykański młyn parowy. Przechodząc obok, miał wrażenie, że jest w Czerniowcach, mieście swego dzieciństwa i młodości. Tam nad Prutem, w pobliżu stacji kolei żelaznych stał wypisz, wymaluj, taki sam imponujący młyn Schlossmanna. Projektantem i budowniczym obydwu był krakowski inżynier Walery Kołodziejcki, absolwent Politechniki w czeskiej Pradze. Katowicki był największym spośród młynów Kołodziejckiego; zaprojektował go „na 120000 korcy rocznie”; młyn Schlossmanna nad Prutem był drugi na liście i w skali roku przerabiał 100000 korców ziarna.

W gimnazjum „Kopernika”

Wczesną wiosną 1923 roku Czernichowski został służbowo przeniesiony na stanowisko komisarycznego dyrektora Wyższej Szkoły Realnej, wkrótce przemianowanej na Gimnazjum Matematyczno-

-Przyrodnicze przy ulicy Jagiellońskiej – potem pod patronatem Mikołaja Kopernika. Tam w dalszym ciągu nauczali niemieccy nauczyciele, którym przewodził kajzerowski dyrektor, dr Richard Bürger. Chroniony nominacją katowickiego magistratu, ostentacyjnie ignorował święta państwowe Polaków i polskie władze oświatowe. W gimnazjalnych kronikach czytamy: „W szkole zastał niemieckiego dyrektora Buergera, posiadającego niemiecki dekret, wydany przez magistrat miasta Katowice i ustalający go dożywotnio dyrektorem „Oberrealschule”.

Dyrektor Bürger odmówił przekazania szkoły w ręce prof. Czernichowskiego. Usiłował go sekować i sabotował zarządzenie Wydziału Oświecenia Publicznego. W tej tragikomicznej sytuacji prof. Czernichowski polecił woźnemu Zipsowi wnieść do gabinetu drugie biurko dla siebie i ogłosił zapisy do klas I–IV z polskim językiem nauczania. Po kilku tygodniach Bürger dał za wygraną, opuścił swój fotel i wyprowadził się do teutońskich ostępów skrahowanego Vaterlandu.

Czernichowski, z natury stanowczy lojalista wierny sokratejskim cnotom nauczyciela oraz szczytnym ideałom wychowania, niezwłocznie zatrudnił polskich pedagogów. Tuż po Wielkanocy 1923 otworzył pierwsze cztery klasy dla gimnazjalistów Polaków. Po ojcowisku troszczył się o młodych wykładowców, po większej części absolwentów Uniwersytetu Jagiellońskiego, nie posiadających państwowego egzaminu nauczycielskiego potwierdzającego ich praktyczne umiejętności pedagogiczne. Hospitował lekcje młodszych kolegów, udzielał wskazówek i zachęcał do uzupełnienia kwalifikacji.

Swoje obywatelskie credo dr Czernichowski wypowiadał słowami Sokratesa: „Gdzie człowiek raz stanie do szeregu, bo to uważał za najlepsze, albo gdzie go zwierzchnik postawi, tam trzeba trwać, mimo niebezpieczeństw, zgoła nie biorąc w rachubę ani śmierci, ani niczego innego oprócz hańby”.

Na katowickim areopagu zawrzało. Porażka niemieckiego nauczycielstwa i sukcesy polonizacyjne dra Czernichowskiego były solą w oku odwetowo usposobionego Volksbundu, całkowicie jeszcze zniemczonej administracji i berlinocentrycznej prasy. W miejskim Wydziale Szkolnym decydujący głos należał do Niemców: inspektorów Ignatza Gromotki i Heinricha Northmanna. Na forum rady miasta żądano ogłoszenia nowego konkursu na stanowisko dyrektora gimnazjum matematyczno-przyrodniczego. W maju 1925 ratusz przychylił się do postulatów frakcji niemieckiej. Dr Czernichowski przepadł w wyżsigo po dyrektorski fotel.

Szczęście uśmiechnęło się do niego z innej okazji. Zaproponowano mu przeprowadzkę do mieszkania opuszczonego przez dyrektora Bürgera. Dr Czernichowski był jego sąsiadem w kamienicy przy

Podgórznej 3. Mieszkał na III piętrze. Przeprowadził się o jedną kondygnację niżej.

Niespodzianka

Po wakacjach władze oświatowe ponownie przeniosły Czernichowskiego do gimnazjum św. Kazimierza. Tym razem na stanowisko dyrektora, na którym pracował od 1 października 1925 do 1 września 1930. Szkolny dziejopis odnotował: „Ambicją dyr. E. Czernichowskiego było uzyskanie dla gimnazjum jak najlepszej opinii, a nie szedł do tego celu drogą tanich efektów, lecz ofiarną, pełną zaparcia się pracą. Sam może był w objęciu zbyt „urzędowy”, ale zawsze rzeczowy i obiektywny. Ścisłe wymaganie spełniania obowiązków – oto jego dewiza tak w stosunku do nauczycieli, jak i uczniów”.

Pedagoga i gimnazjum które prowadził przypomina jego absolwent, August Grodzicki, rocznik 1912 (matura 1930), śląski a potem warszawski wybitny krytyk teatralny, dziennikarz i literat: „Katowickie Gimnazjum im. A. Mickiewicza było dobrą szkołą, warto jego pamięć utrwalić sprawiedliwym słowem. W tych latach sanacyjne upolitycznianie nie ogarnęło jeszcze całkowicie szkolnictwa. W naszym gimnazjum wychowanie państwowe dawковано w rozsądnym nasileniu, nie nachalnie, pielęgnując przede wszystkim poczucie polskości, co na Śląsku wówczas miało duże znaczenie. Dyrektor Edward Czernichowski, doświadczony, surowy pedagog, dzierżył ster pewną ręką, kierował nim umiejętnie. W ósmej klasie uczył nas przedmiotu, który zwał się propedeutyką filozofii, a obejmował podstawy psychologii i logiki. Bardzo pasjonował nas ten przedmiot. Dyrektor zahaczał od czasu do czasu o prawdziwą filozofię, mogliśmy z niej to i owo posmakować, a że podrażniało to apetyt, doszło nawet do założenia samokształceniowego kółka filozoficznego. Biblią dla nas był popularny *Wstęp do filozofii* Jarusalema, przestudowałem go dokładnie, ale utknąłem bezradny na dużym rozdziale o empiriokrytycyzmie Husserla”.

W tamtych latach od 1927 gimnazjaliści zapoczątkowali redagowanie gazety szkolnej zatytułowanej „Nasze Pisemko” (po kilku latach pod nowym tytułem „Śmiało”). Stało się uczniowską trybuną zachęcającą do prezentacji twórczych i krytycznych spostrzeżeń autorów wkraczających na ścieżkę aktywności obywatelskiej.

Czernichowski, przybysz z kresów wschodnich, nie miał łatwego życia wśród katowickich tubylców. Sympatią nie darzyli Czernichowskiego rodzice niemieckojęzycznych gimnazjalistów. Już w listopadzie 1925 roku, na łamach paszkwilanckiego „Der Pranger” (Pręgierz), dodatku do „Głosu Górnego Śląska” wyrażali niezadowolenie z powodu promowania wy dawnictwa „Książnica Śląska” oferującego polskie podręczniki i literaturę. Wytykali, że reaktywował spółdzielnię i skle-

pik uczniowski, pomawiali, że rodziców podstępnie wciągał do spółki czerpiącej profity z funkcjonowania „Książnicy”. Ba, reaktywował nawet „menażerię”, która w niemieckiej szkole istniała już 50 lat wcześniej. Mieli mu za złe, że w swoim gabinecie na ścianie wywiesił plakat reklamowy o treści:

„Książnica Śląska, Sp. z ogr. odp., Katowice, ul. Warszawska 58. Sprzedaż książek i map geograficznych. (Hurt.)”.

Dr Mieczysława Mitera-Dobrowolska, nauczyciel języka polskiego w Żeńskim Gimnazjum i Liceum w Katowicach, a po latach profesor Uniwersytetu Śląskiego, zapamiętała Czernichowskiego jako „wybitnego pedagoga, filologa klasycznego z Czerniowiec, który nadał szkole właściwy kierunek”, a jego kolega i współpracownik, wizytator szkolny Szymon Kędryna dodaje: „Czernichowski był człowiekiem wymagającym, ale sprawiedliwym, interesował się nie tylko samym procesem dydaktycznym, lecz również życiem społecznym szkoły, udziałem nauczycieli w życiu kulturalno-oświatowym środowiska”. Liczne grono debiutujących wychowawców zainspirował do zdobywania coraz wyższych kwalifikacji, „do czytelnictwa i studiowania dzieł pedagogicznych”.

Oświatowiec pozytywista

Czernichowski, typowy kresowiak był urodzonym społecznikiem hołdującym ideałom polskiego pozytywizmu. Pełno go było na salonach i na zebraniach koleżeńskich. W Śląskim Kole Polskiego Towarzystwa Filologicznego, któremu przewodniczył wizytator szkolny dr Wincenty Ogrodziński, Czernichowskiemu powierzono funkcję wiceprezesa. Pani Marja Stępniewska została sekretarzem, a pani Janina Lorenzowa skarbniczką.

W kraju ich oddział był drugim co do wielkości. Spotykało się w nim ponad 70 osób, głównie nauczycieli pragnących pogłębić wiedzę o starożytności. Ich celem było „pielęgnowanie i krzewienie filologii klasycznej z uwzględnieniem potrzeb nauki szkolnej”. Opracowali „memoriał” dotyczący organizacji „gimnazjum klasycznego na Śląsku” i przekazali go Wojewodzie Śląskiemu oraz Ministerstwu Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Postulował reformę programu nauczania. Już w marcu 1927 roku po pierwszym walnym zebraniu członków śląsko-zagłębiowskiego PTF, które odbyło się w sali nauczycielskiej gimnazjum państwowego w Katowicach, reporter „Gazety Robotniczej” nie szczędził słów podziwu i chwalił:

„Nadzieja Wydziału Polskiego Towarzystwa Filologicznego, że prastara Piastowska ziemia Śląska nie pozostanie w tyle za innymi ziemiami, w ruchliwości na polu filologii klasycznej, ziściła się w całej pełni, bo oto Koło Śląskie liczy 52 członków z pomiędzy nauczycieli gimnazjów śląskich i Zagłębia Dąbrowskiego, i tem samym liczebnością swoją zaj-

muje jedno z pierwszych miejsc wśród Kół Filologicznych. Walne Zgromadzenie miało przebieg, imponujący rzeczością obrad i zainteresowaniem się licznymi uczestnikami”.

Drugą pasją Czernichowskiego była filozofia. W Towarzystwie Filozoficznym pełnił również funkcję wiceprezesa. Szefem zarządu śląskich filozofów był dr Tadeusz Strzembosz a sekretarzem dr Maria Lutman-Kokoszyńska. Stowarzyszenie zachęcało do samokształcenia i poszerzania horyzontów intelektualnych. Wyznaczało sobie następujące zadania: „1. popierać pracę naukową w dziedzinie filozofii, 2. szerzyć za pomocą odczytów i dyskusyj znajomość myśli filozoficznej wśród wszystkich, którzy się nią interesują, 3. dostarczyć nauczycielom propedeutyki filozofii sposobności do omawiania zagadnień dydaktycznych z nauczaniem filozofii złączonych”.

Dr Czernichowski angażował się w działalność katowickiego okręgu Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych, któremu przewodniczył inż. Antoni Różnowski. Prof. Mitera-Dobrowolska przypomina: „Na posiedzeniach Sekcji Pedagogicznej Towarzystwa, której przewodniczył Edward Czernichowski, narodziła się w r. 1928 inicjatywa powołania do życia Instytutu Pedagogicznego, który miał z czasem odegrać wybitną rolę w szkolnictwie śląskim, jako pierwsza szkoła półwyższa i załączek uczelni akademickiej”.

Instytut Pedagogiczny

Od 1928 roku dr Czernichowski pełnił funkcję prezesa zarządu Towarzystwa Instytutu Pedagogicznego w Katowicach, a od 1930 aż do wybuchu wojny dyrektora tej uczelni. Instytut Pedagogiczny był dziełem jego życia. Dzięki jego inicjatywom, promocji, pomysłowości i zdolnościom organizacyjnym uczelnia stała się substytutem uniwersytetu, kuźnią polskiej myśli pedagogicznej na Śląsku i rzeczywistą alma mater uczelni akademickich na odrodzonym skrawku ojczyzny. Jej statutowym obowiązkiem było: „wpłynąć na kształtowanie osobowości nauczyciela i przyczynić się do stworzenia nowego typu nauczyciela, który byłby zdolny do realizowania zadań nowej szkoły”.

Ceniąc sobie nowoczesne media, działalność Instytutu popularyzował również na antenie katowickiej rozgłośni Polskiego Radia. 26 listopada 1929 roku wystąpił w pół godziny trwającej autorskiej audycji zatytułowanej „Organizacja i rozwój Instytutu Pedagogicznego w Katowicach”.

W swoich publikacjach podkreślał, że celem działalności IP jest dokształcanie nauczycieli: „lepsze przygotowanie ich do zawodu, wytworzenie pewnej elity, któraby się przyczyniła do podniesienia poziomu ogółu”.

Charakteryzując funkcje Instytutu wyjaśniał: „Pogłębia wykształcenie ogólne i zawodowe nauczycielstwa, oświetla

na urządzanych kursach i daje wytyczne dla rozwarzania konkretnych potrzeb szkoły, budzi rozumienie i podnosi kulturę pedagogiczną, wnosi w świat nauczyciela i życie szkoły światło rzetelnej wiedzy i prawdziwej nauki, jest dla swego ośrodka tem, czem gdzieindziej są wydziały pedagogiczne uniwersytetów, instytuty pedagogiczne i pedagogiczne akademje. Instytut Pedagogiczny w Katowicach jest tych innych form odpowiednikiem i pionierem ich na gruncie polskim”.

Pracując na stanowisku dyrektora IP, w latach 1930–1937, był też zatrudniony jako wizytator w referacie szkolnictwa średniego ogólnokształcącego Wydziału Oświecenia Publicznego w Katowicach.

Niemiecka okupacja

Po wkroczeniu Niemców na Śląsk zbiegł do Lwowa. Tam od października 1939 do czerwca 1941 był nauczycielem w szkole średniej z polskim językiem wykładowym, a od listopada 1941 do czerwca 1944 – w Do kształcącej Szkole Kupieckiej. W lipcu 1944 przeprowadził się do Krakowa gdzie pracował jako nauczyciel Szkoły Budowlanej. Jednocześnie uczestniczył w tajnym nauczaniu.

Od 1941 roku pełnił obowiązki referenta statystyczno-finansowego w Śląskim Biurze Oświaty i Kultury „Polski Podziemnej”. Jego szefem był dr Kazimierz Popiołek, a jedną z zakonspirowanych koleżanek Stefania Mazurek – referent szkolnictwa średniego. Ich komórka była agendą Biura Szkolnego Ziem Zachodnich, kierowanego przez Michała Pollaka kuratora poznańskiego. Za pośrednictwem delegatów organizowali akcję tajnego nauczania na Śląsku. W powojennych aktach krakowskiego Wydziału Spraw Wewnętrznych został odnotowany jako: „żołnierz Kierownictwa Dywersji (Kedyw) Armii Krajowej”.

W Polsce Ludowej

Po wyzwoleniu dr Czernichowski pełnił obowiązki naczelnika Wydziału Kształcenia Nauczycieli w Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego, a w maju 1945 został przeniesiony do Warszawy na stanowisko naczelnika Wydziału Kształcenia Nauczycieli w Ministerstwie Oświaty. Po między 1947–1950 pracował jako zastępca dyrektora Departamentu Szkolnictwa Ogólnokształcącego. Był ekspertem w zakresie organizacji zakładów kształcenia nauczycieli w Polsce Ludowej.

Wcielał w życie koncepcje prof. Jana Władysława Dawida, wybitnego pedeutologa, postulującego utworzenie akademickiej, zawodowej szkoły nauczycielskiej, autora przełomowego dzieła *Inteligencja, wola i zdolność do pracy* (1911) oraz rozprawy *O duszy nauczycielstwa* (1912). Nawiązywał do propozycji dr Henryka Rowida, które zostały ogłoszone na IV Kongresie Pedagogicznym ZNP w 1939 r.

Dr Czernichowski wylansował pogląd, iż nauczyciele wszystkich typów i stop-

ni szkół winni otrzymać wykształcenie akademickie.

Projekt kształcenia wszystkich nauczycieli na poziomie akademickim wszedł w życie zarządzeniem ministra oświaty z dnia 28 sierpnia 1945 r. poprzez uruchomienie Wyższych Kursów Nauczycielskich, równoznacznych z pierwszym rokiem studiów w Wyższej Szkole Pedagogicznej (lub Instytucie Pedagogicznej).

Wraz ze wspomnieniem pierwszych powojennych wiosen dr Czernichowskiego przywołuje prof. Józef Pieter, pierwszy po okupacji dyrektor Instytutu Pedagogicznego, autor dwutomowego wydania zatytułowanego *Czasy i ludzie*:

„Czernichowski, jako naczelnik wydziału – już w gmachu Ministerstwa na Al. Szucha – odniósł się do mnie życzliwie. Nawet nie wspominał o swoim – już wtedy nieaktualnym – życzeniu ponownego uplasowania się w Instytucie. Dla urzędnika, jakim był z krwi i kości, „naczelnicostwo” w Ministerstwie było więcej warte niż nijaka dyrektura wątpliwego Instytutu. Zresztą Czernichowski był skryty, flegmatyczny i uczuć swych nie ujawniał”.

W tym czasie Ministerstwem oświaty kierował dr Stanisław Skrzyszewski, absolwent filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego, przed wojną dyskryminowany i więziony za wystąpienia komunistyczne. W latach politycznej nagonki dr Czernichowski zatrudnił go w Instytucie Pedagogicznym. Od 1937 roku, co tydzień, romantyczny marksista przyjeżdżał na Szkołę 9, gdzie prowadził wykłady z filozofii. W tym czasie był też współpracownikiem dra Henryka Rowida, dyrektora Państwowego Pedagogium w Krakowie. Obydwaj popularyzowali ideał człowieka i nauczyciela uspołecznionego.

Prof. Pieter odnotował: „Skrzyszewski od 1935 roku dojeżdżał do Instytutu Pedagogicznego w Katowicach jako asystent Rowida, z którym pomimo radykalnej odmienności przekonań polityczno-światopoglądowych znośił się dobrze. Zdaje mi się, że również z Czernichowskim – dyrektorem Instytutu «wychodził» dobrze”.

Od listopada 1950 do grudnia 1954 dr Czernichowski miał etat samodzielnego pracownika naukowego w Instytucie Pedagogiki w Warszawie. Pełnił tam funkcję kierownika Działu Metodyki Nauczania, a następnie sekretarza naukowego Instytutu. Był członkiem Związku Nauczycielstwa Polskiego i Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Jednak nie cieszył się zaufaniem funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. W kwerendach Instytutu Pamięci Narodowej – po 1945 roku znajdował się w rejestrze osób systematycznie obserwowanych, objętych inwigilacją.

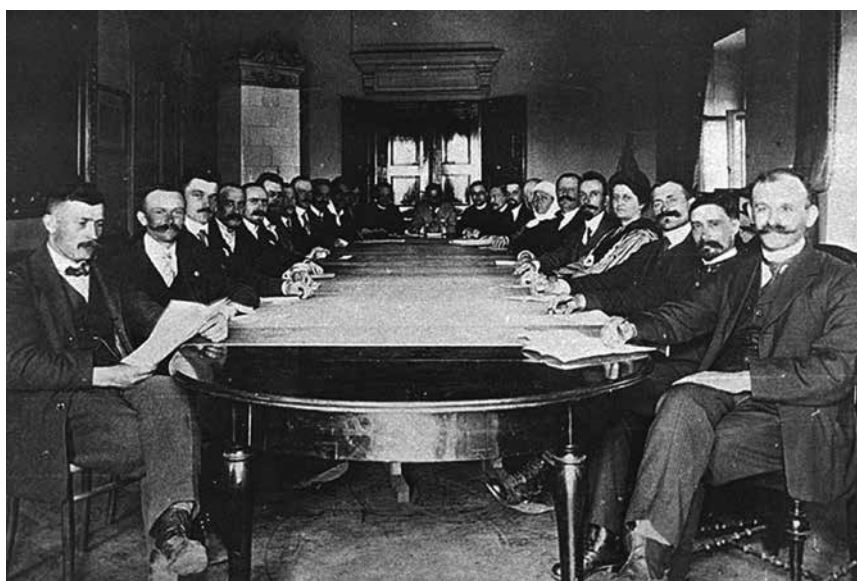
Zmarł w Warszawie 10 grudnia 1954 roku. Jego grób znajduje się na cmentarzu Powązkowskim. Tam też została pochowana jego żona Helena zmarła 19 grudnia 1984.

Jesienią 1918 roku światowa dyplomacja przestała uznawać jako państwo Austro-Węgry, a dyplomaci reprezentujący ostatniego Cesarza Austrii i Króla Węgier Karola Habsburga byli odprawiani z przysłowiowym „kwitkiem”. Mające decydować o przyszłości Europy zachodnie mocarstwa przyjęły do wiadomości fakt utworzenia nowej Austrii i nowych Węgier oraz państw, które odrodziły się na ziemiach byłej monarchii, tym samym Monarchia Austro-Węgierska, po ponad półwieczu od utworzenia w roku 1867, przestała istnieć.

W tej sytuacji, 19 października 1918 roku zgodnie z wolą mieszkańców Śląska Cieszyńskiego, została proklamowana Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego, której siedzibą stał się zamek w Cieszynie. Rada Narodowa składała się z 32 członków a jej prezydium stanowili: dr Jan Michejda, ks. Józef Londzina, Tadeusz Reger oraz Paweł Bobek pełniący funkcję sekretarza.

30 października 1918 roku Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego wydała odezwę do mieszkańców, w której proklamowała uroczyste przynależność państwową Księstwa Cieszyńskiego do wolnej, niepodległej Polski i równocześnie objęła władzę. Rada Narodowa przy tworzeniu odezwę opierała się na „Programie Ładu w Europie” Prezydenta USA Thomasa Wilsona, gdzie w 13 punkcie opowiadał się on za niepodległością Polski i jej dostępem do morza oraz na uchwałach ludności Śląska Cieszyńskiego, powziętych na wiecach.

Rząd francuski, opierając się na żądaniach delegacji czechosłowackiej uważał, iż Czechosłowacja aż do rozstrzygnięcia przez konferencję pokojową kwestii granic, powinna mieć kształt oparty na granicach historycznych, włączając w to Śląsk Cieszyński. Z powodu roszczeń ze strony czechosłowackiej, Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego wydała oświadczenie,



Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego, listopad 1918 roku

„...W imieniu Naczelnego Wodza, wyrażam uznanie oddziałom wojska, Milicji Śląskiej i tym wszystkim, którzy chwycili za oręż, aby bronić prastarej ziemi polskiej Śląska Cieszyńskiego...”

Podpisał:
Szef Sztabu Generalnego WP
gen. dyw. Stanisław Szeptycki

Obrona południowej rubieży w styczniu 1919 roku

GRZEGORZ GRZEŚKOWIAK

iż ustanowienie ostatecznej granicy pomiędzy obu bratnimi narodami, polskim i czeskim, pozostawia się porozumieniu obu rządów w Warszawie i Pradze. Rada Narodowa żywiła głębokie przekonanie, że rządy te przy ustaleniu granicy będą się kierowały przede wszystkim przynależnością narodową oraz wolą mieszkańców.

Zgodnie z tym oświadczeniem, Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego zawarła 5 listopada 1918 roku z czeską organizacją – Zemski Narodni Vybor pro Slezsko w Ostrawie umowę, w której ustalono linię demarkacyjną określaną również granicą z „5 listopada 1918 roku”. Granica ta została ustalona w następujący sposób: powiaty bielski, cieszyński i frysztacki z 6 gminami o polskim zarządzie, podlegały Radzie Narodowej Księstwa Cieszyńskiego w Cieszynie. Natomiast powiaty: frydecki i frysztacki z pozostałymi gminami, na których terenie była administracja czeska, podlegały Narodniemu Vyborowi pro Slezsko.

Układy polityczne w sprawie granicy nie miałyby żadnej realnej wartości, gdyby nie bezkrwawy przewrót wojskowy – Polaków z 31 Austriackiego Pułku Strzelców, którymi dowodzili por. Kle-

mens Matusiak i por. Ludwik Skrzypek. Po rozbrojeniu austriackich, niemieckich, czeskich oficerów i żołnierzy oraz błyskawicznie przeprowadzonej akcji rekrutacyjnej, powstał Pułk Piechoty Ziemi Cieszyńskiej, który obsadził granicę polsko-czechosłowacką „z 5 listopada 1918 roku”.

8 stycznia 1919 roku III Batalion Pułku Piechoty Ziemi Cieszyńskiej z rozkazu polskich władz wojskowych, wyruszył na front do Małopolski Wschodniej na odsiecz Lwowa, który to w tym czasie bohatersko bronił się przed Ukraińcami. Polskie władze wierzyły, że czechosłowacki rząd będzie lojalnie przestrzegał umowy z 5 listopada 1918 roku w sprawie granicy politycznej na Śląsku Cieszyńskim.

Skutki opuszczenia granicy przez III Batalion nie pozwoliły na siebie zbyt długo czekać. 23 stycznia 1919 roku czeskie oddziały wojskowe w sile ok. 16 tys. pod dowództwem płk Josefa Snejdarka, dokonały zbrojnego ataku, łamiąc tym samym umowę z dnia 5 listopada 1918 roku, rzucając do walki spore siły, które przewyższały liczebnie polskie oddziały stacjonujące w Cieszynie, Skoczowie oraz Frysztać. W tym miejscu muszę wspomnieć, że działania zbrojne czeskich wojsk roz-

fol. arch.



Generał bryg. Wojska Polskiego Franciszek Latinik – dowódca Wojskowego Okręgu Śląska Cieszyńskiego.

poczęły się na trzy dni przed mającymi się odbyć wyborami do Sejmu Ustawodawczego Rzeczypospolitej, aby nie dopuścić do ich przeprowadzenia na Śląsku Cieszyńskim. Rząd w Pradze zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że wynik wyborów jeszcze raz udowodni, iż mieszkańcy Śląska Cieszyńskiego to ludność rdzennie polska i masowo będzie głosować na polskie listy, co potwierdzi prawo Rzeczypospolitej Polskiej do tej ziemi.

23 stycznia 1919 roku między godz. 5 a 6 nad ranem czeskie oddziały rozpoczęły akcję wojskowo-policyjną na terenie Śląska Cieszyńskiego. Aresztowano wielu Ślązaków narodowości polskiej i polskich działaczy narodowych.

Około godz. 13 do Cieszyna przybyła delegacja czeska złożona z trzech oficerów, której przewodniczył dowódca czeskich oddziałów w Morawskiej Ostrawie, płk Josef Šnejdárk. Delegację przyjął gen. dyw. Franciszek Latinik – dowódca Wojskowego Okręgu Śląska Cieszyńskiego. Czesi oświadczyli, że przybywają jako reprezentanci Komisji Koalicyjnej i zażądali stanowczo wycofania polskich oddziałów wojskowych poza linię rzeki Białki. Polskie dowództwo wojskowe stanowczo odrzuciło czeskie żądanie, stwierdzając, że polscy żołnierze będą bronić Śląska Cieszyńskiego do ostatniej kropli krwi.

Doprowadziło to do otwartego konfliktu na granicy polsko-czeskiej, obfitującego w bohaterские czyny żołnierzy polskich, dzielnie wspieranych w obronie ziemi ojczystej przez górników z Karwiny, hutników z Trzyńca oraz chłopów z Jabłonkowa. Waleczność polskich żołnierzy, milicjantów i ochotników nie była w stanie wyrównać dotkliwych braków broni ciężkiej, zaopatrzenia oraz braku łączności i prawidłowej koordynacji w działaniach operacyjno-bojowych oddziałów, które były rozrzucone na bardzo długiej linii frontu.

W walkach w rejonie Zebrzydowic 26 stycznia 1919 roku, poległ chwalebnie śmiercią brat gen. Józefa Hallera, mjr

Cezary Haller – Halleburg, gdy prowadził żołnierzy do ataku na miejscowość Kończyce Małe.

Po czterech dniach zaciętej obrony, polskie oddziały musiały wycofać się na linię rzeki Wisły, a 27 stycznia 1919 roku ok. godz. 12, wojska czeskie wkroczyły do Cieszyna. Natychmiast po zajęciu miasta, wobec Polaków rozpoczęły się brutalne represje i aresztowania.

Rozpoczął się drugi etap konfliktu zbrojnego o Śląsk Cieszyński. Linia polskiej obrony przebiegała na zachód od Drogomyśla przez Ochaby, Simoradz, Iskrzyczyn, Kisielów do Chełmu i na wschód od Golezowa przez Bładnicę, Nierodzim do Lipowca.

Osobny punkt oporu stanowiła „twierdza” Istebna, gdzie tamtejsi ochotnicy, sformowali własne pododdziały, dzielnie odpierające ataki nieprzyjaciela.

Czeskie dowództwo postanowiło za wszelką cenę zdobyć linię rzeki Białki. Na całej linii frontu od Drogomyśla aż do Ustornia, nieprzyjaciel atakował z wyjątkową zacieklnością, wspierany silnym ostrzałem artyleryjskim oraz pociągami pancernymi.

Głównym celem czeskich wojsk było zdobycie i utrzymanie linii kolejowych: Golezów–Skoczów–Bielsko i Zebrzydowice–Dziedzice.

28 stycznia 1919 roku czeskie oddziały zaatakowały most w Drogomyślu. Atak został odparty przez załogę polskiego pociągu pancernego „Hallerczyk”, który przejechał przez uszkodzony most i ogniem swoich dział zmusił nieprzyjaciela do odwrotu. W wyniku tej akcji został opanowany dworzec kolejowy w Pruchnej.

Załoga „Hallerczyka” wzięła do niewoli wielu jeńców oraz zdobyła dużą ilość uzbrojenia, amunicji, granatów oraz oporządzenia bojowego, porzuconego przez wycofujących się żołnierzy nieprzyjaciela.

29 stycznia 1919 roku czeskie oddziały podjęły próbę sforsowania rzeki Wisły w rejonie miejscowości Ochaby – atak ten załamał się w ogniu polskiej obrony. Najbardziej zacięte i krwawe walki toczyły się



Młodzi podoficerowie wraz z oficerem ze stanu Pułku Piechoty Ziemi Cieszyńskiej. Styczeń 1919

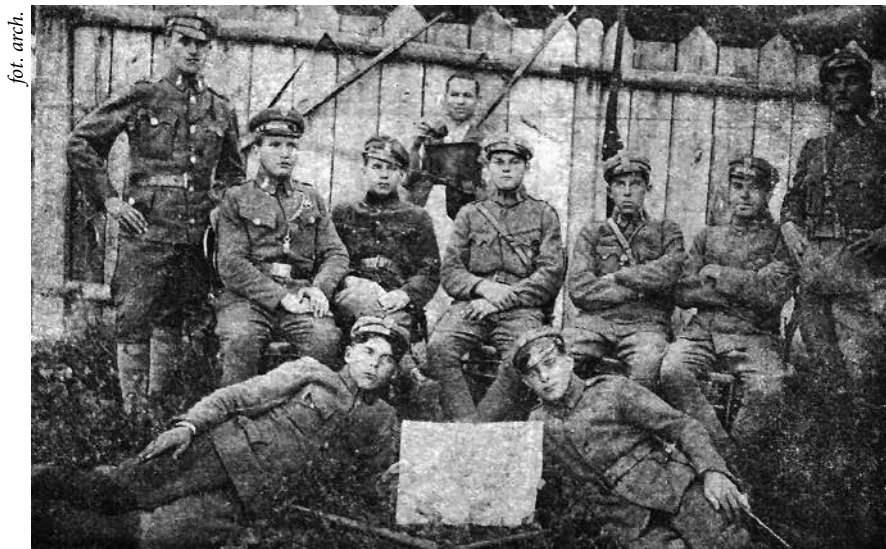
o Chełm i linię kolejową Golezów–Skoczów. Pozycje te zostały utrzymane dzięki walecznej obronie żołnierzy z 7 Pułku Piechoty (II Batalion), 10 Pułku Piechoty (I i II Batalion), 24 Pułku Piechoty (komp. strz.), 28 Pułku Piechoty (III Batalion) oraz szwadronów konnych 2 Pułku Szwoleżerów i 2 Pułku Ułanów.

Dzień 30 stycznia 1919 roku był dniem decydującym. Od wczesnych godzin rannych toczyły się bardzo zacięte walki na środkowym odcinku frontu o wzgórze Wiślicy, Simoradza i Miedzyświecica, a zwłaszcza o odcinek od Kisielowa aż do torów kolejowych pod Golezowem.

Tu wyróżnił się w walce III Batalion 28 Pułku Piechoty, który przybył z Łodzi. Pułk ten składał się w większości z rekrutów, walecznie odpierających wszystkie ataki wroga oraz parokrotnie ruszających do kontrataków, zadając dotkliwe straty wrogowi.

Czeskie dowództwo nie mogąc przełamać polskiej obrony w centrum frontu, podjęło decyzję o ataku na skrzydło od strony południowej, na kierunku Nierodzim–Patyków. Pozycje te były bronione przez żołnierzy z 10 Pułku Piechoty i kawalerzystów z 2 Pułku Szwoleżerów. Oddziały te mimo dużego męstwa i poświęcenia zostały zmuszone przez nieprzyjaciela do wycofania się z zajmowanych pozycji. Sytuacja stała się bardzo poważna, gdyż wróg, zajmując tę pozycję, mógł uderzyć na Skoczów i wejść na tyły polskiej obrony, która w tym czasie przebiegała na linii Wisły na północ od Skoczowa.

Polskie dowództwo celem zażegnania powstałego niebezpieczeństwa, skierowało w ten rejon odwód, składający się z trzech kompanii strzeleckich 10 Pułku Piechoty, wsparte baterią dział polowych oraz kompanią Milicji Śląskiej. Brawuro-



Ochotnicy Milicji Śląskiej – obrońcy Śląska Cieszyńskiego. Styczeń 1919 roku



Czescy Legionarzy, stanowili główny filar czeskich wojsk w trakcie walk z Polakami w styczniu 1919 roku. Podczas walk, Legionarzy dopuścili się licznych zbrodni wojennych na polskich jeńcach

wy kontratak odrzucił nieprzyjaciela z zajętych polskich pozycji.

Zwycięstwo polskich oddziałów zostało okupione bardzo dużymi stratami w poległych i rannych oraz utraconym bezpowrotnie ciężkim sprzęcie.

Wieczorem 30 stycznia 1919 roku ok. godz. 21, do kwatery polskiego dowództwa przybyli czescy parlamentariusze z prośbą o zawieszenie broni na okres 24 godzin. Parlamentariusze motywowali prośbę swego dowództwa zebraniem z polowisk rannych i poległych żołnierzy.

W tym miejscu muszę zaznaczyć – opierając się na informacji oficerów polskiego wywiadu, że prośba czeskiego dowództwa nie była uwarunkowana troską o swych rannych żołnierzy, którzy oczekiwali pomocy medycznej, tylko permanentnym brakiem amunicji.

Gen. dyw. Franciszek Latinik w uzgodnieniu z dowództwem w Krakowie zawarł rozejm. Zgodnie z rozejmem, oddziały obu stron miały pozostać w tych miejscach gdzie się znalazły w chwili zaprzestania walki.

Dzień 2 lutego 1919 roku zgodnie z rozkazem dowódcy oddziałów polskich gen. dyw. Franciszka Latinika, został ogłoszony dzień Pogrzebu Bohaterów. Ciała poległych były zwożone do Skoczowa i składane w sali gimnastycznej tamtejszej szkoły, która na czas ceremonii stała się Polową Kaplicą Cmentarną.

W pogrzebach żołnierzy i ochotników oprócz asysty wojskowej uczestniczyli przedstawiciele duchowieństwa oraz bardzo licznie przybyli mieszkańcy Skoczowa i okolicznych wsi.

3 lutego 1919 roku podpisano w Paryżu umowę w sprawie Śląska Cieszyńskiego. Stronę polską reprezentował Roman Dmowski – delegat Rządu Polskiego, a stronę czechosłowacką Minister Spraw Zagranicznych Eduard Benesz. Umowa była kontrasygnowana przez Prezydenta USA Tomasa Wilsona, Premiera Wielkiej Brytanii Davida Lloyd Georgea, Premie-

ra Włoch Vittorio Orlando oraz Premiera Francji Georges Clemenceau.

Dla przybliżenia tej umowy posłużę się cytatem najważniejszego z niej ustępu:

„...Aż do powzięcia przez kongres pokojowy rozstrzygnięcia w sprawie ostatecznego przyznania terytoriów, część linii



Medal „Za obronę Śląska w Styczniu 1919” ustanowiony 2 października 1919 roku przez Radę Narodową Księstwa Cieszyńskiego

kolejowej między północną częścią Cieszyna a okręgiem górniczym pozostanie w okupacji czechosłowackich wojsk, gdy tymczasem część linii południowej, poczynając od Cieszyna, łącznie z miastem, aż do Jabłonkowa włącznie, zostanie oddana pieczy polskich wojsk...”

Następne dni i tygodnie upływały na rokowaniach o wykonanie umowy zawartej 3 lutego 1919 roku w Paryżu. W tym czasie Śląsk Cieszyński, zgodnie z rozkazem dowództwa, opuścił 10 Pułk Piechoty, udając się na teren Zagłębia Dąbrow-

skiego, gdzie to wybuchły rozruchy podsypane przez miejscowych komunistów.

W nocy z 23 na 24 lutego 1919 roku czeskie wojska zaatakowały ponownie, łamiąc tym samym zawarty rozejm i umowę paryską. Atak wroga został odparty przez polskie oddziały. Po tej nieudanej próbie ponownego zajęcia polskiej części Śląska Cieszyńskiego, Rząd w Pradze w obawie przed restrykcjami ze strony Komisji Koalicyjnej, zaczął okazywać dużą ustępliwość w prowadzonych rokowaniach dotyczących umowy z 3 lutego 1919 roku.

W nocy z 24 na 25 lutego 1919 roku zawarto umowę wojskową w sprawie wykonania umowy paryskiej. Zgodnie z tą umową, polskie i czeskie wojska miały zająć odcinki wyznaczone w umowie paryskiej, podczas gdy polskie władze cywilne miały objąć obszar przyznany Radzie Narodowej Księstwa Cieszyńskiego na mocy umowy z 5 listopada 1918 roku.

We wczesnych godzinach rannych 25 lutego 1919 roku czeskie oddziały zaczęły się wycofywać z zajętych terenów, następnego dnia na te tereny wkroczyły oddziały Wojska Polskiego. Objęcie przyznanych terenów przez polskie oddziały wojskowe zostało poprzedzone wkroczeniem na nie Żandarmerii Krajowej Księstwa Cieszyńskiego, pod dowództwem por. Jana Starzyka.

W Cieszynie 26 lutego 1919 roku ok. godz. 12.30 odbyła się uroczystość objęcia Śląska Cieszyńskiego przez polską administrację i Wojsko Polskie.

Rzeczpospolita Polska uhonorowała obrońców południowej granicy, napisem na jednej z tablic na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie: „CIESZYNSKOCZÓW 23–26. I. 1919”.



Pomnik w Skoczowie ku czci żołnierzy i ochotników poległych w styczniu 1919 roku w obronie Śląska Cieszyńskiego

Grzegorz Grześkowiak, dziennikarz, specjalista falerystyki wojskowej. Od ponad dwudziestu pięciu lat zajmuje się historią Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska, Policji Województwa Śląskiego II RP oraz Zbrodnią Katyńską. Autor i współautor książek, periodyków i artykułów o śląskiej Policji II RP, Powstaniach Śląskich oraz martyrologii śląskich policjantów w aspekcie Zbrodni Katyńskiej. Współpracuje z krajową i zagraniczną prasą historyczno-wojskową, muzeami, telewizją oraz stowarzyszeniami i grupami rekonstrukcji historycznej.

Przywrócona pamięć

O Henryku Kurku – harcerzu

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

24 października 2019 roku na ulicy Barbary 25 odsłonięto tablicę upamiętniającą siedemnastoletniego harcerza, Henryka Kurka, którego zastrzelili żołnierze niemieccy, gdy szedł wraz z bratem Pawłem i jeszcze dwoma innymi harcerzami do Parku Kościuszki, gdzie druhowie bronili miasta przed wejściem oddziałów Wehrmachtu, dowodzonych przez gen. Ferdinanda Neulinga. Starania o tę tablicę mają długą i powikłaną historię, i gdyby nie upór i determinacja Oddziałowego Biura Upamiętniania Walk i Męczeństwa IPN w Katowicach – zapewne i teraz nie odniosłyby skutku.

Henryk urodził się w Zabrze 15 lipca 1922 roku, w zwyczajnej śląskiej rodzinie o powstańczych tradycjach. Matka, Emilia Watoła, była z zawodu pielęgniarką, w III powstaniu śląskim brała udział jako sanitariuszka, ojciec Juliusz, z zawodu górnik, też był zaangażowany w powstania i plebiscyt. Oprócz Henryka było jeszcze czworo dzieci – starszy o rok Rajmund i młodsi: Paweł, Lucja i Ryszard. Ton życia rodzinnemu nadawała matka, silna, dzielna kobieta, która dbała o dom i bardzo patriotycznie wychowywała swoje potomstwo.

Po przyłączeniu w 1922 roku części Śląska do nowopowstałego Państwa Polskiego, rodzina Kurków przeprowadziła się do dzielnicy Katowic Załęża, gdzie ojciec znalazł pracę w kopalni Kleofas, a matka zatrudniła się w szpitalu.

Załęże było wówczas bardzo uharcerzowaną dzielnicą. Istniały tam całe rody harcerskie: Lisów, Sapów, Szubeków czy Orszulików. Stanowiło ono szkołę uprawy charakteru, uczyło rozwagi i odwagi oraz rozwijania własnych talentów. Dzieci znalazły więc szybko do niego drogę. Henryk i rok młodszy Paweł wstąpili do I Drużyny Harcerzy im. Bolesława Chrobrego, której drużynowym był legendarny instruktor, Jerzy Lis (1907–1944), później jeden z bohaterów mądrej i wzruszającej książki Józefa Kreta *Harcerze wierni do ostatka*.

Czas znaczony nauką, obozami i zbiorami biegł szybko i radośnie. Henryk i Paweł należący do tego najpiękniejszego polskiego pokolenia, wzrastającego w wolnej Polsce, nie mogli przypuszczać, że staną się już wkrótce „Kamieniami rzuconymi na szaniec”. We wrześniu 1939 Henryk był uczniem Miejskiego Instytutu Kształcenia Handlowego w Chorzowie, podobnie jak młodszy Paweł. A czwartego dnia tego miesiąca wydarzyła się niewyobrażalna trage-

dia. Z kilku relacji wybrano zeznanie brata Pawła, złożone przed Okręgową Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Katowicach w maju 1967 roku.

„W dniu 4 września 1939 roku udałem się razem z bratem Henrykiem, ur. 15 lipca 1922 roku w Zabrze, oraz Mikołajem Cubertem i Józefem Machoczkiem w kierunku parku Kościuszki. Szliśmy ul. Mikołowską i Barbary, i na wysokości Ogródka Jordanowskiego zobaczyliśmy mężczyznę w średnim wieku idącego w koszuli, który dawał nam ręką znaki i mówił: „Idźcie, bo mnie wołają”. Zrozumieliśmy jego gest i mowę, w ten sposób, że mamy się wrócić, gdyż w parku są Niemcy i jego wołają. Po chwili padł strzał. Z odległości około 30 metrów zobaczyliśmy pięciu lub sześciu żołnierzy niemieckich, którzy wzywali nas do podniesienia rąk do góry. Podnieśliśmy ręce do góry, mimo to żołnierze zaczęli do nas strzelać. Wówczas został zabity brat Henryk, a Cubert i Machoczek zaczęli uciekać wcześniej, niż mój brat został zabity. Ja również zacząłem uciekać, a za mną strzelali Niemcy. Zostałem lekko ranny w nogę. Ja i brat Henryk ubrani byliśmy w szkolne mundurki, natomiast Cubert i Machoczek byli w ubraniach cywilnych. Jak zbiegaliśmy ul. Barbary, to widziałem ustawiony karabin maszynowy, ale ci żołnierze nie strzelali do nas. Nie poszedłem zaraz do domu, lecz obserwowałem okolicę i zobaczyłem, że sanitariusze ze szpitala przy ul. Raciborskiej znosili ciała zabitych do szpitala do kostnicy i do piwnicy. O tym poinformowałem rodziców. Ojciec udał się do szpitala i otrzymał od lekarza, którego nazwiska nie znam, świadectwo zgonu brata i zgodę na zabranie zwłok brata do domu, gdyż w karcie zgonu napisał, że brat zmarł w szpitalu. Ojciec opowiadał mi, że w kostnicy przy ul. Raciborskiej było bardzo dużo zwłok, ale nie określili mi ich ilości. Mówił, że byli żołnierze w mundurach polskich, w mundurach powstańców śląskich, w mundurach harcerzy, w mundurach „Strzelca” i ubraniach cywilnych. [...]”.

Każde słowo tego zeznania jest prawdziwe. Dziś już wiemy, że Henryk dostał 3 strzały, jeden w głowę, dwa w okolicę serca. Strzelano więc tak, aby zabić. I tak druha Henryka Kurka objął „cień wieży spadochronowej”.

Ciało syna wydał ojcu dr Mieczysław Grabowski, dyrektor szpitala przy ulicy Raciborskiej, a zarazem lekarz ginekolog-położnik.



for. arch.

W składanych zeznaniach opowiadał o wielkiej liczbie ciał w mundurach harcerskich, powstańczych, sokolich i cywilnych, które zwożono na dziedziniec szpitala, określili też, że strzały oddawano z bliskiej odległości „w stanie bezbronnym”. To ostatnie sformułowanie jest bardzo bolesne, ale też potwierdza relację Pawła Kurka, że harcerze podnieśli ręce do góry.

Rodzina w biedzie wojnę przetrwała, a Paweł ukrywał się w Łąbędach, gdzie pracował przy budowie zakładów przemysłowych. Wkrótce jednak za pośrednictwem Pawła Chruszcza, wywodzącego się z organizacji „Ku Wolności” związał się z ZWZ AK, za co po wojnie trafił do myślowickiego więzienia. Wyszedł jako człowiek złamany i zamknięty w sobie.

Musiało jednak minąć 80 lat, by na ulicy Barbary w Katowicach godnie uczczono katowickiego harcerza. Przede wszystkim dzięki zaangażowaniu Oddziałowego Biura Upamiętniania Walk i Męczeństwa Oddziału IPN w Katowicach, a także finansowemu wsparciu Urzędu Miasta ładna brązowa tablica przypomina, że w tym miejscu zginął harcerz „całym życiem” poświęcający posłuszeństwo harcerskiemu Dekalogowi.

Zgromadziliśmy się więc w piękny, słoneczny dzień, przede wszystkim rodzina, a ponadto przedstawiciele Instytutu Pamięci Narodowej wraz z dyrektorem Andrzejem Sznajderem, władze miasta reprezentował wiceprezydent Waldemar Bojaran, a Urząd Wojewódzki wicewojewoda Jarosław Wieczorek, klasy mundurowe i harcerze na ul. Barbary. Przybył też kapelan Chorągwi Śląskiej ZHP, ks. dr Piotr Larysz, który tablicę poświęcił, a następnie zaintonował Modlitwę harcerską. Tablicę odsłaniała bratanka Henryka Kurka, wzruszona do łez, pani Barbara Duchowicz, wciąż nie wierząca, że spełniło się najgłębsze marzenie jej rodziny, a młodziutkiem w 1939 roku druhowi Henrykowi nie zagraża już czas, ani niepamięć. Teraz, idąc pod Wieżę Spadochronową, będziemy pod tablicą zapalać znicz i myśl kierować ku wrześniowym dniom roku 1939.

Między dwiema ojczyznami

KS. HENRYK PYKA

Obraz Georgija Safronowa, który posiadamy w swojej kolekcji powstał w roku 2007. Powstał więc w najspokojniejszym i z pewnością bardzo twórczym okresie życia tego katowickiego artysty-malarza. Gosza, bo tak wielu zwracało się do niego, od roku 1999 prowadził w Katowicach przy ulicy Kochanowskiego własną galerię autorską. Był to ewenement nie tylko w skali tego miasta. Bo tu nie tylko można było spotkać artystę, oglądać jego obrazy, ale i podglądać go w trakcie ich tworzenia. Ponad szyldem opatrzonym imieniem kobiety, z którą przeżył dwanaście lat swojego życia, z którą zamieszkał, schodziło się po trzech, czterech schodkach do niewielkiego pomieszczenia. Pełniło funkcję przestrzeni wystawienniczej i pracowni artysty. „Mira – Galeria Georgija Safronowa” – pod takim szyldem łatwo było Goszę spotkać w Katowicach. Bo niemal codziennie tu siedział, malował, rysował, przyjmował klientów i przyjaciół w niezwykle ciepłym i kolorowym entourage'u obrazów, takich jak ten mój, który podarował mi z okazji mojego srebrnego jubileuszu kapłaństwa. Kiedy wracałem z jego pogrzebu, a było to 10 października, w osiem dni po jego śmierci, zatrzymałem się przy tej galerii. Nie ma już klimatów właściwych dla „placeta pictorum” przy ulicy Kochanowskiego w Katowicach. Zmarł Stefan Szawica. Jego „Parnas” przy Kochanowskiego, najlepszy wówczas katowicki salon sztuki współczesnej zamknął swoje podwoje. Wypełnia teraz tę przestrzeń działalność usługowa – salon fryzjerski. Niesprzedane obrazy wróciły do ich autorów. Znacznie smutniejszy los dotknął Galerię autorską „Mira”. Gosza był wtedy na plenerze, kiedy w jego galerii wybuchł pożar. Podobno przez nieuwagę dyżurującej pod jego nieobecność dziewczyny. Oplakane były skutki gaszenia tego pożaru. Artysta utracił prawie cały swój dorobek jako zalegał przestrzeń galerii i jej zaplecze. Kiedy wchodzę po pogrzebie Goszy do piwniczki sąsiadującej przez ścianę z dawną galerią Goszy, jej właścicielka handlująca tu „ciuchami” wydobywa z nieostrej pamięci westchnienie, które jak echo odbija się od jakby nieoczywistej, odległej rzeczywistości: ach, była tu jakaś galeria.

Z doświadczenia wiem, że po śmierci Czobera, Pałki, Czarnoty, Haliny Lerman i innych zmarłych katowickich artystów pojawiały się w okolicznych galeriach ich prace, zwykle już w zdwojonych cenach, bo artysta zmarł i nic nowego już

nie namaluje. Jedyna, „wpadająca w oko”, bo położona centralnie galeria sztuki w Katowicach jest dzisiaj na ulicy świętego Jana. W tej Galerii – przybudówce „Desy” znajdują trzy miniaturki Goszy: drobne akwarele, lawowane pejzażyki ujmujące swoim poetyckim zamgleniem tematu. W tym momencie mam wrażenie, że cofnął się czas i Gosza za chwilę wyjdzie z zaplecza. Każda z tych miniaturki kosztuje 150 złotych. Tyle ile kosztowały niegdyś, kiedy wychodziły spod pędzla artysty. Nabywcy kupowali te miniaturki na prezenty, a artysta bierał grosz do grosza by zapłacić za prąd. Wielu przychodziło tu tylko popogłądać i obrazy na ten czas należało oświetlić.

Safronow był rodowitym moskwiczaninem. Urodził się w Moskwie 8 listopada 1947 roku. Dzięki zadzierzgniętej przyjaźni chodziliśmy razem po Moskwie śladami Puszkina i Bułhakowa. Siedząc na ławeczce, którą przed nami podług *Mistrza i Małgorzaty* zajmował wcześniej Michał Aleksandrowicz Berlioz, spoglądaliśmy na tramwajowe torowisko na które spadała jego obcięta głowa. Nazwisko Goszy dobrze wpisane jest w tradycję miasta. Jego ojciec, wojskowy w randze pułkownika nie akceptował drogi życiowej syna, który wybrał studia artystyczne na moskiewskim Wydziale Grafiki i Ilustracji Książkowej. Jednak na cmentarzu Nowodziewiczym – moskiewskich „Powązkach”, odkryłem nagrobek jego wuja, który całe życie oddał sztuce. Także Safronow. Był wieloletnim dyrektorem Teatru „Balszoj”. Żałowałem, że dawna moja znajomość języka rosyjskiego, który zdawałem na maturze uleciała i nie mogłem rozmawiać swobodnie z przyjaciółmi Goszy, w których kręgu się znalazłem. Natasza jest malarką. Jej mąż Igor lekarzem ortopedą. Tatiana, kuzynka Goszy jest historykiem. Przekroczyła już dziewięćdziesiąty rok życia i uczestniczyła w cerkwi w chrzcie Goszy, kiedy był niemowlęciem. Głęboko religijna Rosjanka. Z tych spotkań przywiozłem do Polski enkolpion, czyli relikwiarzyk, podarowany mi przez Igora w dowód szacunku dla księdza Polaka, który przekroczył ich progi. Przechowuję w sercu tych ludzi, których poznałem dzięki Goszy i tęsknię za czasem, kiedy jako Polak, rosyjskie progi będę mógł tak przekraczać jak przekroczyłem progi domu Igora i Nataszy. Rosyjska dusza i jej wyraz – kultura, wydała mi się wtedy bardzo bliska słowiańskiej, także sentymentalnej duszy Polaka.



fol. arch.

Gosza z tej podróży przywiózł do Katowic bogaty materiał fotograficzny, który częściowo zamieściła schyłkowa już wtedy „Panorama”. Jej redaktor przyczynił się wtedy finansowo do naszej podróży. Większy jednak pożytek z tej podróży miały wystawy, które Gosza organizował. Fotografia wypełniła ten trudny okres w życiu artysty, kiedy pojawiła się u niego choroba Parkinsona i z trudem trzymał wtedy pędzel. Z wielkim uporem starał się stanąć ponad tym doświadczeniem, i do tego stopnia dzięki lekarzom nad nim zapanował, że ponownie wrócił do malarstwa.

Kolor był środkiem jego wypowiedzi artystycznej. Był głęboko przekonany do sztuki, którą uprawiał i jeśli przeżywał rozterki, to nie wynikały one z rozstrzygnięć, które podejmował jako malarz. Ze zdumieniem przyglądałem się podczas naszego wspólnego pobytu w Petersburgu wnętrzu kopuły przykrywanej hall dworca centralnego. Wnętrze to wypełniało malowidło przedstawiające wydarzenia na Placu Zimowym roku 1917. Zdumienie moje wynikało z kolorytu tego malowidła. Był to koloryt na wskrosz poussenowski. Tak malował Nikolas Poussin w XVII wieku. Malarstwo dzięki właściwemu sobie kolorytowi potrafi zarówno unieważnić temat przedstawienia, jak i emocjonalnie, pozytywnie nas do niego usposobić. Pamiętam tę przygodę i przenoszę ją na obrazy Georgija Safronowa. Z zachwytem oglądałem bodaj ostatnią wystawę artysty w Katowicach, jaka miała miejsce w ubiegłym roku w Galerii „Radia Katowice”. Niezmiennie od lat i tej wystawie patronował i promował ją na antenie radiowej Maciej Szczawiński. Były tam obrazy, które nie potrzebowały tematu, bo o ich osobności decydował kolor. Kiedy spoglądałam na ten jedyny obraz Safronowa jaki posiadam, znajduję go właśnie w poussinowskim kolorycie. Cały zawarty w nim sztafaż przyciąga mnie do jego wnętrza. I chyba o to chodziło artyście, bym wszedł w jego wewnętrzne doświadczenie, które wynosił z obcowa-

nia z otaczającą go rzeczywistością. Gosza poszukiwał nowych doświadczeń wizualnych, dlatego wielokrotnie wychodził w plener z paletą i aparatem fotograficznym, tak jak czynili to przed nim barbizoińscy we Francji. Safronow dobrze by się realizował w malarstwie abstrakcyjnym, w którym bardziej liczy się ogólna kompozycja malarska jak detal. Inne światło jest we Francji, inne we Włoszech. Artysta odwiedzał te kraje. Inne są konteksty w tych krajach dla światła w postaci architektury, pejzażu, urody mieszkańców. Być może skłonność do ilustratorstwa wynikająca z jego studiów artystycznych powodowała, że kolor w jego obrazach pojawiał się jako zindywidualizowana projekcja określonego bytu, wyłaniającego się w przestrzeni rzeczywistej i malarskiej dzięki właściwej sobie temperaturze barwy.

Jak się to stało, że młody człowiek urodzony w Moskwie, w dwa lata po studiach osiada w roku 1978 w Polsce, by z czasem, jak czytaliśmy to w nekrologu, osiągnąć status „śląskiego artysty malarza”. Do Polski pociągnęła go dziewczyna, polska studentka moskiewskiego uniwersytetu. Pobrali się. Z tego związku urodziła się ich córka Beata. Beatę i wnuczkę Goszy Anastazję poznałem dopiero na pogrzebie. Artysta spoczywa na katowic-

kim cmentarzu przy ulicy Sienkiewicza. W rozmowie z córką Goszy odkryłem pewną cechę właściwą dla ich obojga: ojca i córki. Dwie otwarte pogodne natury. Pewna właściwość pięknych ludzi, którą odkryłem także w domu Nataszy i Igora w Moskwie. Gosza potrafił pożytkować sobie przyjaciół, co nie było łatwe w elitarnym środowisku twórców sztuki. Tym bardziej, że niektórzy w tym trudnym dla Polski czasie przypisywali mu działalność agenturalną. Gosza zdawał sobie z tego sprawę, bolał nad tym i dlatego za osobisty sukces uważał przyjęcie go do Związku Polskich Artystów Plastyków i uzyskanie stypendium Ministra Kultury i Sztuki. Zdarzały się i nagrody. Dużą rolę w promocji artysty spełniło Radio Katowice, dzięki któremu otrzymał pierwszą nagrodę Vidical 97. Artysta umiał się podobać, bo zależało mu na tych, do których adresował swoje malarstwo. Czytając *Eugeniusza Oniegina*, co jak „dandy błysnął krojem szat”, wyobrażam sobie główną postać poematu Puszkina pod postacią Goszy: był przystojny, umiał się ubrać i innym, mnie także doradzał, co robić, by poprawić swój *image*. Dlatego kiedy pojawiał się na wernisażach, zwracał na siebie uwagę nie wymuszoną elegancją. Miał to w sobie. Właściwą sobie klasę, którą skutecznie wyparł dzisiaj ega-

litaryzm cywilizacji jeansów. Relikty tej wypartej przez jeansy sztuki bycia zachowały się w malarstwie Witolda Palki. Ci dwaj artyści, choć tak odlegli sobie, byli tego uosobieniem. Kiedy dodać do tego uczynność Goszy i jego zdolność do niewymuszonych gestów, znajdziemy odpowiedź na pytanie jak się to stało, że wrósł w katowickie środowisko i stał się w końcu śląskim artystą.

Gosza Safronow, choć tak bardzo związał się z Katowicami, w duszy swej bardzo pragnął zaistnieć także i w Moskwie jako artysta. Oscylował między Moskwą a Katowicami, czego wyrazem była wystawa w Muzeum Archidiecezjalnym w Katowicach i towarzyszący jej katalog. Gosza zestawiał w tym pokazie uroki Moskwy i osobliwości Katowic. Tytuł wystawy i katalogu znacząco określał także miejsce Georgija Safronowa na ziemi. „Między dwiema Ojczyznami”. Taki był tytuł tej wystawy. Wyznaczał on właściwą temu artyście topografię.

Ostatnia wystawa jaką zorganizował miała miejsce w tym roku, w Ambasadzie Polskiej w Moskwie. Przyszli na nią jego moskiewscy przyjaciele. Nie mogło zabraknąć Igora i Nataszy. Kiedy wrócił do Katowic miał powiedzieć, „teraz mogę i umrzeć”. Nie myślał jednak, że nastąpi to tak szybko i że spocznie tu, w śląskiej ziemi. ■



for. arch.

Śnialnia, czyli *Oneiron*

TADEUSZ SIERNY

Henryk Waniek zaproponował tę nazwę (zaczepniętą ponoć od Eugeniusza Zaczyka) grupie przyjaciół ezoteryków: studiujących literaturę okultystyczną, teksty buddyjskie, zakazane przez cenzurę w drugiej połowie lat sześćdziesiątych minionego wieku – książki, eksperymentujących z narkotykami, wydających nielegalne czasopiśmo „Nowe Bezpretensjonalne Pismo Święte w Obrazkach”, poznających tajemnice kabały, tarota, alchemii, surrealizmu, psychodelików. Początek działalności tej społeczności sytuują sami jej uczestnicy na 1967 rok.

Na strychu starej katowickiej kamienicy (Piastowska 2) Urszula Broll, Andrzej Urbanowicz, Antoni Halor, Zygmunt Stuchlik i Henryk Waniek – piątka przyjaciół, artystów stworzyła własny, wyjątkowy krąg towarzyski emanujący tajemniczą siłą nieznanego, mistycznego, śnionego w ówczesnej nieco prząsnej rzeczywistości pięknego, często w kolorach rodem z LSD – „innego” świata. Czasem przywoływali swe inne zwołanie, nazywając się Ligą Spostrzeżeń Duchowych lub Tajną Kroniką Pięciu Osób. Stworzyli pierwszą w Polsce

gminę buddyjską.

W orbicie tego tajemniczego kręgu znaleźli się znakomity dziś poeta, tłumacz, profesor literaturoznawca Tadeusz Sławek oraz m.in. Andrzej Szewczyk, Ireneusz Kulik; sympatykami byli Zdzisław Beksiński, Józef Szajna, Stefan Morawski i wielu innych.

Nazwiska wymienionych twórców mówią same za siebie.

Tworzyli wizję świata zakładającą istnienie, domniemanego, osiągalnego ale odległego przecieć, ukrytego źródła, do którego można dotrzeć, idąc „w górę rzeki”.

Wykreowali mit pięknej czeskiej Pragi, świata alchemików i wiedzy tajemnej.

Ich happeningi i akcje artystyczne przez długi czas funkcjonowały w społecznej pamięci. Podczas „spektaklu” zatytułowanego *Męczeństwo i śmierć Joanny d’Arc* wszyscy uczestnicy tego wydarzenia przekonani byli, że piękny śnieżnobiały gołąbek poniósł męczeńską śmierć dla sztuki, w trakcie sprawionej mu w straszliwych ciemnościach katorgi (gołąbek cały i zdrowy mimo tej okropnej mistyfikacji zdołał jednak ulecieć z życiem).

To nie była importowana z skądkolwiek grupa artystów, wszyscy oni postrzegali Śląsk jako miejsce nacechowane jakąś szczególną energią, to tutaj miała zrealizować się idea wyzwolenia światów magicznych z estetyki, etyki i ideologii mieszczańskiego społeczeństwa, przede wszystkim poprzez sztukę imaginatywną, realizo-

waną w malarstwie i poezji. Andrzej Urbanowicz przedstawił ideę Cyklu Czarnych Kart, nawiązując w ten sposób do koncepcji myśli o sztuce i magii Andre Bretona, później Carla Gustawa Junga, Ernsta Cassirera, także Hansa Bellmera. Uczestnicy spotkań, czyli swoistych gier poszukiwali w Chaosie nieświadomości wyrazu idei, nadając im (owym poszukiwanym ideom) urzeczywistnione formy mandali, praobrazów o mistycznym i rytualnym znaczeniu. Mandala łączyła w sobie m.in. twórczą energię, była mistyczną metaforą Kosmosu, symbolem harmonii i zaprzeczeniem Chaosu, drogą poszukiwania i dążenia ku doskonałości, samoświadomości. Od czerni obrazującej Chaos i nieświadomość do boskiego światła, czyli bieli, złota i srebra symbolizujących słońce, wiedzę, oświecenie, samoświadomość. Czarne Karty mogły służyć także do prześmiewczych form dadaistycznej kpiny i szyderstwa z otaczającej współczesności lub do apoteozy magicznego, alchemicznego procesu duchowego rozwoju człowieka.

Grupa funkcjonowała do drugiej połowy lat 70. minionego wieku. Niektórzy z nich tworzą przecieć także i dziś, ale już teraz wykreowali i pozostawili po sobie tęsknotę za: czystą mistyką, duchową i artystyczną doskonałością, za drogą ku światłu i źródłach nieskalanego piękna w malarstwie, poezji, muzyce oraz potrzebę pamięci o Nich. ■



Zygmunt Stuchlik, *Fiat Lux* z cyklu „*Axis Mundi*”, 2004



Zygmunt Stuchlik, *Fiat Via Regia* z cyklu „*Axis Mundi*”, 2005



Zygmunt Stuchlik, Fiat Lux z cyklu „Axis Mundi”, 2001



Katarzyna Łata

Szklaną płytę najpierw trzeba poddać odtłuszczeniu, najlepiej w dwóch etapach. Najpierw wcieramy w nią miksturę na bazie węglańcu wapnia, następnie alkohol izopropylowy. Po osuszeniu można już nałożyć na powierzchnię szkła cienką warstwę kolodionu (roztwór nitrocelulozy) i uczulić płytę w kąpeli z azotanu srebra. W tym czasie planujemy kadr, obliczamy ekspozycję (uczulony kolodion balansuje w granicy 2–3 iso). Już w warunkach ciemniowych wyciągamy płytę z uczulacza i wkładamy do drewnianej kasety – w niej, ciągle mokra, będzie poddawana kilkusekundowemu naświetlaniu, po wyjęciu wywołana i utrwalona w klasycznej chemii.

W ten sposób na przezroczystej płycie szklanej otrzymujemy kolodionowy negatyw, bądź na czarnej (szkło, kompozyt) – pozytywową ambrotypię. Tyle samo, czasem więcej lub mniej, zabiegów kosztuje wykonanie cyjanotypii, ferrotypii, obrazu w technice gumy dwuchromianowej, brązu Van Dycka czy heliografiury. Po przeciwległej stronie procesu rejestracji obrazu mamy całkowicie bezpieczny, higieniczny, bezpośredni i błyskawiczny, cyfrowy shoot. Krótkie objęcie kadru, naciśnięcie migawki, przegląd, przekazanie nośnika do jednego z fotolabów. Koniec. Tyle nas, współczesnych rejestratorów łączy z procesem, którego głębię i możliwości trudno zmierzyć. A nawet opanować.

Janusz Marynowski, muzyk Sinfonii Varsovia, fotograf pracujący w technikach szlachetnych i jeden z dwudziestu bohaterów wystawy „Wokół portretu” mówi wprost: w tej dziedzinie fotograf uczy się całe życie. Mieliśmy w Katowicach sporo szczęścia, ekspozycję możemy zawdzięczać szybkiej reakcji i wysiłkowi dwóch osób – Katarzyny Łaty – która o dwa miesiące przedłużyła dwutygodniowy żywot warszawskiej wystawy, odbywającej się w ramach 2 edycji Dni Fotografii Alternatywnej, oraz Jolanty Rycerskiej, która objęła kuratelę nad wydarzeniem. Takiej różnorodności technik szlachetnych, tylu nazwisk w jednej galerii, a przede wszystkim tylu unikalnych fotograficznych prac w jednym miejscu, nie było w Katowicach od dawna. Jeśli w ogóle. Warto tu zaznaczyć i zaakcentować podwójnie przymiotnik „unikalny”. Nie tylko procesy alternatywne, całkowicie manualne zawierają w sobie tę wyjątkowość, która je wyróżnia na tle wszechobecnej, totalnej multiplikacji obrazu. Mamy przecież na wystawie do czynienia z artystami, którzy bardzo świadomie traktują swoje rzemiosło, na różnych etapach pracy (ekspozycja, praca nad negatywem/płytą metalową/odbitką itd.) ingerują w ów proces i go modyfikują. Ale też zakładają rolę przypadku w tym procesie. „Odkształcenie”, „komplikacja” odbywa się na kilku poziomach. At least, coś co z samej natury jest wyjątkowe, zostaje niejako w tej pojedynczości podwójone. Nic bardziej nas nie zbliża do „misterium”, jakim jest fotografia. W końcu rejestruje ona wyłącznie to, co nigdy nie ulega powtórzeniu.

Nie da się w trzech kolumnach tekstu objąć, czy nawet podjąć próbę opisu uniwersum wszystkich bohaterów tej wystawy. Byłoby to czyste szaleństwo. Każdy z nich zasługuje na osobny esej lub szkic w odpowiednio przygotowanym katalogu wystawy – tak odrębne poetyki i metody prezentuje. Najmniej w „Wokół portretu” jest klasycznego portretu – nawet jeśli mamy do czynienia z ty-



Krzysztof Ślachciak

Twarze przyszłości

RADOSŁAW KOBIERSKI

pową dla tego gatunku kompozycją i kondensacją uwagi/ostrości skupionej na twarzy portretowanego – jak to się dzieje w przypadku Katarzyny Kryńskiej czy Magdaleny Wdowicz-Wierzbowskiej – oglądamy ją przez konkretną modyfikację lub zespół modyfikacji. Kryńska wykonuje cyjanotypie na bazie kolodionów, niekiedy umieszcza na portrecie formy przestrzenne, obraz Wierzbowskiej otrzymuje finalną formę w brązie Van Dycka (portret w metalu), ale już znacznie wcześniej, przed całym zmundnym procesem chemicznym dochodzi do „przełamania” konwencji – nie mamy kontaktu wzrokowego z pięcioma bohaterkami Wierzbowskiej. Te portrety są doskonale zamknięte w sobie jak pudełka z pamiątkami. Albo otwarte tylko do wewnątrz.

Osobną grupę prac stanowią cykle „stylizacyjne”, np. Marcina Szwaczko, Meg Turner i Romana Krawczyka. Odnajdujemy w nich rekwizyty znane już nam z przedwojennych i XIX-wiecznych kolekcji – te same arystokratyczne lub nie-

co ironiczne pozy portretowanych, ubrane w stroje sprzed wieku, wdowy i panny młode, cyrkowców, traperów i młodzieńców o wzorowych obyczajach – i ani przez myśl nam nie przejdzie, że przecież oglądamy współczesność, którą fotograficy i styliści utapirowali i przymierzili do starych ciuchów i metod fotograficznych. Dyskretny dialog z tradycją pop-artową (serigrafie Warhola) prowadzi Katarzyna Łata, z kolei do postmodernizmu i jego wszystkich kłopotów z tożsamością nawiązują Patrycja Pawęzowska, Robert Pranagal, Krzysztof Ślachciak. U tych ostatnich twórców wiadać szczególną predylekcję do gruntownej inżynierii w proces fotograficzny, w zasadzie oglądamy prace o niezwyklej „plastycznej gęstości” (Karina Ska, Pranagal wykorzystują wprost techniki malarskie), dynamiczne i amorfizujące. Może właśnie tak wygląda portret człowieka i mieszkańca XXI wieku? Być może wszystko, co starał się nam o nas samych opowiedzieć mimetyzm, przestało nam komunikować cokolwiek? ■

Galeria Miasta Ogródów: Wokół portretu. Zaprezentowano cykle następujących autorów: Marek Gardulski, Andrzej Grudzień, Katarzyna Łata, Katarzyna Kalua Kryńska, Georgia Krawiec, Roman Krawczyka, Janusz Marynowski, Witold Marynowski, Greg Ostrowski, Patrycja Pawęzowska, Konrad K. Pollesch, Robert Pranagal, Karina Ska, Wojciech Sternak, Marcin Szwaczko, Krzysztof Ślachciak, Meg Turner, Rafał Warzecha, Magdalena Wdowicz-Wierzbowska, Andrzej Wiktor. Kuratorka Jolanta Rycerska. Organizatorzy: Okręg Warszawski ZPAF, Studium Fotografii ZPAF oraz Katowice Miasto Ogródów. Wrzesień–październik 2019 roku.

Miasto Zabrze od 24 lat jest organizatorem cyklu Międzynarodowych Konferencji Naukowych pod wspólnym tytułem Kultura Europy Środkowej. Współdziałają z miastem Oddział Polskiej Akademii Nauk w Katowicach oraz Katowicki Oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego.

Corocznie, miasto gości znakomitych uczonych reprezentujących wiele dziedzin i dyscyplin nauk oraz różne europejskie narody. Pani Prezydent Miasta Zabrze, otwierając Konferencję, podkreśliła, że:

– „Cyklicznie organizowane w Zabrzu konferencje w szerokim kontekście europejskim przybliżają nam historię śląskiej ziemi. Cieszymy się, że każdego roku biorą w nich udział uczeni z różnych ośrodków naukowych w kraju, jak również z Czech, Słowacji czy Niemiec. Konferencje mają ponadto ogromny walor edukacyjny dla młodzieży szkół średnich i studentów”.

Od początku tego wieloletniego przedsięwzięcia naukowego merytoryczny nadzór sprawuje nad nim Rada Naukowa Konferencji, grupująca pod przewodnictwem prof. dr hab. Antoniego Barciaka, znakomitych przedstawicieli nauk humanistycznych: prof. Marię Błahovą, prof. Ewę Chojecką, prof. Sławomira Gawlasa, prof. Wojciecha Iwańczaka.

Obecna Konferencja została zorganizowana pod patronatem Wiceprezesa Rady Ministrów RP prof. Piotra Glińskiego, Wiceprezesa Rady Ministrów RP, Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego dr Jarosława Gowina, Metropoli Katowickiego abp dr Wiktora Skworca, Ordynariusza Gliwickiego bp dr Jana Kopca; Wojewody Śląskiego Jarosława Wierzorka, Marszałka Województwa Śląskiego Jakuba Chelstowskiego, Prezesa Polskiej Akademii Nauk prof. Jerzego Duszyńskiego, Rektora Uniwersy-



KULTURA EUROPY ŚRODKOWEJ

Artykuł promocyjny

tetu Śląskiego prof. Andrzeja Kowalczyka oraz Prezydent Miasta Zabrze Małgorzaty Mańki-Szulik.

Jak co roku Komitet Organizacyjny swym doświadczeniem i radą oraz pracami organizacyjnymi wspierali Stefan Gajda (Oddział PAN) i Dorota Szatters, Naczelnik Wydziału Kultury i Dziedzictwa Urzędu Miejskiego w Zabrzu.

W dniach 14 i 15 listopada – 25 naukowców z różnych ośrodków badawczych w Polsce i w Czechach dyskutowało nad niezmiernie ważnym dla dziejów Europy Środkowej tematem: „Wojny i konflikty w Europie Środkowej, ze szczególnym uwzględ-

nieniem Śląska. Aspekty społeczne i kulturowe”.

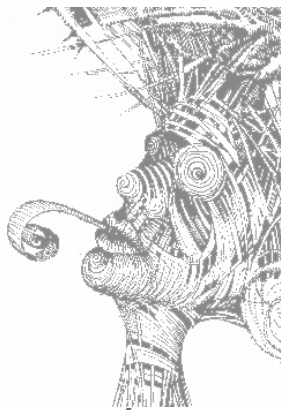
Obrady zainaugurowane zostały wykładem wprowadzającym wygłoszonym przez dr hab. prof. UW Lecha Nijkowskiego pt.: „Przemoc zbrojna w XXI wieku. Od kozłów ofiarnych po ludobójstwo klimatyczne”.

W pięknej sali Teatru Nowego w Zabrzu, duże zainteresowanie – szczególnie wśród licznie zgromadzonej młodzieży – wzbudziła dyskusja panelowa z udziałem ośmiu wybitnych przedstawicieli nauk socjologicznych, filozoficznych i historycznych, skupiona wokół problemów wojen i konfliktów w wymiarze społecznym i kulturowym.

Następnego dnia obrady zostały przeniesione do Łaźni Łańcuszkowej Sztolni Królowa Luiza przy ul. Wolności. Pięknie odrestaurowany, zrewitalizowany obiekt przemysłowy, dowodzi troski władz miasta o zabytki techniki i świadczy o pomyślnie realizowanej, nowoczesnej koncepcji polityki kulturalnej i ochrony zabytków przemysłowych. Jak co roku, dorobek konferencji zostanie udokumentowany w elegancko wydanej księdze zawierającej wszystkie referaty wygłoszone podczas tego ważnego spotkania naukowców.

Już dziś, organizatorzy umawiali się na kolejną, 24. Konferencję w roku 2020. ■





ŚLĄSKA
OJCZYŻNA
POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

Ondraszku, Ondraszku...

Bardzo mnie poruszyły słowa jednego z felietonów Anny Dziewit-Meller w „Tygodniku Powszechnym”, opisujące występ Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” na katowickim OFF Festivalu w sierpniu br.: „Nagle ze sceny popłynęły dźwięki «Ondraszka», pieśni o zbrojniku, który oczywiście rabował bogatych i rozdawał biednym, a zdradzony przez jednego ze swojej bandy – niejakiego Juraszka – został ponoć dla przykładu poćwiartowany na rynku we Frydku. W dzieciństwie słyszałam tę pieśń wiele razy – może w radiu, może w jednym z trzech istniejących wówczas kanałów telewizji, może podczas odwiedzanego przez nas latem każdego roku Tygodnia Kultury Beskidzkiej w Wiśle albo w Żywcu, nie pamiętam już dobrze. A potem ją zapomniałam. Kiedy jednak wokalistka ubrana w piękny istebiański strój załkała «Ondraszku, Ondraszku, kaj się ty podziywasz», po pierwsze usłyszałam, jak z całej siły moich strun głosowych śpiewam tę pieśń razem z nią, zupełnie nie bacząc na hipsterską publiczność, która mnie otaczała, po drugie poczułam, jak po mojej niewzruszonej zazwyczaj twarzy płyną łzy, po trzecie zobaczyłam, że dziewczyna obok mnie też płacze, może nawet płacze bardziej, zanosi się wręcz szlochom, po czwarte poczułam prawdziwą miłość do tej ojczyzny, do której przez kilka lat wracałam z rodzicami z zagranicznych wyjazdów, przekraczając granicę Zwardonia”.

Rozumiem aż nadto dobrze odczucia autorki, bo nawet w tej chwili, gdy cytuję jej słowa, oczy mam wilgotne, a co dopiero, kiedy słucham „Ondraszka” na koncercie „Śląska”. Dlatego upominam się przy nadających się okazjach o obecność tego Hadynowego arcydzieła muzyki chóralnej na każdym występie zespołu z Koszęcina. Wyznam wreszcie i to, że długo było ono sygnałem dźwiękowym mego telefonu komórkowego!

Napisałem zaś niniejszy odcinek do numeru listopadowego, bo zwieńczeniem tego miesiąca są przecież andrzejki – nazywane zwyczajnie i zabawy związane z 30 listopada, czyli dniem św. Andrzeja (przez małe „a” – tak jak walentynki, mikołajki czy sylwester „zabawa sylwestrowa”), a *Ondraszek* to wariant morfologiczny *Andrzeja* (w jednym z kalendarzy widzę nawet przy dniu 30 listopada: *Andrzeja, Ondraszka*) – tak jak np. *Jędrzej* (od niego popularne zdrobnienia *Jędrzek, Jędrus*).

Pochodzi *Andrzej* z greki, a jego pierwotne znaczenie łączy się z greckimi formami *aner*, dopełniacz *andros* – „mąż, mężczyzna”, *andreios* – „męski, męzny, dzielny, odważny”. Grecki *Andreas* to pierwotne zdrobnienie dwuczłonowych imion męskich, takich jak *Androgenes, Andromedes, Andronikos* itp. W czasach hellenistycznych imię to przedostało się do Palestyny, a stamtąd jako imię apostoła Andrzeja, brata Szymona (św. Piotra), wraz z innymi imionami biblijnymi rozeszło się po całym świecie chrześcijańskim. Do polszczyzny przejęte zostało z łaciny za pośrednictwem czeskim. W dawnym języku – obok wariantów *Andrzej, Jędrzej* – funkcjonowały i takie jeszcze postaci, jak *Jędrzych, Ondrzej, Andrzejasz, Andrzyasz* oraz zdrobniałe *Ondrysz* i właśnie *Ondraszek*.

Rozliczne były derywaty od tych postaci utworzone, dziś używane jako nazwiska: *Andrzejak, Andrzejko, Andrzejczyk, Andrzejec, Andrycz, Andrysz, Andras, Andrasz, Androsz, Jędrzejak, Jędrzejasz, Jędrzejczak, Jędrasz, Jędrasz, Jędrak, Jędrach, Jędras, Jędruch, Jędrusek, Jędryk, Jędrysik, Jędryk, Ondra, Onderka, Onderko, Ondrost, Ondrosz, Ondrusz* (ten ostatni szczególnie częsty na słowackim obszarze językowym).

Dodajmy, że od tego imienia wywodzi się też lwowsko-krakowskie (galicyjskie) określenie *andrusy* – „łobuziaki”, a także *Jędrusie* – nazwa oddziału partyzanckiego

go działającego od roku 1941 do końca wojny na ziemi kieleckiej i Podkarpaciu.

Dopowiedzmy wreszcie i to, że w średniowieczu częste były u nas brzmienia żeńskie – *Andrzeja, Ondrzeja*. Dziś – znam we Wrocławiu tylko jedną panią Andrzeję, w domu nazywaną Andzią. Za to w innych językach żeńska postać naszego imienia należy do form bardzo popularnych, że przywołam choćby tylko *Andrę*, obsługującą społeczności angielską, czeską, duńską, hiszpańską, niemiecką, portugalską, rumuńską, szwedzką i węgierską.

Może wielu Czytelników się zdziwi, że przejdę na koniec do imienia *Angelika*. Jest ono kontynuantem greckiego przymiotnika *angelikos* „anielski” i łacińskiego *angelicus, angelica* „anielski, anielska”. W zgodzie z klasycznym oryginałem należałoby je odczytywać z głoską „g”. Ponieważ jednak imię to zrobiło u nas karierę dopiero w ostatnich latach, bo i przejęte zostało z angielskiego lub włoskiego, to pod wpływem tych języków oraz filmu i telewizji utrwaliła się u nas wymowa *Andżelika*, a odpowiadający jej zapis również zdobył sobie prawo obywatelstwa (obok postaci *Angelika*). Mało tego – coraz więcej osób w Polsce zaczyna traktować *Andżelikę* jak żeński odpowiednik *Andrzeja* (widziałem kiedyś plakat zapowiadający andrzejkowe widowisko zatytułowane „Andrzeje i Andżeliki!”). Proszę sobie wyobrazić, że przed laty na jedno z posiedzeń naszej Rady Języka Polskiego wpłynął postulat dopuszczenia w związku z tym trzeciego wariantu pisowniane go – *Andżelika* przez „Andrz-”.

Byłem jednym z pierwszych, który wtedy głośno wykrzyknął: nie, po stokroć nie! Większość także uznała to skojarzenie za etymologiczną, historycznojęzykową paranoję i wniosek na szczęście został odrzucony. A Państwo już teraz rozumieją, dlaczego odcinek o *Andrzeju* i *Ondraszku* zwieńczyłem wywodem o *Andżelice*. ■



MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

O absencji śmierci w kulturze współczesnej?

Nie tylko naukowcy, ale głównie publicyści ustawicznie i nachalnie piszą – i to zazwyczaj jednak z przesadą – o różnych niedomogach naszych czasów. Wskazują na nasilający się indywidualizm, na wszechogarniający nas konsumpcjonizm, na agresywną rolę kultury masowej, na utowarowienie kultury, na zanik autorytetów i zarazem wzorcotwórczą rolę celebrytów, a wreszcie zanik wartości uniwersalnych, etc., etc., etc. Czy naprawdę jest tak źle w tym naszym zglobalizowanym świecie? Świecie terroryzmu, przemijających „mód” i także tego prawdziwego, realnego terroryzmu? Takie myśli muszą nas nachodzić w owe dni, kiedy składamy hołd naszym zmarłym przodkom. Wówczas rodzi się pytanie o „miejsce” śmierci w tym naszym „postrzępionym” świecie współczesności. Przecież żyjemy w świecie, w którym nie mówimy, a przede wszystkim nie myślimy o śmierci. Nie jest ona też pretekstem do refleksji. A jak było w przeszłości? Inaczej, kategorycznie inaczej.

W Egipcie, w Grecji, w Rzymie, w dobie średniowiecza, a nawet w nieodległej i pogardzanej kulturze ludowej. W staroegipskiej „Księdze umarłych” z XVI w. p.n.e. czytamy: „Rzeka płynie na północ, wiatr dmie na południe. Każdy człowiek ma swoją godzinę” a chrześcijaństwo lapidarnie głosi – „Memento mori”. A dawniej w naszej europejskiej kulturze ludowej – jak to określał Philippe Ariès – panował swoisty wzór „śmierci oswojonej”. Ten francuski mediewista-antropolog wyjaśniał, iż ów termin należy stosować wobec pewnej konkretnej postawy odnoszącej się do przemijania i „spraw ostatecznych”. W efekcie, w krajach w których panuje taki sposób rozumienia śmierci okazuje się, że jest ona pojmowana jako „coś” naturalnego, oczywistego. Zgodnie z ludową ontologią – „jeśli coś się rodzi, musi umrzeć, a wszystko, co ma początek, musi mieć i koniec”. W konsekwencji ma to odzwierciedlenie nawet w opowieściach folklorystycznych, pieśniach, czy paremiach. Jest to zatem

oczywiste zjawisko w egzystencji wszystkich organizmów żywych, w tym również człowieka. Ale w tym przypadku wyjątkowość ludzkiej egzystencji – zgodnie z wiarą, także religijnością – polega na tym, że zgon nie jest jednak całkowitym kresem bytu. Jest tylko momentem „prześciowym” między realiami „tego świata” a życiem wiecznym. W konsekwencji występujący wzór „śmierci oswojonej” powodował, iż nieuchronność przemijania w ziemskim wymiarze przyjmowano bez lęku. Po prostu ze swoistą pokorą. Tak nakazywały obowiązujące wzory zachowań. Stąd „spokojnie” oczekiwano na zgon, co wiązało się ze specyficznymi zachowaniami, jakie towarzyszyły ostatnim świadomym chwilom życia. Niezwykle celnie ujął to zjawisko ludoznawca Adam Fischer, pisząc w 1921 roku: „Śmierć ludu nie przeraża, bo poddaje się jej z rezygnacją. W tej ostatniej chwili zwykle nie tyle myśli się o ratowaniu życia, ile o rychłej i bezpiecznej śmierci. »Bywajta zdrowi! Już mi cas do świętej ziemi, cas mi spocąć. Narobił się cłek, to i spocynku się żąda u Boga. Oj żąda się, żąda. Boże miłosierny!« mówi – jak podaje cytowany badacz anonimowy – schodzący starzec w Studziankach”.

A jak jest dzisiaj? Ano właśnie. Przyznajmy, jeśli stać nas na szczerłość. Uciekamy panicznie, ale też coraz bardziej świadomie od tego, co nastąpi. Bo nastąpić musi. W rezultacie śmierć oczywiście jest; wszak inni odchodzą, nagle albo po przewlekłej chorobie. Ale przecież my żyjemy nadal. Dziś „dzięki” szalejącej popkulturze śmierć podlega procesowi banalizacji. Jako pojętni uczniowie „głupoty” jesteśmy nosicielami na sztandarach teraźniejszej głupoty hasła – „Śmierci nie ma, bo kiedy my żyjemy, jej nie ma”. Tradycyjna wizja śmierci bazowała więc na swoistym „oswojeniu”, gdy współczesna, na co wskazują badacze, charakteryzuje się „ucieczką przed śmiercią” czy też pojmowaniem jej jako „śmierci drugiego”. Dziś coraz częściej ulegamy ułudzie naszej nieomal nieśmiertelności. Jesteśmy wszak

zanurzeni w realiach codzienności, pogoni za czymś, co jest zaledwie ułudą, i co sprawia, że stajemy się zaledwie bezrefleksyjnymi konsumentami dóbr głównie materialnych. A jeśli już przykładowo wybieramy się do innych krajów, to tylko po to – jak pisze publicysta Przemysław Szczerek – aby wylegiwać się na plaży. Prężyć swoje ciało, opalać się, pić drinki. Mimo, że niedaleko jest Akropol, Luksor, piramida Cheopsa, i inne nikomu niepotrzebne obiekty. A niekiedy o zgrozo są i muzea. Ale wszak ja żyję w świecie, który mnie interesuje. No i ogólnie fajnie jest. Wrócimy, pokażemy zdjęcia, tandetne pamiątki.

Kiedy zaś przyjdą owe pierwsze listopadowe dni – pokornie, a może i karnie, bo tak nakazuje tradycja – idziemy na cmentarze. Ale czy będzie to tylko udział w zwyczajowym odwiedzaniu grobów, czy coś więcej? Co? Pomyślmy wtedy o naszych zmarłych i naszym życiu, i fenomenie śmierci. Wszak już tekst klasycznej rotuły barokowej autorstwa Tobiasza Wiszniewskiego głosił:

*Łakomy grobie,
Umarłych żłobie!
Ciągniesz ku sobie
Wszech w każdej dobie [...]*

*O smutny dole!
W fortunym kole
Nie obaczamy,
Gdy w cie wpadamy.*

Tyle i aż tyle. I pomyślmy też o tych, którzy w owe dni nie pójdą na cmentarze. Nie odwiedzą grobów najbliższych, dziadków, rodziców, przyjaciół, znajomych. Rodzi się pytanie. Czy są inni, obcy naszej kulturze? Nie. A może są pozbawieni wrażliwości? Też nie. Po prostu są brutalnie zagubieni, zagubieni w promocji tandety, egoizmu i ułudy nieśmiertelności. A wspomniany francuski badacz wyjaśnia: „Obecnie śmierć jest z naszych obyczajów tak wymazana, że z trudem ją sobie wyobrażamy i pojmujemy”.

Śląski Związek Gmin i Powiatów (ŚZGiP), utworzony w roku 1991, stanowi jedną z największych i najbardziej aktywnych organizacji na tle podobnych, działających w Polsce. Zrzesza obecnie 137 jednostek samorządu terytorialnego z województwa śląskiego. Od 2015 r. przedstawiciele Stowarzyszenia uczestniczą w pracach Komisji Wspólnej Rządu i Samorządu Terytorialnego. Związek prężnie działa też na forum Ogólnopolskiego Porozumienia Organizacji Samorządowych, utworzonego w roku 2013.

28-letnie doświadczenie Związku z jednej strony zapewniło mu znaczącą pozycję w regionie, nie tylko w środowisku samorządowym. Z drugiej – pozwoliło na wypracowanie w dużym stopniu skutecznej metody funkcjonowania. Zdefiniowana prawie trzy dekady temu misja Stowarzyszenia mimo zmieniającej się rzeczywistości nadal jest aktualna. Jej rdzeniem jest wspieranie gmin i powiatów w działaniach, które prowadzą na rzecz społeczności lokalnych. W roku 2016 Związek otrzymał Złotą Odznakę Honorową za Zasługi dla Województwa Śląskiego.

Kapitał samorządowy

Formułą współpracy, silnie integrującą członków Związku, są gremia działające w ramach jego struktur, w niektórych przypadkach od ponad 20 lat. Po pierwsze są to gremia skupiające decydentów miast i gmin, czyli Konwent Prezydentów Miast na Prawach Powiatu oraz Konwent Burmistrzów i Wójtów. W trakcie spotkań obu Konwentów dyskutowana jest i uzgadniania wspólna polityka w kontekście kluczowych spraw samorządowych.

Ponadto w strukturze Związku aktywne działają gremia, w których spotykają się i omawiają aktualne problemy pracownicy podobnych wydziałów i referatów w różnych urzędach oraz starostwach. Wśród nich można wyróżnić komisje tematyczne, zespoły zadaniowe, grupy robocze oraz sieć konsultacyjną. Gremia te śledzą zmiany w ustawodawstwie samorządowym i na bieżąco wymieniają się dobrymi praktykami i sprawdzonymi rozwiązaniami. W dłuższej perspektywie taka formuła współdziałania przekłada się na zauważalny wzrost wiedzy i kompetencji uczestników prac tych gremiów. Kreuje się dzięki temu swego rodzaju kapitał społeczny w postaci wzajemnego zaufania i otwartości na wspólne rozwiązywanie problemów, rodzących się podczas wykonywania zadań samorządowych.

Współpraca wielowymiarowa

Ze względu na zauważalny brak skutecznej komunikacji między różnymi środowiskami w województwie śląskim, Związek za jeden z celów postawił sobie właśnie tworzenie płaszczyzny rzeczowej i wielosektorowej współpracy. Jednym z przykładów jest funkcjonująca w skali naszego województwa od sześciu lat Regionalna Rada



Nadzwyczajna sesja Zgromadzenia Ogólnego Związku w sierpniu 2019.

fol. archiwum ŚZGiP

Z perspektywą samorządową

DOMINIKA TKOCZ

ds. Energii. Gremium to skupia przedstawicieli samorządu lokalnego i szczebla wojewódzkiego, administracji rządowej, środowiska nauki i przedsiębiorstw energetycznych. Inną płaszczyzną działania są cyklicznie organizowane przez Związek, wspólnie ze Śląskim Urzędem Wojewódzkim, seminaria m.in. na temat aktualnych problemów planistycznych w gminach oraz gospodarki nieruchomościami.

Szybkie reagowanie

To, co wyróżnia ŚZGiP, to umiejętność elastycznego i szybkiego odpowiadania na sygnały zgłaszane przez gminy i powiaty członkowskie. Z koniecznością pilnego reagowania Związek mierzy się m.in. w sytuacji, gdy na samorządy lokalne nakładane są ustawowo nowe obowiązki. Wtedy Związek stara się opiniować propozycje legislacyjne, zwłaszcza w zakresie tych regulacji, które budzą uzasadnioną krytykę środowiska (np. ustawa o utrzymaniu czystości i porządku w gminach czy prawo zamówień publicznych). Aktywność ŚZGiP w tym zakresie objawia się też czasem w potrzebie zebrania w krótkim czasie konkretnych danych w celu znalezienia najbardziej optymalnego rozwiązania (np. w zakresie oświaty czy służby zdrowia).

Długofalowo z konkretnym rezultatem

Zakres tematów podejmowanych przez Związek jest bardzo szeroki. Wiele działań prowadzonych jest długofalowo i z zamiarem uzyskania konkretnych efektów. Przykładem tego może być aktywność Stowarzyszenia od 2002 r. w sferze rozwoju obszarów wiejskich m.in. poprzez ko-

ordynowanie działalności regionalnej sieci współpracy *Silesian Leader Network* czy wspieranie inicjatywy pn. *Polska Sieć Odnowy i Rozwoju Wsi*. Związek od wielu lat realizuje też przedsięwzięcia benchmarkingowe związane ze wzmocnieniem innowacji w samorządach, szczególnie w obszarze świadczenia usług publicznych. Za tę aktywność ŚZGiP otrzymał w roku 2015 nagrodę Lidera Innowacji w konkursie pn. *Regaty rozwoju: Liderzy Innowacji i Współpracy Ponadnarodowej PO KL 2007–2013*. W latach 2016–2019 Związek był partnerem projektu systemowego pn. *System Monitorowania Usług Publicznych – koncepcja SMUP*. Przedsięwzięcie to zakończyło się wypracowaniem koncepcji merytorycznej i wykonawczej powszechnego systemu monitorowania wybranych usług publicznych, z którego w przyszłości będą korzystać zarówno samorządy lokalne, jak i przedsiębiorcy.

Wiele głosów, jedno credo

Związek zrzesza różnej wielkości jednostki samorządu terytorialnego. Wśród nich są duże miasta, gminy miejskie i wiejskie oraz powiaty. Skala problemów i wyzwań samorządowych w poszczególnych jednostkach jest zróżnicowana. Łączenie czasem odmiennych interesów w bieżącym działaniu nie jest prostym zadaniem. Tym, co to umożliwia jest pewien zestaw niepisanych zasad. Po pierwsze działać zawsze w oparciu o merytoryczne przesłanki, po drugie apolitycznie i profesjonalnie. I wreszcie po trzecie, każdorazowo kierując się intencją realnej poprawy życia społeczności lokalnych.



Profesor Elżbieta Hurnik

ALEKSANDER NAWARECKI

Przygotowując portret Elżbiety Hurnikowej, warto mieć wyobrażenie, kim jest profesor i co powinno go charakteryzować? Trzeba tak zanalizować drogę naukowego „rozwoju”, by zyskać pewność, czy „urósł” wystarczająco wysoko? Portrecista sięga zatem po kategorie „wzrostu”, „rozwoju”, „rozkwitu”, „zakorzenienia” itp. Metaforyka roślinna jest tu oczywista, zaś porównanie profesora do dojrzałego drzewa wciąż pozostaje niezastąpionym toposem. W przypadku Elżbiety Hurnikowej terminologia dendrologiczna wydaje się szczególnie pomocna. Nie idzie tylko o charakterystykę wzrostu harmonijnego, niespiesznego, ale permanentnego, niezawodnie przynoszącego owoce. Chodzi także o samą strukturę naukowego dorzeczania. Rzadko się zdarza, żeby ta linia biegła tak logicznie i systematycznie, dokładnie odwzorowując model drzewa, które też w naturalny sposób dyktować będzie porządek niniejszego szkicu.

Struktura kariery

„Zalążkiem” kariery Elżbiety Hurnikowej są jej studenckie zainteresowania

poezją Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Rozwijały się dalej na seminarium prof. Ireneusza Opackiego, wzrastając krok po kroku w postaci magisterium (1977) i doktoratu (1987), a wreszcie książki (1995). Badania nad twórczością Polskiej Sinfony to „pień główny”, coraz wyższy i potężniejszy, który osiąga apogeum wraz z publikacją monografii Pawlikowskiej (1999, 2012). Z tego centrum „drzewa” wyrastają cztery główne konary, a z nich „gałęzie”, na których co roku pojawiają się „liście” kolejnych publikacji. Pierwsza gałąź, najbliższa srodka, to bezpośredni kontekst działalności Pawlikowskiej, więc skamandryci i satelici grupy, literacki Kraków i Warszawa; problematyką rozciągający się na całość kultury Dwudziestolecia. Druga odnoga to twórczość kobiet, które badaczce „Staroświeckiej Pani z Krakowa” zawsze wydawały się bliskie (Ostrowska, Marjańska, Poświatowska), także dzięki osobistym kontaktom (Lipska, Korusiewicz). Z tą gałęzią zrośnięta jest następna, związana z formą artystyczną często kojarzoną z kobiecością – to miniatura. Wreszcie konar naj-

potężniejszy, czerpiący soki z „korzeni”, co oznacza powrót do tradycji kształtującej „Lilkę”, więc Młoda Polska (Orkan, Ostrowska), plastyka secesyjna, estetyczny i obyczajowy wpływ Wiednia. Ta gałąź rośnie najbardziej dynamicznie; wraz z badawczymi wędrówkami uczoney do Mödling, Weisskirchen i stolicy Austrii rosło jej zainteresowanie wiedeńskimi salonami, kawiarniami, czasopismami, teatrami, miejscową modą i oczywiście ludźmi, wiedeńczykami uprawiającymi literaturę. Stąd wyrasta potrzeba ogarnięcia kultury Monarchii Habsburskiej, a w samym finale – szerokie studia porównawcze polsko-austriackie i austriacko-polskie.

Zgodnie z logiką „drzewka derywacyjnego” rozszerzają się kompetencje uczoney: oto badaczka Pawlikowskiej staje się ekspertem w zakresie literatury polskiej lat 1918–1939, a potem dokonuje serii komparatystycznych porównań rodzimej literatury z austriacką (sporadycznie z czeską i niemiecką), a nadto zestawia literaturę z plastyką, architekturą, instytucjami życia społecznego. Polonistka staje się komparatystką, a „po drodze” zyskuje kompetencje germanistki (specjalność: literatura austriacka przełomu wieków).

Chciałbym bliżej przyrzeć się wskazanym wcześniej fazom rozwoju, mając równocześnie przekonanie, że najświeższe dokonania Elżbiety Hurnikowej wyrastają z wcześniej prowadzonych badań, które początkowy impuls miały częstokroć już w juveniliach. Dlatego konieczne jest ogarnięcie całości tego dorobku.

Od debiutu do doktoratu

Elżbieta Hurnikowa latach 1972–1977 studiowała filologię polską na Uniwersytecie Śląskim. Już wtedy błysnęła talentem: studia ukończyła z półrocznym wyprzedzeniem, a tezy jej pracy magisterskiej zostały dostrzeżone w środowisku uczelnianym (dobrze pamiętam ten sukces starszej o dwa lata koleżanki). Mam wrażenie, że znakomity początek zaważył na przyszłej karierze – nadał jej kierunek. Hurnikowa miała szczęście, trafiając na seminarium prof. Opackiego, w chwili kiedy inaugurował projekt „skamandrycki”, definiował metodologię itp. W centrum jego zainteresowań sytuowała się wtedy trójka poetów: Jan Lechoń, Kazimierz Wierzyński i Julian Tuwim. Pierwsz dwaj ze względu na tradycję romantyczną, zaś Tuwim jako „Rousseau mieszczańskiego dwudziestolecia” inspirował go postawą społeczną. O Marii Pawlikowskiej raczej nie myślał,

aż do chwili, kiedy jego seminarzyste udało się dowiedzieć, że dla krakowskiej poetki także kluczowa jest tradycja (neoromantyczna), a nadto kontekst socjalny (mieszczański salon). Samodzielny pomysł interpretacyjny Hurnikowej okazał się uderzająco zbieżny z perspektywą wytyczoną przez promotora, a zarazem wnosił wiele nowego (perspektywa interdyscyplinarna). Nic zatem dziwnego, że jej debiutancki szkic pt. *Natura w salonie mody* trafił do pierwszego tomu „Skamandra”, a następny (*Oswojenie natury. W kręgu liryki Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej*) znalazł się w tomie drugim serii. W tym samym roku 1978 kolejny artykuł (*Elementy secesji w liryce Pawlikowskiej*) trafił do tomu *Plastyka na lekcjach języka polskiego* (pod red. Anny Opackiej), co oznaczało, że studencka interpretacja została uznana za wzorzec metodyczny godny zastosowania w szkole). Bodaj nikt z ówczesnych asystentów i współpracowników nie spotkał się z takim zaufaniem Mistrza. Nie dość na tym, Opacki w toku kursowych wykładów z teorii literatury z wielką atencją prezentował pomysły Hurnikowej. Nikogo wcześniej ani później nie spotkało podobne wyróżnienie. Studenti często referują odkrycia swoich nauczycieli, ale trudno sobie wyobrazić sytuację odwrotną...

Dziś zastanawiam się, dlaczego magisterskie i doktoranckie pomysły Hurnikowej spotkały się z tak wyjątkowym uznaniem? Na pewno były odkrywcze, na pewno wytrzymały próbę czasu, skoro rozprawa doktorska pod sprawdzonym wcześniej tytułem *Natura w salonie mody. O międzywojennej liryce MP-J* (1995) doczekała się druku w PIW-ie, najbardziej prestiżowej wówczas oficynie wydawniczej w kraju. Ale skalę nowatorstwa ujawnia dopiero nowsza publikacja; na myśli mam studium Ryszarda Nycza pt. *Możliwa historia literatury* (2010), gdzie za wzór nowej „teorii praktyki historycznoliterackiej” uznane zostały: „niekonwencjonalne próby konceptualizacji przeszłości, w rodzaju Benjaminowskiego opisu secesji w kategoriach metaforycznych pojęć, ‘futurału’ ‘ornamentu’, ‘falistej linii’. Specyficzna konstelacja pojęciowa zaproponowana do odczytania kultury secesyjnej, pozwala nie tylko na odkrywcze uporządkowanie nowego zjawisk dotąd razem niezestawianych oraz uchwycenie różnych aspektów we współmiernych kategoriach (formy i zawartości, powierzchni i głębi, struktury i funkcji)”. Przerywam długi wywód Ny-

cza, z którym publicznie dyskuutowałem, rozważając uderzające podobieństwo praktyki analitycznej Waltera Benjamin i Hurnikowej właśnie. Wystarczy przywołać tytuły rozdziałów: *Ornament linio- wy, Makroskopia i płaskość, Salonowy typ wypowiedzi, Secesja w obrazowaniu Pawlikowskiej*, aby książkę *Natura w salonie mody*, uznać za dzieło absolutnie „Benjaminowskie” (choć to nazwisko nie pojawia się w indeksie). Można żałować, iż Hurnikowa nie dotarła do jego tekstów, wówczas słabo znanych w Polsce, ale też podziwiać zbieżność jej samodzielnych pomysłów z geniuszem autora *Paryskich pasaży*. Niewątpliwie uprzedziła horyzont popularnej dziś „poetyki kulturowej”.

„Dzieło życia”

Jako magistrantka i doktorantka uczyła się Hurnikowa subtelnej interpretacji liryki Pawlikowskiej, ale równocześnie ciekawa była faktów biograficznych, historycznych, historyczno-literackich itp. Chciała wiedzieć wszystko o Pawlikowskiej, o jej rodzinie, lekturach i zainteresowaniach pozaliterackich, podróżach, nie wyłączając życia osobistego i intymnego. Tak powoli rozdził się zamysł monografii. Hurnikowa była świadoma, że zdobycie pełni wiedzy jest utopią. W latach siedemdziesiątych XX wieku (i długo później) rozpowszechniło się przekonanie o niewykonalności monografii jako przedsięwzięcia „totalnego”. Co gorsza, gatunek ten uchodził za formę staroświecką, wręcz anachroniczną. Od czasu Kleinerowskich opracowań Mickiewicza i Słowackiego monografia przestała być „koroną” filologicznych zatrudnień, toteż brakuje nam podobnych portretów większości klasyków literatury polskiej. Przeciwnie pisaniu syntez przemawia też ekonomia, bo rzecz wymaga ogromnego wysiłku, drobiazgowości i nakładu środków (w tym samym czasie można by przygotować szereg innych publikacji wyżej punktowanych na rynku). A jednak Hurnikowa podjęła ten trud, poświęcając dziełu co najmniej 12 lat (*de facto* – ćwierć wieku) W roku 1999 w katowickiej oficynie „Śląsk” ukazała się książka pt. *Maria Pawlikowska-Jasnorzewska*. Była to nie tylko pierwsza monografia krakowskiej Poetki, rzecz unikatowa, gdyż podobnej prezentacji nie doczekał się wcześniej bodaj nikt spośród Skamandrytów ani twórców Awangardy. Książka opatrzona skromnym podtytułem „zarys monograficzny” wy-

konana została zgodnie z rygorami gatunku. Znawczyni liryki poznała nadto dramaturgię poetki, jej korespondencję (również nie publikowaną) i prace plastyczne. Spenetrowała cały stan badań i rozmaite archiwa, dotarła do miejsc związanych z życiem Pisarki (także w Austrii i Anglii), wykonała dokumentację fotograficzną. Prowadząc studia biograficzne, nawiązała kontakt z rodziną Kossaków, przyjaciółmi i znajomymi pisarki oraz z innymi badaczami. A wreszcie dokonała syntezy wiedzy anegdotyczno-biograficznej, historycznej, socjologicznej, estetycznej, historycznoliterackiej i psychologicznej – dostrzegając tu integralną całość osoby i dzieła, łączność indywidualnego losu artystki i dziejów zbiorowości. Całość licząca 440 stron, rozłożona na 22 spójnie skomponowane rozdziały ujmuje życie pisarki od dziecięcej idylli w „Kossakówce”, aż po dramat emigracyjnej mizerii i agonii w szpitalu w Manchesterze. A jej losy opowiedziane zostały z głęboką empatią i narracyjną werwą, a zarazem ze skrupulatnością uczonego, który na każdej prawie stronie kwituje swą wiedzę przypisem odsyłającym do źródeł.

Nakład *Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej* został wyczerpany, egzemplarze zaczytane. Pozycja często jest cytowana przez historyków literatury, a poszukiwana przez „zwykłych” czytelników (autorka *Różowej magii* niezmiennie należy do grona „najwyższych” pisarzy XX wieku). To spory sukces, bo książka rywalizowała na rynku z bestsellerem, jakim są wspomnienia siostry poetki, Magdaleny Samozwaniec, czy opublikowaną w roku 2010 „biograficzną opowieścią” Anny Nasiłowskiej prezentującą życie „Lilki” z perspektywy feministycznej. Jak widać żadna z tych książek nie może zastąpić kompletnej monografii. Toteż w roku 2012 w tej samej oficynie ukazało się drugie wydanie tej pozycji, poprawione i uzupełnione, zaktualizowane i wzbogacone ikonograficznie. Ta praca o zakroju fundamentalnym stanowi zapewne największy sukces uczoney; warto byłoby ją porównać z opublikowaną w roku 2011 głośną biografią Czesława Miłosza pióra Andrzeja Franaszka. W obu wypadkach widzimy, jak potrzebne dla kultury narodowej są tego typu prace „pomnikowe”, które w sposób profesjonalny wykonać mogą jedynie specjaliści.

W stronę Wiednia

Praca nad monografią Pawlikowskiej wymagała od autorki znajo-

mości kultury secesyjnej, co z kolei pociągało za sobą zwrot do piśmiennictwa i sztuki przełomu wieków (tu ważny artykuł pt. *Związki literatury Młodej Polski z malarstwem*). Ale niewystarczająca okazała się wiedza o krakowskiej Moderne, bo jej korzenie sięgały przecież Wiednia. W tym celu Hurnikowa odbyła czteromiesięczne badania archiwalne w tym mieście. Uzyskanie stypendium byłoby trudne bez wcześniejszych przygotowań, tj. dwóch wyjazdów badawczych na kwerendy biblioteczne do Dreżna (przy współpracy z tamtejszą Pädagogische Hochschule). Większość prac wykonana jednak później dzięki trzyletniemu (1994–1997) pobytowi w Wiedniu w charakterze lektora języka polskiego w Instytucie Kształcenia Tłumaczy. Zatrudnienie w Uniwersytecie Wiedeńskim to prawdziwa przyгода poznawcza, poważna, bo takim aktem na pewno był udział w pracach zespołu badawczego „Wien um 1900”, czy w konferencji poświęconej roli kobiet na przełomie wieków („Die Frauen der Wiener Moderne”). Efektem tego pobytu jest także seria artykułów, ale przede wszystkim książka *W kręgu wiedeńskiej moderny. Z zagadnień polsko-austriackich powinowactw literacko-kulturowych*. (Częstochowa 2000). To jej pierwsza próba badań porównawczych (recenzentem wydawniczym był germanista Norbert Honsza). Zgodnie z tytułem książki doszło tu do konfrontacji „wiedeńskiego Krakowa” z „krakowskim Wiedniem”, a także takich zjawisk jak „Jugendstil” i „Młoda Polska”. Porównanie nie wyczerpało się na zestawieniu obu literatur oraz losów wybranych postaci z obu miast stołecznych, konfrontacja dotyczyła także dziennikarstwa, malarstwa, architektury,

a nawet muzyki. Ciekawość tego, co specyficznie austriackie skupiła się nadto na dwóch wybranych aspektach, takich jak: wiedeńska szkoła felietonu oraz działalność aktywnych kobiet (m.in. Lou Salome i Alhma Mahler, ale też sławne wówczas aktorki i tancerki). Komparatystyczne studium Hurnikowej w roku 2001 zostało przedstawione jako rozprawa habilitacyjna. Kolokwium przebiegło pomyślnie na Uniwersytecie Śląskim (czego byłem świadkiem); wśród recenzentów, członków Komisji i Rady Wydziału Filologicznego znaleźli się także germaniści (pamiętam odpowiedź na pytanie z Salí sformułowane przez prof. Grażynę Szewczyk). Widzę tu oficjalne potwierdzenie rozszerzonych kompetencji Hurnikowej, której udało się wykroczyć poza domenę polonistyczną. Dlatego po habilitacji z coraz większą swobodą porusza się po kulturze austriackiej, pisząc szereg tekstów rozmaitego kalibru, których bohaterami są Austriacy – Peter Altenberg, Arthur Schnitzler, Hugo von Hofmannsthal, Joseph Roth, Robert Musil, Georg Trakl, a w tle pojawiają się takie figury, jak Rilke, Wittgenstein, Freud, Kafka czy Hašek.

„Cekania”

Ostatnia książka Elżbiety Hurnikowej, *W Cekanii i gdzie indziej. Studia i szkice o literaturze i kulturze austriackiej i polskiej* (2011), to pozycja, którą w akademickim slangu zwykło się nazywać „profesorską”. Rzecz ta rzeczywiście napisana została z „profesorską” swadą, co sugeruje tytuł i fantazyjna okładka o nietypowym formacie (poprzednie prace były potężnymi woluminami). Ale jeśli przyjrzeć się jej bliżej, to widać, jak dalece jest kontynuacją rozprawy habili-

tacyjnej, ciągiem dalszym projektu porównawczego. Kolejnym zbliżeniem do kulturowego fenomenu monarchii Habsburskiej w malowniczej fazie schyłkowej. Cesarsko-królewski świat oglądany z polskiej perspektywy doczekał się tutaj ujęcia o ambicjach syntetycznych. Zwodnicze są skromne rozmiary tej zgrabnej książeczki (gęsty wydruk drobną czcionką na cienkim papierze dużego formatu powinien zająć znacznie więcej miejsca niż 140 str.) i dyskretny aparat naukowy (w odsyłaczach znajdziemy komplet podstawowych opinii austriackich, niemieckich, włoskich, francuskich i polskich dotyczących kultury „CK”). Co więcej, doświadczenia monograficzne autorki sprawiły, że teraz ceni sobie perspektywę historyczną i ujęcia bliskie słownikowym skrótom. Świetnie widać to w kluczowym studium pt. *Cekania*, gdzie tytułowa formuła brawurowa wpleciona do powieści Musiła (*Człowiek bez właściwości*) doczekała się encyklopedycznego dopełnienia. Podobne walory ma *Rola salonów i kawiarni literackich*, która okazuje się nieocenionym wręcz kompendium wiedzy o obu instytucjach w kulturze europejskiej, choć uwaga skupia się na ich funkcjonowaniu w życiu kulturalnym imperium Franciszka Józefa (nie tylko Wiednia, ale także najdalszych prowincji). Erudycyjnym przeglądem jawi się tekst o *Czasopiśmie przełomu XIX i XX wieku*. Kulturoznawczą sumą, a zarazem historycznym przekrojem jest *Tradycja i nowoczesność w kulturze austriackiej*. To prezentacja „krajów katedr” i biedermeierowskich salonów (śpiewających Schuberta), przemienionej w światowe centrum Moderny. Ta metamorfoza świetnie zobrazowana została na materiale architektonicznym, a prezentacja wiedeńskiego Ringu mogłaby się nawet znaleźć w przewodniku po naddunajskiej stolicy. Tyleż syntetyczne, co anegdotyczne walory ma także rozdział ostatni – *Galicjanie w Wiedniu*. Obok ujęć scalających znalazły się też szkice bardziej analityczne, prezentujące twórczość dwóch wiedeńczyków – Altenberga i Schnitzlera. Widać, że autorka coraz pewniej czuje się na gruncie austriackim, a jej portretowe ujęcie Hansa Makarta i jego sławnego atelier modelującego przestrzenną wyobraźnię wiedeńskiego mieszczaństwa może imponować eseistyczną swadą. To może najefektowniejszy i zarazem najbardziej pouczający fragment książki. Ośmielam się twierdzić, że kontynuacja rozpra-



Prof. Elżbieta Hurnik, prof. Tomasz Stępień, prof. Anna Węgrzyniak

wy habilitacyjnej jest krokiem naprzód, bo choć zarysowana tu mapa „Cekanii” ma podobne walory erudycyjne i popularyzatorskie, to góruje subtelnością kreski. Nie mieliśmy chyba dotąd tak spójnej prezentacji „Galicji”, tak zręcznie i głęboko wpisanej w kontekst kultury austriackiej.

Gałąź boczna – miniatura

Wśród wielu „małych” odkryć jakich dokonała Elżbieta Hurnikowa w toku badań nad twórczością Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej znalazło się też rozpoznanie jej „drobinowej” wyobraźni. Szczególna wrażliwość poetki na drobiazgi, szczegóły, detale, precjoza, ozdoby itp. ujawnia się efektywnie w cyklach poetyckich miniatur pt. *Pocałunki* oraz *dancing*. Pierwszemu z nich poświęcony został rozdział książki *Natura w salonie mody*. Jego tytuł, *Salonowy typ wypowiedzi*, wydobywa socjo-poetycką osobliwość tj. konwersacyjną kulturę salonu, z estetyką językowej szermierki, bon motów i ostrych puent. Ale przy okazji dopisuje do *Pocałunków* szeroki kontekst genologiczny (hiszpańska cople, japońska tanka, u-ta, ha-kai, antyczny epigramat w typie Marcjalisa), dając genologiczny zarys miniatury. Temat pogłębia szkicem interpretacyjnym wiersza *Jakżesz ty zrobisz krok w nieskończoność* (2000), oraz XI rozdziałem swojej monografii (zatytułowanym *Sny wachlarze brylantowe tęcze*) poświęconym lakonicznej elegancji *dancingu*. Systematyczne podsumowanie przynosi studium o wymownym tytule: *Maksimum treści – minimum słów. Miniatury liryczne Marii Pawlikowskiej*, opublikowane w językoznawczym zbiorze *Zjawisko ekonomii w języku, tekście i komunikacji* (2010). Mikrologiczne zainteresowania Hurnikowej obejmują także obszar austriacki. W 2002 powstała *Kultura fragmentu. O twórczości Petera Altenberga*, rok później *O felietonie, impresjach i aforyzmach wiedeńskich na przełomie XIX wieku*, a wreszcie ich synteza pt. *Mała forma literacka. Twórczość Petrerera Altenberga* trafia do najnowszej książki (2012). Nic dziwnego, że jeden z tych szkiców opublikowany został w tomie zbiorowym o znamienym tytule *Miniatura i mikrologia literacka* (2003). Jako redaktor tej serii mogą tylko żałować, że stało się to dopiero w 3 tomie, bo o Hurnikowej od dawna myślę jako „klasyku” badań nad miniaturą. W roku 2007 wzięła udział w toruńskiej konferencji poświęconej „*Krótkim formom dramatycznym*” (z referatem

o „*Anatolu*” Arthura Schnitzlera), w 2012 w sesji. „*Małe miasta*” (referat – *Małe miasta w prozie Josepha Rotha*), a nadto opublikowała „mikrologiczne” studium tytułu *Marsz Radetzky’ego*. I na koniec nowa, bodaj ostatnia publikacja: *Miniatury Bronisławy Ostrowskiej* (2012). Jeśli zliczyć wszystkie wymienione tu prace „miniaturowe”, to będzie ich ponad 10, co powinno wystarczyć na samodzielną książkę. Nie wiem czy w Polsce ktokolwiek może jej dorównać bogactwem w tym zakresie (Trzynadłowski? Siomkajło? Michałowski?). Jako badaczka miniatury Hurnikowa jawi się mikrologicznym gigantem!

Korzenie – powrót do Częstochowy

Wracam do metafory dendrologicznej: aby drzewo mogło wzrastać, musi mieć silny system korzeniowy. Tak też dzieje się w naukowej biografii Elżbiety Hurnikowej: nigdy nie straciła kontaktu ze swoją katowicką Alma Mater, z promotorem, kolegami z zakładów Teorii Literatury i Literatury Współczesnej, ze środowiskiem Pałacu Młodzieży i Biblioteki Śląskiej w Katowicach. Ale jej rodzinnym miastem jest Częstochowa i tę więź pielęgnuje z nie mniejszym pietyzmem. Brała udział w pracach Rady Naukowej Encyklopedii Częstochowy (sekcja literacka), współpracuje z Muzeum Częstochowskim (Muzeum Haliny Poświatowskiej), jest aktywnym członkiem Częstochowskiego Towarzystwa Naukowego i w jej opracowaniu opublikowana została antologia *Z częstochowskiej ziemi na „literacki Parnas”* (Częstochowa 2006) obejmująca wiersze Władysława Sebyły, Jerzego Lieberta, Haliny Poświatowskiej, Ludmiły Marjańskiej. To autorzy, którym przy innych okazjach poświęciła uwagę, a szczególnie ważny jest współredaktorski wkład do zbioru *Halina Poświatowska. Czytanie wielokrotnie* (2010), w którym znalazły się prace znawców przedmiotu (Jan Piotrowiak) i wybitnych postaci polonistycznych (Grażyna Borkowska, Leszek Szaruga). Jednak największym wydarzeniem „lokalnym” (tj. częstochowskim) zdaje się współorganizacja cyklu czterech konferencji pt. *Czytanie Dwudziestolecia*, udokumentowanych sześcioma tomami pod tym samym tytułem (2005, 2009, 2012, 2016). Już liczba ponad stu artykułów napisanych przez autorów z całego kraju, a także z zagranicy, pokazuje skalę tego przedsięwzięcia. Pomysł „Czytania” (pierwszej konferencji) – co podkreśla Hurnikowa – był inicjatywą prof. Mariana Kisiela, lecz realizacja i rozmach kolejnych

działań to już jej zasługa; w ten sposób Uniwersytet im. Jana Długosza stał się swoistym centrum nieustającej debaty nad literaturą polską lat 1918–1939. To sukces organizacyjny, środowiskowy, towarzyski, ale przede wszystkim naukowy i edytorski, którego nie sposób przecenić.

Praca u podstaw

Po raz ostatni sięgam po metaforę drzewa, tym razem jako figurę Mistrza. Profesorem jest ten, kto wyraźając z seminarium (łac. szkółka roślin) sam „rozsiewa” następców i pomaga im wzrastać. Elżbieta Hurnikowa rozpoczęła pracę zawodową jako nauczyciel-instruktor w katowickim Pałacu Młodzieży (1976–1987), by po 12 latach podjąć pracę w ówczesnej Wyższej Szkole Pedagogicznej, z którą jest związana do chwili obecnej (dziś Uniwersytet im. Jana Długosza). Karierę w Instytucie Filologii Polskiej rozpoczęła w roku 1987 jako asystent, ale w 1993 objęła funkcję zastępcy dyrektora ds. studentek, a w roku następnym – dyrektora Instytutu. Po powrocie z lektoratu, sfinalizowaniu habilitacji i uzyskaniu stanowiska prof. AJD, została kierownikiem Zakładu Historii Literatury Polskiej, pełniła funkcję kierownika Studiów Doktoranckich (literaturoznawstwo), a obecnie wchodzi też w skład Rady Uczelni. Prowadzi seminaria, wychowała wielu magistrów, wypromowała pięć doktorów, kształciła następnych. Tematy rozpraw doktorskich dotyczyły m.in. twórców związanych z literaturą „międzywojnia” – Bruno Winawera, Zofii Kossak-Szczuckiej, Jana Lechonia, preferując gatunki i tematy spoza głównego nurtu, (dramat, dziennik). Na tym nie wyczerpuje się opieka nad młodą kadrą, na początku pracy w Częstochowie wspierała najmłodsze koleżanki, (Joannę Warońską, Dorotę Utracką i Elżbietę Wróbel), którym towarzyszyła w ogólnopolskich konferencjach; a wkrótce doczekała się własnych magistrantów, których kariery toczą się szczęśliwie poza częstochowskim uniwersytetem.

Dodam, że istnieje jeszcze szczególnie dowód uznania – tom jubileuszowy przygotowany na urodziny Elżbiety Hurnikowej. Nie należy przeceniać podobnych gestów, ale w tym wypadku mamy do czynienia z aktem spontanicznym i bezinteresownym, bez patyny oficjalnych gremiów. To inicjatywa dawnych wychowanków Jubilatki (Bartosza Małczyńskiego, Joanny Warońskiej i Rafała Włodarczyka), która zrodziła się poza jej macierzystą uczelnią (w Opolu i Wrocławiu). Najlepszy to dowód wyjątkowej wdzięczności ze strony

Ziomber

*Pamięci Jadwigi Ziomber,
matki Teresy Ziomber i Jerzego Ziombera*

1.

mój przyjaciel
jak wariat
peregrynuje miastem

2.

umarła
jego matka

mój przyjaciel
jak wariat
zawsze przychodzi nie w porę
zawsze się spóźnia
a kiedy już jest
wychodzi przed czasem
peregrynować miastem

3.

per pedes
rowerem
brukiem kamieniem słowem
piórkiem sztuką
której już nie ma

4.

na pogrzeb
jego matki
wypadałoby się
spóźnić

5.

a jednak
przychodzimy punktualnie
a nawet tak jak przystało –
pięć minut przed
czasem

6.

matka
leży w otwartej trumnie
w bieli
zwinięta jak niemowlę
jak niemowlę śpiąca
jak niemowlę bez zębów
jak niemowlę bezradna
rodzimy się skuleni
skuleni na powrót
wchodzimy w głąb ziemi

7.

ksiądz kilkakrotnie nalega ponagła, żeby już zamknąć trumnę

8.

w kondukcje
dwaj synowie –
zaledwie kilka osób

9.

matka mego przyjaciela umarła
w wieku 90 lat
miała też córkę
córka umarła na początku roku
w wieku 70 lat, była stara
a przecież kiedyś
kochał się w niej pewien wojaczek
pisał wiersze
dla niej
pił wódkę

10.

matka
mego przyjaciela
miała zakład rymarski
przemianowany wraz z rozwojem
raka socjalizmu na
usługi kaletnicze
to tam w pakamerze na zapleczu
nożem do cięcia skór
wojaczek ciął swoje
ciało
płynęła krew
łało się wino, wódka

11.

córka poszła się leczyć w zakładzie
wojaczek poszedł się leczyć po tamtej stronie
a mój przyjaciel został tu
w połowie wyleczony
w połowie nieuleczony
perygnuje ulicami
naszego miasta

12.

mój przyjaciel
wariat
tak wkurwiająco
normalny

2013

Mój kolega Zygmunt Zawisza
Spotygam go na ulicach miasta
Z napuchniętą twarzą
Nieruchomym wzrokiem
Piękny chłopak w młodości
Chciał zostać księdzem
Nie skończył seminarium
Niedopuszczony do święceń
Z powodów zdrowotnych
Wielki Panie Boże czemu
Nie chciałeś Zygmunta Zawiszy
Przy swoim ołtarzu
Czemu przeznaczyłeś mu
Inną drogę
Wędrowkę ulicami miasta
Codzienną komunię psychotropów
Nieruchomy przyćmiony wzrok
Dlaczego dobry Panie Boże
Włożyłeś mu na ramiona
Zamiast stuły
Ciężki niewidzialny krzyż

14 VIII 2010

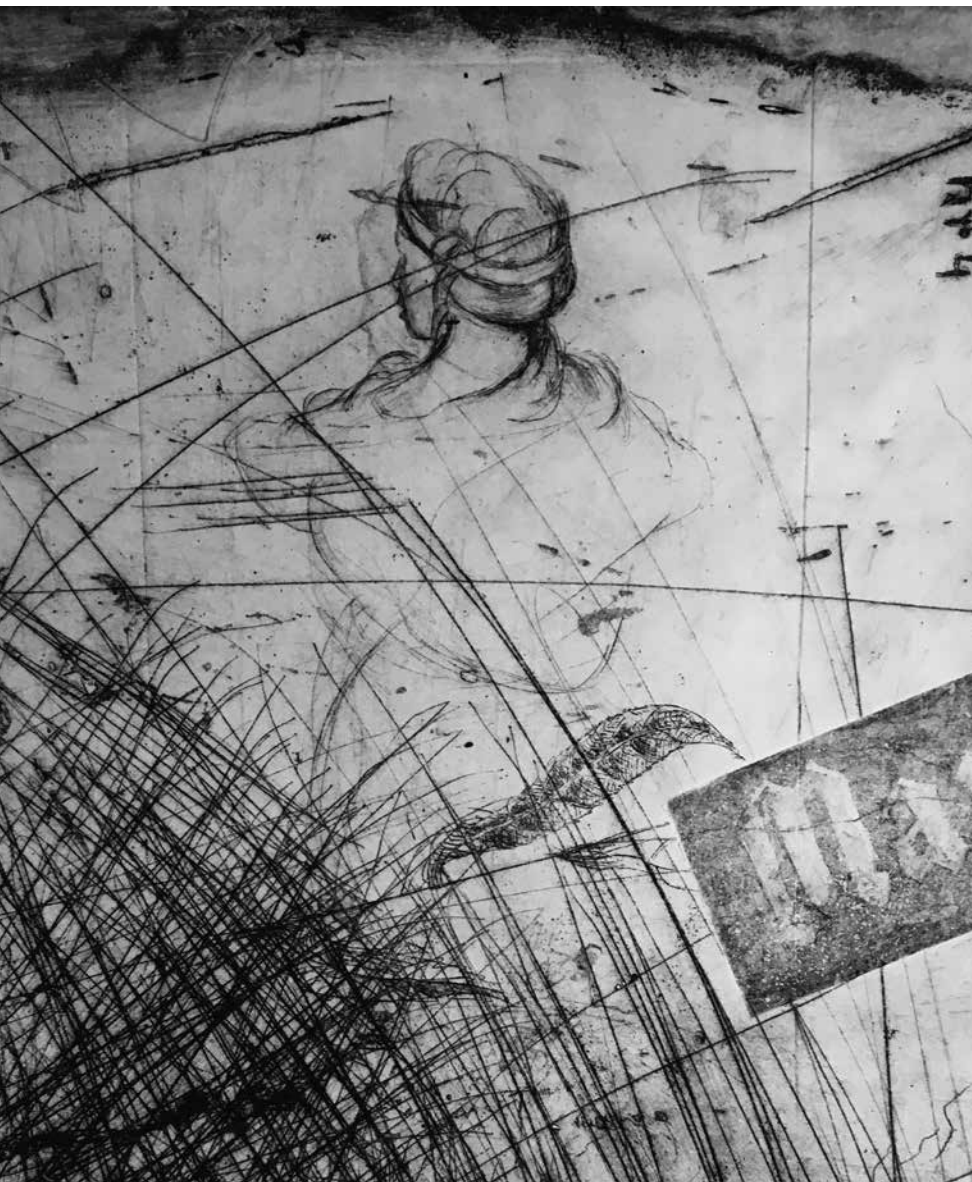
Wiosna 2010

sok z brzozy
ze skrzydeł wosk

i

kropla krwi
którą szybko zmyje
potok podłości
goryczy i wojny

18 VI 2019



Stella, rys. Maria Korusiewicz

Książka o śmierci

PIOTR ZACZKOWSKI

Dla Mariana Kisiele

Byc może, jak twierdzi Andriejewski, rzeczywiście nieustanne „Modlimy się o jakikolwiek rozejm...”. Tyle że nawet wówczas, gdy wydaje nam się, że negocjujemy z Bogiem, prowadzimy rokovania wyłącznie ze śmiercią.

Notatki o problemie zasadniczym (o karze zasadniczej) bywają przydatne, „by każdy spojrział na swoje życie jak na nieprzeniknioną świątynię”. To jednak wymaga elementarnej wiary, ufności, pokory i zanurzenia się w nieprzeniknionym, nie do przejścia (i nie do zracjonalizowania) kulcie życia. Jeszcze bardziej potrzeba liturgii, która na co dzień usprawiedliwia, uzewnętrznia wyznawaną wiarę, potrzeba więc zgody na to, że rytuał, którego ekspozycją była chwila narodzin, spełni się (wypełni) uroczyscie dopiero poprzez ofiarę śmierci. Oczywiście, próg świątyni przekraczają – od początku czasu – tyle wierni, ile ofiarowani. Czy – dlaczego – skazani?

„Przed śmiercią” oznacza zarówno, że coś poprzedza umieranie, jak i to, że śmierć zasiądzie kiedyś na wysokiej trybunie, odbierając defiladę lęków ze wszystkich jednostek wojskowych, zakładów pracy, szkół i przedszkoli.

Odarty z lęku, a więc gorzej przygotowany do wiecznego zima, bo bez kory, bez tego tekstu, który przyrósł do niego i długo chronił, jak warstwą przeżywaną od początku do końca, i ciągle od nowa, choroby, bliskiej, dobrej, beznadziejnej i bezpiecznej.

Zdarza się głośić, przypomina Andriejewski, że „bezlitosna śmierć” co prawda uczyniła wyłom, ale nie naruszyła dzieła, dokonania ludzkiej istoty. Kres jest więc zarówno bezlitosny, jak i liतोściwy. Męki człowieka wyczerpują się, a jednocześnie uspokaja się jego dzieło, staje się milczące, ale też, paradoksalnie, bardziej rozmowne i gotowe odpowiedzieć na najbardziej głupie pytania.

Dobrze uświadomić sobie, że – dzień po dniu – sprzątam ostatnią kwaterę. Na ścianie zawieszono kalendarz, z którego zrywamy kartki. Niektóre zapisujemy.

Jakże łatwo wyświadczyć życiu przysługę, uwolnić je od strachu, powstrzymać zwierzęcy instynkt bycia i wycia. Na brzegu śmierci, na brzegu skowytu, wymyśla się słowa, figury, abstrakcyjne pojęcia – ślady na piasku. Łudzimy się, że widzimy je w ciemności.

Kabaret na szafocie. Utarg jest mizerny i coraz mniej w lustrze pogardliwych spojrzeń.

Akt zgonu opatruje się datą. Równie dobrze można wpisać datę narodzin. Od pierwszych chwil życia dławi nas – topielców – niebo nad nami.

Myślenie o umieraniu opuściło rozum i nieodwracalnie straciło zmysły.

Jesteśmy starsi od naszych młodo zmarłych nauczycieli, przerosliśmy ojców, którzy odeszli za naszego dzieciństwa.

Panie, odetnij pępowinę lęku jedynym cięciem.

Wątpła nadzieja, że z życiem przybywa mądrości jak ziarna w spichlerzu. Im więcej tego ziarna, tym dłużej ogień trawi spichlerze.

Zjeżdżano razem. Potem zima ponownie wdrapowała się na górę, było jej trudno i dzieci musiały opuścić sanie – te które nie chciały tego uczynić, wyrzucono za burtę.

Pisarz zobaczył nagle, wyraźnie, buty na własnych, już trupich nogach. Wyobraził sobie ironiczne, zbędne obuwie, nieprzydatne nawet do truchtu po pracowni: „głupie buty grobowe, tak bardzo obce wspomnieniom o mnie – jakieś miękkie łódki, jakiś bezsobowowy towar”. Martwe nogi nigdy nigdzie pójdą, a nawet jeżeli pójdą, czy nie mogą uczynić tego boso? Po co miliardy butów po zmartwychwstaniu – dziecięcych, męskich, kobiecych? Dlaczego ma być głośno od marszu niezliczonych butów wojskowych, ciężkich, podkutych, pokonanych w boju, skrwawionych?

Odkrywam, że agonia jest w istocie formą ogonii, która pozwoli małpie powrócić do raj.

Nie do życia nas powołano, przestrzega Andriejewski, gdyż „jesteśmy przeznaczeni do usunięcia z życia”. Mimo to boimy się, że to nie nas usunie się, zlikwiduje, wykreśli z inwentarza, ale świat cały. Trwózmy się, że będzie za dużo bycia, aby pomieściło się w niebyciu, by dało się – jak ciało – pomieścić w żalobnej i żalobnej skrzyni.

Umieranie zasługuje na dorożkę, ale jak nie przyjedzie, Bóg z nim.

Nie da się po lekturze *Książki o śmierci* powtórzyć tego, co dostrzegł któryś z krytyków w *Odosobnionym* Rozanowa: „W tej książce znać bezwstyd martwego”. Za dużo u Andriejewskiego zawstydzienia, zakłopotania w obliczu finału, zdziwienia, że nie można opuścić życia wyjściem dla służby.

Wszystkie rozprawy przed sądem ostatecznym toczyć się będą w martwym języku, a brak znajomości tego języka pozwoli oskarżonym uniknąć pokusy obrony.

Odrzucę wszystkie teksty. Czcionka Arial niewiele zrozumie z odzyskanej bezdomności.

Pionowa kreska znosi bez sprzeciwu osierocony ciężar mniejszej kreski poziomej – jakby dźwigała odwrócone od siebie dwa spokojne, opustoszałe ramiona szubienicy. Gdyby dodać jeszcze jedną kropkę, byłby to sen o wisielcu, który ocalał dwie głowy. Lub były mu jedynie kulą u nogi prawej i lewej.

Przebudzeni, oboje palimy w łóżku. Widzą nas inne popioły.

Fotografia nagrobna nie tylko dostarcza wizualnej informacji o byłym istnieniu pod jego ostatnim adresem. Przypomina też o czymś niezwykle ważnym dla nas osobiście, o czymś koniecznym do powiedzenia. Wreszcie wiemy, dlaczego to takie ważne. Zdajemy sobie jednak sprawę, że nie możemy się nikogo spodziewać, więc ograniczamy się do chłodnego ukłonu przed zamkniętymi drzwiami i szybko zbiegamy po schodach.

Ludzie zwracają się do Boga, swojego rówieśnika, jak do nauczyciela, zbyt doskonałego na potrzeby wiejskiej szkoły, za górami, za lasami.

Życia nie porzuca się jak klucza w recepcji. Klucz gryzie się długo i powoli, nie zapominając o mlaskaniu i dyskretnie wypływając połamane zęby.

Dobrowolne przypominanie się śmierci zaciera granice między moralnym ryzykiem a moralnym awanturnictwem.

Trup to nie tyle – jak chciałby Andriejewski – „zakopana lalka”, nie tyle unieruchomiona marionetka, nie tyle manekin, ile zdechła, zmiażdżona mrówka. Przez chwilę tłoczą się przy niej inne, jeszcze żywe mrówki, ale zaraz odchodzą – do swoich zajęć, do traktatów filozoficznych, sztuk teatralnych, poematów i aforyzmów.

Talmud (I, 13) poucza: „Kto się nie uczy, ma w sobie piętno śmierci”. Kto się uczy – ma w sobie piękno śmierci?

Jeżeli życie ma być odebrane – jeżeli będzie odebrane na pewno – powinniśmy każdego dnia czule mówić do życia i łagodnie z nim się żegnać.

Martwe kieliszki i zdechłe szklanki. I wódka wygnana, którą wymiotują nieznanymi ludziami na obcych ulicach.

Na pogrzebach kapłan mówi, że Bóg zabrał drogiego nam zmarłego do siebie. To jednak nie Bóg, a śmierć przyszła po swoje. Czy podzieli się z Bogiem? Pół na pół? Pozostawi sobie, wpisze w rejestr, agonię, tak ciężką, że więcej śmierć nie uniesie?

Życie to cud – nie ma litości dla tych, którzy lękają się tego cudu.

Być po oznaczaloby przewyciężyć śmiertelną chorobę, dalej oglądać świat, a nawet – jak po każdym ozdrowieniu – widzieć wyraźniej, bardziej dotkliwie, a więc ciągle uparcie przeżywać siebie, z bólem, który ułaskawiono, któremu dano wolność. To samo jednak uczyni dla nas nicość. Aniołowie nie piszą książek, siedzą na nich okrakiem, dlatego mają tłuste, barokowe tyłki.

Ktoś łowił ryby, inny zrywał owoce, powołano także tego, który właśnie kroił dzieciom chleb, a jeszcze jednego zabrano, kiedy wreszcie zaczęła mu iść karta.

Ludzkie ja potrzebuje ćwiczeń, tresury – chce być ja po śmierci – pozostać w brulionach i notesach. Nie uda się – śmierć nie bierze jeńców.

Terapeuta, który miał wczoraj dyżur, przekonywał, że w szpitalnej lodówce będzie nam ciepło jak u Pana Boga za piecem.

Kiedy Andriejewski wyznaje: „Chętnie oddałbym Bogu moje życie – ten dar, którego znaczenia nie rozumiałem”, to bliski jest herezji, wali głową w mur, który zbudowała religia. Już wie, że depozyt podlega zwrotowi, ale nikt go nie odziedziczy, nie ocali, nie wykorzysta dla siebie. Już wie, że nie uchodzi skazańcowi przyjmować darów – nie odłoży ich na jutro.

Nim nas stracą, chcą naszego zatracenia w formułach, przypominają o konwencji ostatniego słowa i upominają, aby nie pominąć nikogo, kogo należy przeprosić za niegrzeczne zachowanie w celi śmierci.

Skoro umieranie będzie obrzydliwe i upokarzające, to jak to znieść dusza? Dano jej obietnicę nieśmiertelności, ale jak sobie poradzi z nieludzkimi torturami zadanymi ciału, w którym niby spokojnie czekała na wyzwolenie? Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, łatwo zabłądzi do chóru potępionych.

„Gdyby nie było ksiąg metrykalnych, nie byłoby też – twierdzi Andriejewski – żadnej potrzeby religii, ponieważ zwraca-

my się do duchowieństwa tylko o chrzest, małżeństwo i pochówek”. Kapłani są więc z tego samego cechu, co swatki, położne i grabarze.

Pan Bóg pochylony nad śmiercią – a przecież pochyła się jedynie nad wszystkimi religiami, które mu wymyślono.

Umysł sceptyczny, wątpiący, zaraża duszę – ona choruje, nie radzi sobie z umieraniem – jak hipochondryk z wyobrażeniem bólu, który jest mu niedostępny.

Śmierć uczy nas sztuki wątpienia, rzemiosła przeczenia – ale to ona sama przeczy, przekreśla nas, po swojemu.

Samobójstwo nie należy w pełni do życia, ale jest, niewątpliwie, jedną z najbardziej przejrzystych wypowiedzi o życiu.

W poczekalni sądu – lub na dziedzińcu rzeźni.

Przedstawienie wygasa. Aktor nie wychodzi do oklasków.

Nekropolie – biura ludzi znalezionych.

Wyrzuceni przez nauczyciela z lekcji, bezradnie żegnający krucho okna, krople bólu, drzazgi ławek, pocztowy znaczek z mapą świata. W kącie klasy – szkielet mrówki.

Andriejewski dziwi się, że trupowi wdziewa się „ubranie żywego człowieka”, przymusza się go, by kontynuował zwyczaj żyjących (nie obnażał się przed nimi?) – nie może pogodzić się z tym, że nakłuwana się zmarłego naszymi zwyczajami – jak zdechłego owada.

Rękopisy znajduwane w wannach, piwnicach i grobach.

Moje koty nie uświadamiają sobie fenomenowi nieistnienia.

Ze szkoły do szkoły. Wszystkie kostnice są przejściowe.

Śmierć jest ostatnią samotnością, niczym więcej, niczym.

Według Andriejewskiego odchodzimy od zwłok „ze świadomością jakiegoś nierozwiązalnego absurdu”. Nie ma racji. Wielokrotnie odchodziliśmy od lokatorów trumien, gdy jeszcze żyli, porzucaliśmy ich, nie mieliśmy albo nie chcieliśmy mieć dla nich czasu. Rola żałobnika jest ceremonialna i zastępcza, sumienna i konwencjonalna, lecz tak naprawdę ludzi grzebiemy już za ich życia. Oni to samo czynią z nami.

Opowiadając się za życiem, opowiadamy wyłącznie życie. Nasza opowieść, nasza fantazja nie zna granic. Śmierć jest piękny-
tym kompasem.

Andriejewski wspominał umieranie któregoś ze znajomych i zaniepokoił się, gdyż denat nigdy „nie kłopotał” się nie tyle nawet godziną, ile minutą śmierci. W końcu ta minuta go dopadła. Biedak „nie podejrzał, że właśnie w tym ułożeniu wskazówki dogoni go śmierć”. Dogoni? Zatem biegła za nim? Zatrzymał się zegar, nie było komu dać ostatnich wskazówek.

Mozolimy się, by dostrzec jakiś sens – martwa głowa nie powie nam, co dostrzegła sama.

Czytanie od deski do deski. Książki, teatru, ringu, trumny.

Pisanie o śmierci jest bufonadą – taką bufonadą, która budzi litość.

Pamiętane twarze – jest ich tak wiele, że dłuży się podróż do nicości.

CENT DEK JAROJ DE ESPERANTO MOVADO EN GLIWICE

Randka esperantystów

ANDRZEJ JARCZEWSKI



Stanisław Mandrak

110 lat temu, czyli w roku 1909 pan A. Skorupa (imię na razie nieznane), pierwszy gliwicki entuzjasta esperanta, nauczył tego języka dziesięciu adeptów i został przewodniczącym przodującej na Górnym Śląsku grupy inicjatywnej. Ruch esperancki rozwijał się, ale w Niemczech – po przejściu władzy przez Hitlera – nagle esperantyści przestali być widoczni. Hitler już w *Mein Kampf* (rozdz. XI) uznał esperanto za zagrożenie dla niemieckiego nacjonalizmu, zwłaszcza że twórcą tego języka był Ludwik Zamenhof – Polak, a w dodatku Żyd, czyli wszystko co najgorsze dla nazisty. Stalin też początkowo tępił esperantystów, bo podejrzewał ich o kontakty międzynarodowe, tzn. o szpiegostwo.

Obecnie w Gliwicach istnieje – reaktywowany w roku 1962 – prężny Oddział **Polskiego Związku Esperantystów (PZE)**, który regularnie świętuje swoje rocznice jako stowarzyszenie o najstarszym w mieście rodowodzie. Od 9 do 11 listopada br. w siedzibie gliwickiego Centrum Organizacji Pozarządowych i w różnych punktach miasta odbywało się „**GRUPE** – 23”, co w żartobliwym tłumaczeniu znaczy „dwudziesta trzecia Gliwicka Randka Użytkowników i Praktyków Esperanta”. Tym razem, oprócz gości z całej Polski, pojawili się reprezentanci Słowacji, Norwegii i Finlandii. Spotkanie miało charakter towarzyski. Chodziło przede wszystkim o to, żeby sobie pogadać w esperanto, opowiedzieć o podróżach i uzgodnić przyszłe plany turystyczne, bo ta dziedzina okazała się najlepiej przez światowe esperanto zagospodarowana.

Warto odnotować, że w Polsce funkcjonuje kilka – organizacyjnie niezależnych – towarzystw esperanckich. Jesteśmy przyzwyczajeni do politycznego lub ambicjonalnego interpretowania takich podziałów. Tymczasem tu mamy do czynienia ze skutkami polskiego prawodawstwa samorządowego. Wszystkie stowarzyszenia utrzymują się z własnej pracy społecznej, z własnych składek i z nie-

wielkich dochodów z działalności statutowej. Niektóre otrzymują jakieś granty europejskie lub ministerialne, ale by większości zależy od przychylności lokalnych władz samorządowych, a praktycznie – od burmistrzów i prezydentów miast. Trudno o lokalne środki, jeżeli organizacja jest zarejestrowana w Warszawie choćby dlatego, że kontrola beneficjenta jest praktycznie niemożliwa. Skutki działania takiego prawa są łatwe do przewidzenia.

Gliwiczanie należą do wspomnianej wyżej, największej ogólnopolskiej organizacji esperantystów (PZE), ale we Wrocławiu mamy np. niezależny Śląski Związek Esperancki, a w Białymstoku, zwanym „Mekką esperanta”, działa prężnie Białostockie Stowarzyszenie Esperantystów. Obydwie te organizacje przysłały do Gliwic swoich przedstawicieli na zasadzie nawet nie współpracy, ale po prostu – przyjaźni. Przypomnijmy, że Ludwik Zamenhof urodził się 15 grudnia 1859 właśnie w Białymstoku, więc prawa tego miasta do esperanta mają charakter szczególny. Z kolei młodzi mają nieco inne zainteresowania niż starsi; utworzyli więc w PZE sekcję o nazwie **Polska Młodzież Esperancka**, wchodząca w skład Światowej Organizacji Młodzieży Esperanckiej TEJO.

Gliwiccy i śląscy esperantyści od kilku dziesięcioleci nadają ton organizacji krajowej. W roku **1997** siedziba Zarządu Głównego Polskiego Związku Esperantystów zostaje przeniesiona z Warszawy do Gliwic, a przewodniczącym PZE (do roku 2007) zostaje gliwiczanie – **Stanisław Mandrak**, którego ponownie na tę funkcję wybrano na lata 2013–2016, by na kolejne 3 lata (2016–2019) powierzyć przewodnictwo PZE **Aleksandrovi Zdechlikowi** z Zabrza.

Co roku w innym kraju organizowany jest Światowy Kongres Esperantystów (Universala Kongreso). W tym roku odbywał się w fińskim Lahti, w zeszłym roku w Lizbonie, na przyszły rok esperantyści są zaproszeni do Montrealu. Najliczniejszy do tej pory Światowy Kon-

gres odbył się w roku 1987 w Warszawie. Przyjechało aż 6000 gości, bo też okazja była nadzwyczajna: 100-lecie esperanta.

Warto dodać, że esperantyści utworzyli kilkadziesiąt organizacji branżowych. Ciężko, że jedną z największych na świecie grup stanowią... kolejarze! Ponadto medycy, katolicy, protestanci, dziennikarze, automobiliści, komuniści, filateliści, a nawet miłośnicy kotów! Istnieje też międzynarodowe stowarzyszenie policjantów IPA, które – jako swoje motto – przyjęło zdanie **SERVO PER AMIKECO**, czyli „Służycy poprzez przyjaźń”. Tak piszą na banerach w czasie swoich imprez, i tak mają na legitymacjach. Można należeć jednocześnie do kilku organizacji branżowych. Te grupy organizują własne zjazdy, np. w roku 1999 w Gliwicach odbył się Światowy Kongres Ekumeniczny z udziałem ponad 300 esperantystów z 24 krajów.

W Gliwicach jest ulica „Esperantystów”, a także „Ludwika Zamenhofa”, „Odo Bujwida” i „Antoniego Grabowskiego”. Te dwa ostatnie nazwiska są słabo znane, więc wypada dodać, że Odo Bujwid to znany w świecie bakteriolog, profesor UJ. Z kolei znakomitego chemika – Antoniego Grabowskiego – nazywamy ojcem poezji esperanckiej, bo kongenialnie przetłumaczył wiele dzieł, w tym „*Pana Tadeusza*”, który w esperanto zachował dostojność 13-zgłoskowca, a nawet komplet rymów. Jest to możliwe choćby dlatego, że Zamenhof wprawdzie czerpał rdzenie wyrazowe z łaciny i języków romańskich, to jednak, być może nieświadomie, przemycił prozodię polską. Wyrazy akcentowane są (z małymi wyjątkami) na drugą sylabę od końca, co sprawia, że Polakom naprawdę łatwo nauczyć się tego języka. Internetowe kursy są powszechnie dostępne. Zachęcam.

Prof. Zenon Klemensiewicz – wielki propagator tego języka – twierdził, że esperanto jest dorobkiem kultury polskiej. Po latach pogląd ten przyjęło Ministerstwo Kultury i w roku 2014 wpisało język esperanto na polską listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego.

Kiedy w Niemczech powstawały tzw. Związki Wypędzonych i liczne muzea utraczonych ziem na wschodzie, przede wszystkim Śląska, jak Oberschlesisches Landesmuseum w Ratingen, w Polsce nawet nie było wolno głośno wspominać o Lwowie i polskich Kresach Wschodnich. Kiedy już było wolno i powstały organizacje takie, jak Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich z siedzibą we Wrocławiu i licznymi oddziałami terenowymi, zaczęto mówić o konieczności powstania Muzeum Kresów. Było to ponad trzydzieści lat temu i Muzeum Kresów nadal jest w fazie dyskusji, choć jest pewien postęp – Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego podjęło decyzję o powołaniu Muzeum Ziem Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej z siedzibą w Lublinie.

Konieczność powołania Muzeum Kresów ze strony tzw. środowisk kresowych uzasadniano przede wszystkim potrzebą zabezpieczenia i pokazania dorobku materialnego i duchowego Kresów, który pozostawiony na miejscu popadał w ruinę i zapomnienie, a przywieziony wraz z ekspatriantami ze Wschodu ulegał rozproszeniu, a często także zniszczeniu wraz z odchodzeniem do wieczności pierwszego pokolenia kresowian. Rolę takiego muzeum spełniały częściowo wystawy stałe i czasowe o tematyce kresowej w muzeach już istniejących – jak wystawa „Gliwicy Kresowianie”, przygotowana przez Bożenę Kubit w Muzeum w Gliwicach w 2010 roku; pojawiły się też różnego rodzaju inicjatywy społeczne – można tu wymienić np. Muzeum Kresów Wschodnich w Węglińcu, rozmieszczone w dwóch wagonach towarowych w miejscowym parku miejskim. Nie zmieniało to faktu, że wciąż istniała potrzeba stworzenia centralnego, państwowego muzeum poświęconego Kresom i ich dziejom, które pokazałoby wagę tego zagadnienia w dziejach całej Polski. Na brak tego muzeum składała się zarówno słabość środowisk kresowych, rozbitych i skłóconych, jak też polityka państwa wobec – przede wszystkim – Ukrainy, opierająca się na tzw. doktrynie Giedroycia (czego główną konsekwencją był brak zdecydowanej postawy wobec ukraińskiego nacjonalizmu i potępienia jego zbrodni na Polakach). Bardziej zdecydowaną postawę w tej sprawie zajął rząd Prawa i Sprawiedliwości, co wyraziło się między innymi w podjętej w 2017 roku przez wicepremiera Piotra Glińskiego wspomnianej wyżej decyzji o powołaniu placówki muzealnej noszącej nazwę Muzeum Ziem Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej. Od razu jednak pojawiły się związane z tym znaki zapytania, czy wręcz zarzuty. Czego one dotyczą?

Podstawowym zagadnieniem wydaje się być rozbieżność między oczekiwaniami kresowian a koncepcją opracowaną przez władze. Sama lokalizacja muzeum budzi liczne sprzeczności. Lublin, aczkolwiek kojarzy się z Unią Lubelską, czyli aktem historycznym fundamentalnym dla Kresów Wschodnich



Muzeum Ostatniej Nadziei

ANTONI WILGUSIEWICZ

Rzeczypospolitej, nie jest miastem skupiającym w większej ilości ekspatriantów jak też licznie odwiedzanym przez wycieczki, zwłaszcza szkolne. Stąd też w opinii środowisk najbardziej zainteresowanych powstaniem muzeum powinno ono znaleźć się albo w Warszawie jako stolicy i centrum ruchu turystycznego polskiego i zagranicznego, albo też na tzw. Ziemiach Odzyskanych, jako terenach historycznie skupiających największą ilość ekspatriantów i ich potomków. W tym ostatnim wariantcie najczęściej był i jest wymieniany Brzeg na Opolszczyźnie; istniejące tu Muzeum Piastów Śląskich mieszczące się w ich historycznym zamku przygotowało ostatnio wystawę *Kresy. Ocalone wspomnienia* opartą przede wszystkim na artefaktach pochodzących od osiadłych na tym terenie rodzin proweniencji kresowej.

Obok lokalizacji także nazwa, z której wyrugowano słowo *Kresy*, budzi wątpliwości. Wydaje się bowiem, że na koncepcji muzeum opracowanej w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego w dużym stopniu zaciążyła jednak owa nieszczęsna poprawność polityczna wobec Ukrainy (Litwa i Białoruś w koncepcji Muzeum pełnią rolę marginalną), gdzie polski termin *Kresy* budzi wściekłość nie tylko wśród nacjonalistów. Poprawność ta, wyrażająca się w postawieniu akcentów na wielokulturowość, tolerancję itp. zjawiska cenione w dzisiejszym świecie, a przynajmniej w jego liberalnej części znalazła apogeuem w planowanym zakończeniu ekspozycji w roku 1939, a co za tym idzie umieszczeniu wydarzeń II wojny światowej i wypędzenia Polaków z Kresów w zdawkowym epilogu. Poddany społecznej konsultacji scenariusz wystawy spotkał się z totalną krytyką przede wszystkim z tego ostatniego powodu – uznano wręcz, z czym nie sposób

się nie zgodzić, że jest to jawne fałszowanie historii, nie tylko Kresów, ale całej Polski, której są one nieodłączną częścią.

Zespół Muzeum Lubelskiego, któremu powierzono organizację Muzeum, na czele z dyrektorką Katarzyną Mieczkowską, znalazł się w trudnej sytuacji – z jednej bowiem strony był i jest zobligowany wytycznymi MKiDN co do scenariusza wystawy, z drugiej jest świadomy oczekiwań dużej części społeczeństwa. Trzeba przyznać, że postawa zespołu i samej Pani Dyrektorki budzi szacunek, nie unika on bowiem dyskusji i występowania głosów często bardzo krytycznych wobec zaprezentowanej koncepcji Muzeum, ale także dokonał w niej zmian idących na przeciw oczekiwaniom społecznym. W dniu 12 listopada w ramach takich właśnie konsultacji doszło do spotkania w Katowicach, gdzie przedstawiono zmodyfikowaną koncepcję, w której okres II wojny światowej został wydzielony jako X, ostatni blok tematyczny planowanej wystawy. Epilog natomiast, zgodnie z nie tylko oczekiwaniami przyszłych odbiorców, ale i elementarną logiką i prawdą historyczną obejmuje okres po wypędzeniu Polaków z Kresów aż do dnia dzisiejszego.

Droga do pełnego powstania i udostępnienia do zwiedzania Muzeum (którego ostateczna nazwa jest wciąż ponoć sprawą otwartą) jest jeszcze daleka. Prace nad scenariuszem, pozyskiwanie ekspozatów, a także przygotowanie siedziby Muzeum będą nadal trwały. Reprezentacyjny Pałac Lubomirskich, w którym będzie się ono mieścić, póki co jest użytkowany przez Uniwersytet Marii Skłodowskiej-Curie, a perspektywa czasowa otwarcia placówki to okres kilku lat. Miejmy nadzieję, że zdążą ją jeszcze zwiedzić autentyczni, to znaczy urodzeni na Kresach Polacy, a to, co w niej zobaczą, wzbudzi w nich zachwyty. ■

Śląskie tajemnice cz. 22

Pałac w Pankowie

JULIA MONTEWSKA

Wśród dolnośląskich pałaców, które wznoszone były z wielkim przeplechem znacznych rodów, swego rodzaju osobliwą kategorię stanowią obiekty wybudowane na wodzie. Niektóre z nich wzniesiono na sztucznych wyspach i oblano fosą, inne poprzecinano kanałami i akweduktami wodnymi, tworząc tym samym bajkowy obraz rezydencji. Te dzieła dawnych architektów zachwycają do dziś, ich kunszt był tak wielki, że nawet w momencie, gdy one same popadły w ruinę, alej budzą podziw. Do tego osobliwego panteonu wodnych obiektów na pewno należy pałac w Pankowie.

Dziś, pomimo że ta niewątpliwie urody budowla jest ruiną, a w przy-pałacowej fosie pływają kaczki domowe, jej piękno i majestat jest nadal odczuwalny. Chociaż obiekt ten nazywany jest zamkiem, to niektórzy określają go mianem pałacu. Nie jest to wcale błąd w nazewnictwie, obie nazwy mają tu swoje zastosowanie i są całkiem uzasadnione. Pierwszym udokumentowanym w 1371 roku właścicielem dóbr w Pankowie był Kunemann von Pankendorf, prawdopodobnie to od jego nazwiska wieś zyskała nazwę. Kolejnym, który docenił wyjątkowość tego miejsca był Christoph von Bock, który na miejscu dawnego dworu kazał wzniesić okazały zamek w XV wieku. Ten posiadał wieżę bramną i dwa budynki mieszkalne oraz mur kurtynowy. Po tym jak obiekt strawił pożar, w latach osiemdziesiątych XVI wieku zespół budynków przebudowano w stylu renesansowym. W trakcie tej przebudowy wzniesiono nowy dom mieszkalny i przesklepiony krzyżowo przejazd bramny.

Obiekt ucierpiał również podczas wojny trzydziestoletniej, jednak dzięki nowemu właścicielowi, Friedrichowi von Zedlitz, który w 1699 roku odbudował pałac, obiektowi nadano barokowy charakter. Od tego czasu rezydencja pełniła przede wszystkim funkcję pałacu myśliwskiego. Co prawda poddano go ponownemu remontowi pod koniec XIX wieku, ale od tamtych lat pałac powoli zaczął popadać w zapomnienie i służył już nie jako dumna rezydencja, lecz jako magazyny. W latach powojennych, po 1945 roku władza ludowa doprowadziła go na skraj upadku. Pogłębiająca się agonía spowodowała zawalenie się ostatnich po-

łąci dachu w 1964 roku, później było już tylko gorzej.

Dziś do pałacu w Pankowie dostać się można kamiennym mostem pochodzącym z XVI wieku, sam obiekt zachowany jest w formie ruiny trwałej. Nie jest namiętnie odwiedzany jak inne dolnośląskie rezydencje z prozaicznego powodu – nie prowadzi tu żadna droga, dzięki której pałac można by zwiedzić „przy okazji”, będąc przejazdem w okolicy. Do pałacu w Pankowie należy zjechać z głównej szosy, a położony jest przy bocznej, nieuczęszczanej drodze, więc nie da się tam trafić przejazdem.

Spacerując wśród ruin napotykamy ciekawy miszmasz, który pokazuje jak obiekt przebudowywano na przestrzeni wieków. Starsze jego elementy wybudowano z kamienia łupanego, nowsze natomiast z cegły. Dziś liszaje odpadającego tynku odsłaniają ciekawostki architektoniczne. Pałac pierwotnie otynkowany, składa się z trzech skrzydeł rozłożonych wokół pięciobocznego dziedzińca, skrzydła wzniesiono na wysokich, sklepionych piwnicach, najprawdopodobniej bryła pałacu była kilkukondygnacyjna. W niektórych miejscach zachowały się oryginalne polichromie, a na ścianach wyblakłe kolory pałacowych komnat.

Pod koniec 1959 roku obiekt wpisano do rejestru zabytków, miało to miejsce w momencie, gdy zaniedbany pałac posiadał jeszcze dach, była szansa na ratunek, który nigdy nie nadszedł. Prawdopodobnie ktoś doszedł do wniosku, że obiekt nie jest na tyle reprezentatywnym dzie-

łem kulturowym, by podjąć starania o jego ratowanie. W rejestrze zabytków znalazł się tylko po to, aby uspić sumienie ówczesnych urzędników i przyszłych pokoleń. Oblewany od wieków wodami rzeki Bystrzycy, która swym leniwym biegiem podkreśla bajkowy krajobraz tego miejsca, pałac trwa jak więzień na swojej wyspie, czekając na to, co wydaje się być nieuchronne i niejako na mocy przeznaczenia przypisane większości pałaców Dolnego Śląska. Obok wartkich nurtów rzeki, powolną strugą w tym miejscu sączy się bezlitosny czas – kat, który w imieniu odwiecznego prawa swymi zębami gryzie mury, zawala dachy i nieubłaganie zabiera to, co niegdyś zostało wzniesione, by podkreślić majestat dawnych właścicieli tych ziem. ■



fol. Julia Montewska

Julia Montewska — inicjatorka powstania fundacji ochrony zabytków Dolnego Śląska „Vestigium”, regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Łowcy Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywca”.





Schron pozorno-bojowy.

fol. Dariusz Pietrucha



Tradytor artyleryjski.

Do chwili podziału Górnego Śląska, który miał swój finał w 1922 roku, Dąbrówka Wielka, dzisiejsza dzielnica miasta Piekary Śląskie, była częścią miasta Bytom, a więc elementem dużego organizmu miejskiego o wyraźnie niemieckim charakterze. Tak było zresztą od czasów średniowiecza. Jeszcze w XIX w. kopalnia „Rozalia”, która właściwie okazała się pomyłką, a która stała się źródłem zaopatrzenia tej części Górnego Śląska w wodę, zaopatrywała również Bytom. Wszystko zmieniło się w 20-leciu międzywojennym.

Taktyka

I wojna światowa na froncie zachodnim kojarzyła się z walką pozycyjną. Wielu sztabowców doszło do wniosku, że gdyby stworzyć linię stałych, solidnych fortyfikacji, to przeciwnik nie byłby w stanie jej pokonać, skoro rozbudowane linie okopów powstrzymały tak wiele desperackich ataków. Nieco inne wrażenie mieli ci, którzy walczycy na froncie wschodnim. Tam walka pozycyjna nie była tak bardzo widoczna, a działania bojowe miały charakter bardziej manewrowy. Wystarczy wspomnieć rok 1916 i rosyjską ofensywę Budionnego. Zresztą sam gen. Paul von Hindenburg, który wraz ze swoim sztabem przez tydzień rezydował w Bytomiu (w dniach 21–28 września 1914 r.) zaplanował przeciwko Rosjanom działania ofensywne, do których armia niemiecka przystąpiła na wiosnę 1915 r. Było to w miesiąc po zadaniu Rosjanom druzgocącej klęski w Prusach Wschodnich. Nie oznacza to jednak, że podczas I wojny światowej na dzisiejszych ziemiach polskich nie wybudowano fortyfikacji. Niech przykładem będzie niemiecki schron obserwacyjny na tzw. Przedmościu Warszawa, który nasi koledzy ze stowarzyszenia nie tak dawno podnieśli z ruin. Właściwie odbudowali go na nowo.

Na polską myśl wojskową ogromny wpływ miała również rozgrywająca się zaraz po zakończeniu I wojny światowej wojna polsko-bolszewicka (1919–1921), wojna typowo manewrowa. Nie myślano wtedy o budowie stałych fortyfikacji, bo właściwie nie miały one sensu. Na wspomnianym wcześniej „Przedmościu Warszawa”, obok pierwszowojennych niemieckich fortyfikacji, kopano tylko kolejne kilometry tranzei strzeleckich. Elementem fortyfikacji były jedynie schrony polowe czy też ukryte stanowiska ciężkich karabinów maszynowych. Bitwa warszawska zwana „cudem nad Wisłą” (sierpień 1920) była typowym elementem walk manewrowych.

Bolszewicka Rosja nigdy nie przelknęła tej klęski. Niemcy również, choć mieli wiele swoich problemów, gdyż Cesarstwo Niemieckie rozspadało się w proch. Potwierdzenie przebiegu granicy polsko-niemieckiej czy też polsko-bolszewickiej było tylko pustym gestem na papierze. Jedni i drudzy czekali, aby dokonać jej weryfikacji. Czekali na odpowiedni moment.

Pulsująca swastyka

W 1932 r. sytuacja zaczęła się znacznie komplikować. W Niemczech coraz silniejsza stawała się partia nazistowska NSDAP. W niemieckiej części Górnego Śląska, w miastach typowo industrialnych i w dużej części robotniczych prawdziwą po-



Polski schron z lat 20. na „Wzgórzu 304,7”

foto: Dariusz Pietrucha

Wzgórze 304,7 – architektoniczny eksperyment

DARIUSZ PIETRUCHA

teą były oddziały SA (niem. *Sturm Abteilung*), które toczyły zaciekle boje z bojówkami komunistycznymi. W Bytomiu było to doskonale widoczne. Oddziały SA powstały tam o wiele wcześniej, niż powstała miejska komórka NSDAP. Co prawda „noc długich noży” (1934) czyli krwawa rozprawa pomiędzy SS i SA (zainspirowana przez samego Hitlera) była już na wyciągnięcie ręki, ale jak na razie wszystko było po staremu.

Coraz wyraźniejsza stawała się wizja przejęcia władzy przez NSDAP poprzez zwycięstwo w wyborach parlamentarnych na jesień 1932 r. Gdyby do tego doszło, można się było spodziewać, że Adolf Hitler zostanie kanclerzem Niemiec. Ten sam, który wygrał narodom położonym na wschód od Niemiec i wspominał o przestrzeni życiowej. Ten sam, który w dniu 18 kwietnia 1932 r. odwiedził Bytom i płomiennie przemawiał do mieszkańców miasta. Polacy mieli się czego obawiać, więc w głowach wielu sztabowców narodził się plan zabezpieczenia naszej granicy zachodniej. Plan nierealny...

Już w latach 20. XX w. polscy sztabowcy zasiedli do projektów. Zaplanowano budowę linii stałych fortyfikacji osłaniających granicę wschodnią (tzw. plan „Wschód”). Na początku lat 30. przystąpiono do realizacji tego, co dotąd istniało tylko na papierze. Na Polesiu w 1933 r. zaczęto wznosić

kolejne obiekty fortyfikacyjne według planów, które opracował gen. Kazimierz Sosnkowski (1885–1969), bliski współpracownik marszałka Józefa Piłsudskiego (1867–1935). Sam Piłsudski, jako Generalny Inspektor Sił Zbrojnych, musiał wyrazić na to zgodę. W ten sposób powstały polskie fortyfikacje na Polesiu.

Po 1932 r. polscy sztabowcy uznali, że granica zachodnia jest o wiele bardziej zagrożona. Uznano, że najbardziej niebezpieczny jest obszar Chorzowa i Katowic, i ten trzeba zabezpieczyć. Piłsudski dał się przekonać, że trzeba wybudować tam stałe obiekty fortyfikacyjne, które mogą pomóc w obronie, a dla strony niemieckiej będą „straszakiem”. Co prawda on sam w 1933 r. snuł wizję wojny prewencyjnej u boku Francji przeciwko Niemcom, być może przeczuwając, czego można się spodziewać po Hitlerze. Pomimo wsparcia części francuskich polityków jego pomysł zarzucono. Brytyjczycy nie chcieli nawet o tym słyszeć. Być może gdyby wtedy posłuchano Piłsudskiego, II wojny światowej i wielkiego ludobójstwa, które ze sobą przyniosła, nigdy by nie było.

Praprzodek

Tak na marginesie, jeszcze w latach 20. wzdłuż drogi prowadzącej z niemieckiego Bytomia do polskich



Schron amunicyjny

Siemianowic Śląskich i Będzina, w okolicach szczytu Wzgórza 304,7 wybudowano niewielki obiekt forteczny, którego resztki ocalały do dzisiaj. Była to właściwie jedna betonowa ściana ze strzelnicą ckm-u. Resztę schronu stanowiła blacha falista obsypana ziemią, która pełniła funkcję pomieszczenia bojowego. Strzelnica ckm-u była skierowana w stronę niemieckiego Bytomia. Zapewne miał swoim ogniem zablokować ewentualne uderzenie niemieckie. Schron obecnie znajduje się na terenie Piekar Śląskich i jest przez nas oznaczony tablicą informacyjną. Swojego czasu, gdy obok budowało się centrum logistyczne, stoczyliśmy sporą „walkę”, aby podczas robót ziemnych i budowlanych nic mu się nie stało. To chyba najstarszy polski schron bojowy na Górnym Śląsku.

Na sztabowych stołach

Polski sztab nie próżnował. Myśl obronna stale ewoluowała. W 1936 r. Generalny Inspektor Sił Zbrojnych marszałek Edward Rydz-Śmigły (1886–1941) opracował tzw. plan „N”. Doszedł do wniosku, że Niemcy uderzą z trzech kierunków: z Pomorza Zachodniego, Prus Wschodnich i niemieckiej części Górnego Śląska. W 1939 r. okazało się, że bardzo trafnie wytypowano kierunki niemieckiego natarcia. Rydz-Śmigły doszedł do wniosku, że w takim razie trzeba ufortyfikować zagrożone kierunki, by móc skutecznie powstrzymać nacierającego nieprzyjaciela. Brzmiało to prosto, logicznie i rzeczowo.

Gen. Tadeusz Kutrzeba (1886–1947) otrzymał od swojego zwierzchnika bardzo ważne zadanie. Miał zaprojektować przebieg polskich fortyfikacji. Nie robił tego po raz pierwszy. Już wcześniej planował polskie fortyfikacje na terenie Wielkopolski. Poza tym, chyba sam był zwolennikiem budowy silnej linii obronnej. Polacy, zapatrzeni we Francuzów, którzy żyli w zadufaniu wynikającym z bezpiecznego cienia, jaki rzucała na ich państwo potężna linia Maginota, uwierzyli, że porządnie zaplanowana i zbudowana linia fortyfikacji jest w stanie zabezpieczyć granicę zachodnią. Co więcej, podpatrywali u swoich zachodnich sojuszników, jak dobrze budować „bunkry”. Na francuskiej linii Maginota praktykowali polscy inżynierowie wojskowi. W dniu 26 stycznia 1938 r. opublikowano *Memorandum gen. Kutrze-*

by, które mówiło, że koniecznym warunkiem utrzymania ewentualnego niemieckiego uderzenia jest wybudowanie stałej linii polskich fortyfikacji, która ciągnęłaby się na długości 1500 km. Pięknie wyglądało to na papierze. Jeszcze piękniej w wyobraźni. Ale w realnym świecie było to niemożliwe. Z prozaicznego powodu. Potrzeba było gigantycznych środków finansowych. A tych państwo polskie nie miało. . .

Wzgórze 304,7

Już w 1933 r. rozpoczęto tam budowę obiektów. Owo wzgórze, obecnie leżące na pograniczu Piekar Śląskich, Chorzowa i Siemianowic Śląskich, było doskonałym punktem strategicznym. Zamienione w twierdzę blokowało drogę prowadzącą z niemieckiego Bytomia w stronę nie tylko Katowic, ale również Zagłębia. Razem ze Wzgórzem 310 w Bobrownikach i „Szybem Artura” w Rudzie Śląskiej były to pierwsze trzy elementy fortyfikacji, które później przerodziły się w Obszar Warow-

ny „Śląsk” (OWŚ). Co więcej, polska artyleria polowa rozlokowana na stanowiskach na Wzgórz 304,7 mogła spokojnie „wgrzać się” w cele znajdujące się w centrum miasta Bytom. Dla Niemców było to bardzo niebezpieczne. Na zapleczu tego wzgórza biegła również ważna linia kolejowa wybudowana przez Polaków w celu ominięcia terytorium Niemiec.

Na Wzgórz 304,7 zaczęto więc budować koszary, w których umieszczono żołnierzy z kompanii fortecznej „Dąbrówka” wchodzącej w skład IV batalionu specjalnego ckm z 11 Pułku Piechoty z Tarnowskich Gór. Natomiast artyleria polowa należała do 10 baterii artylerii lekkiej specjalnej typ A IV dywizjonu wydzielonego 23 pułku artylerii lekkiej z Będzina. Tak naprawdę trudno jednoznacznie określić, ile na wzgórzu wybudowano obiektów, gdyż nie ma całkowitej pewności, że wszystkie ocalały do dzisiaj. Wiadomo, że jeszcze do niedawna istniało tam 17 obiektów, w tym jeden tradytor artyleryjski, jeden ciężki schron bojowy dla armaty ppanc., sześć schronów bojowych dla ckm-ów, dwa kolejne schrony bojowe stanowiące ochronę budynku koszar, dwa magazyny amunicji i pięć schronów pozornych. Do tego dochodziły szerokie pola minowe, zapory przeciwpięchotne i przeciwczołgowe, jak również rozgałęziona sieć tranzei strzeleckich. Prawdziwa twierdza!

Obiekty

Może zacznijmy od ciężkich schronów bojowych stanowiących stanowiska ckm-ów. Są to bardzo nietypowe, oszczędne w kubaturze, jednokondygnacyjne niewielkie obiekty, w których warunki walki były bardzo ciężkie. Były wyposażone w półkopuły pancerne (jedna z nich ma cztery strzelnice, co pozwala jej objąć ogniem promień 240 stopni), których ściany miały 170 mm grubości. Posiadają one sygnatury z 1934 r. Grubość ścian tych obiektów waha się od 100 do 150 cm. To niewiele. Co więcej, obiekty nie były gazoszczelne. Jako wejście zastosowano przelotnię. To też nie najlepsze rozwiązanie. Wejścia do tych schronów były



Schron bojowy ckm



Jeden z dwóch schronów z dawnych koszar

zamykane dwuczelnymi drzwiami pancernymi, które prowadziły wprost do okopów.

Obiekty pozorno-bojowe lub bojowe budowane najpóźniej. Rozlokowano je w takich miejscach, gdzie miały być dla przeciwnika doskonale widoczne. Takie było ich zadanie. Miały ścierać na siebie ogień artylerii przeciwnika, udając obiekty o wiele większe i ważniejsze, niż faktycznie były. Na Wzgórzu 304,7 znajduje się również duży schron bierny pełniący rolę magazynu amunicyjno-saperskiego. Obiekt zachował się w średnim stanie, gdyż pozbawiony wszystkich stalowych elementów. Umiejscowiony jest w dolince, w której znajdują się wyraźnie zachowane fragmenty okopów i umocnień ziemnych. Nieopodal znajdziemy również nietypowy schron bojowy z dwoma półkopułami pancernymi (jedną z 1933, a drugą z 1934 r.).

Jednakże najcenniejszym obiektem na Wzgórzu 304,7 jest tradytor artyleryjski. Jest to najstarszy i chyba najbardziej eksperymentalny z tego typu obiektów OWS. Obiekt posiada dwie kondygnacje i bardzo nieregularny kształt. Znajduje się na szczycie wzgórza. Na jego stropie nie zastosowano stalowych belek. To pierwsza jego charakterystyczna cecha. Jego głównym uzbrojeniem była armata połowa kal. 75 mm ustawiona w pomieszczeniu bojowym z dwiema strzelnicami, dzięki czemu można prowadzić ogień na przedpole i na prawo wzdłuż całej pozycji obronnej. Zamontowano ją na obrotowej platformie, choć działo mogło być również wytaczane na zewnątrz. Strzelnice armaty zamknięto dwuskrzydłowymi stalowymi okiennicami osadzonymi w stalowej ramie. Oprócz tego do schronu dobudowano przedsionek przy wjeździe dla działka z drugą parą drzwi i pozbawioną zamknięcia strzelnicą broni ręcznej dla obrony wejścia. Do pomieszczenia bojowego armaty przylegał magazyn amunicyjny odgradzony od pomieszczenia przejściowego cienką ścianą z przesuwными drzwiami. Oprócz tego w pomieszczeniu przejściowym znajdowały się wejściowe z dwuczelnymi drzwiami pancernymi, zejścia na dolną kondygnację i ławka. Oprócz armaty uzbrojeniem schronu był ckm umieszczony w półkopule pancerniej z 1934 r. Drugą cechą cha-

rakterystyczną tego obiektu jest to, że główne wyjście prowadziło prosto do wykopu z betonowym podestem i schodami. Ścianka tego wykopu została wzmocniona kamienną obmurówką i chroniona betonowym murkiem osłaniającym również samo wejście.

Budując ten schron, popełniono wiele błędów. Brak w nim dostatecznie skutecznej obrony wejść. Chyba o tym zapomniano. Brak również właściwej ochrony przeciwgazowej. W całym obiekcie zastosowano bardzo uproszczoną wentylację, która najprawdopodobniej nie była dostatecznie skuteczna. Jednakże najbardziej dziwnym rozwiązaniem jest fakt, że na dolnej kondygnacji znajduje się pomieszczenie załogi tradytora, z której wychodzi szyb do pancernej kopuły obserwacyjnej z 1934 r. Wyjście nie tylko mało wygodne, jak i mało logiczne. Na dolnej kondygnacji znajduje się również izba dowodzenia oraz pomieszczenia pogotowia załogi.

Jak na swoją wielkość obiekt jest bardzo słabo uzbrojony, czego później unikano, budując kolejne obiekty OWS. Obecnie obiekt jest zdewastowany i pozbawiony wszelkich stalowych elementów wyposażenia. Po drewnianej platformie armaty pozostało wspomnienie i otwór w podłodze. Dolna kondygnacja jest stale zalana wodą i zasypana śmieciami. Skali zniszczenia dopełnił fakt, że po wojnie detonowano w nim niewypały, co spowodowało lekkie przesunięcie ściany oddzielającej izbę bojową armaty od składu amunicyjnej. Widoczne są również pęknięcia bryły obiektu.

Cechą charakterystyczną punktu oporu na Wzgórzu 304,7 jest posiadanie własnych koszar bardzo przypominających te, które do dzisiaj zachowały się na Wzgórzu 310 w Bobrownikach. Do głównego budynku koszar (niezachowanego do dzisiaj) dobudowano dwa schrony bojowe. Mniej z nich jest jednoizbowy i był uzbrojony w dwa

ckm-y. Wchodziło się do niego z korytarza na parterze koszar. Większy jest trzyizbowy, a na swoim uzbrojeniu posiadał aż cztery ckm-y. Mieściła się w nim również koszarowa izba dowodzenia. Wejście do tego schronu najprawdopodobniej znajdowało się w piwnicy koszar. Dużym błędem konstrukcyjnym jest brak wyjść ewakuacyjnych, co zdecydowanie obniżyło wartość bojową tych obiektów. Koszar już nie ma. Zostały po wojnie rozebrane. Jednakże dwa schrony bojowe pozostały. Są jednak w złym stanie, systematycznie dewastowane, rozkradane i zasypywane śmieciami.

W 1936 r. Wzgórze 304,7 wzbogaciło się o jeszcze jeden ciekawy obiekt. Jest to ciężki schron bojowy uzbrojony w jedną armatę ppanc. kal. 37mm, trzy ckm-y i co najmniej jeden rkm. Schron, bardzo silnie uzbrojony, posiada dwie kondygnacje. Na górnej znajdują się wszystkie stanowiska ckm-ów (dwa za strzelnicami pionowymi, a jedno w półkopule pancerniej z 1936 r.), a także izba bojowa działka ppanc., do którego amunicję dostarczano z dolnej kondygnacji za pomocą ręcznie napędzanej windy. Co ciekawe, w tym przypadku działka ppanc. nie dało się wytoczyć na zewnątrz schronu. Posiada on również rury do łączności optycznej skierowane w stronę chorzowskich Maciejkowic. Ten obiekt powstał najpóźniej jako solidne uzupełnienie obrony Wzgórza 304,7. Zachowany jest w dość dobrym stanie.

Ogólnie całe Wzgórze 304,7 jest wielkim fortocnym eksperymentem budowanym. Testowano tam różne typy schronów, które później okazały się mało wystarczające. Zbudowano tu pierwszy tradytor artyleryjski. Dawny cywilny magazyn materiałów wybuchowych wybudowano na zupełnie nietypowy schron amunicyjny. Popołniono wiele błędów, to fakt, ale człowiek uczy się na błędach. Tak czy inaczej wzniesiono tu prawdziwą twierdzę, którą w 1939 r. regularne jednostki Wehrmachtu omijały z daleka. To jednak nie oznacza, że nie padły tu strzały. Było słychać ich wiele. W dniu 1 września 1939 r. członkowie niemieckiego Freikorpsu zaatakowali teren pobliskiej kopalni, gdzie wywiązała się zacięta walka. Poległo nie tylko sporo dywersantów, ale również polscy żołnierze i ochotnicy. Leżą oni pochowani na pobliskim cmentarzu.

Zamach na OWS.

Nie tak dawno jedna z firm dokonała wyburzenia jednego schronu pozornego na Wzgórzu 304,7, a także zniszczyła fundament kolejnego. Zrobiono to bez żadnych pozwoleń. Sprawa z naszą pomocą trafiła do prokuratury. Po krótkim czasie dochodzenie umorzono. Firma tłumaczyła się, że nie wiedziała, co to było. W ten sposób Wzgórze 304,7 może kiedyś zniknąć. „bo centrum logistyczne”, „bo hale magazynowe”, albo coś jeszcze bardziej ważnego. Jest i akcent pozytywny. Ostatnio, dzięki wspaniałej akcji miasta Piekary Śląskie, większość obiektów na Wzgórzu 304,7 została oznaczona tablicami informacyjnymi. Przynajmniej teraz już nikt nie powie, że nie wiedział. ■

Dariusz Pietrucha – historyk z wykształcenia, absolwent Uniwersytetu Śląskiego, wieloletni nauczyciel historii, od urodzenia związany ze Śląskiem, miłośnik i badacz historii regionu, autor wielu książek i artykułów, prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium”.

Ryży umarł

DANIEL ORZADOWSKI



„To, czego chciałem, nie osiągnąłem – a tego co mam, nie chciałem”.

Udręka życia – Hanoch Levin

„Ryży umarł. Pogrzeb w sobotę w Św. Michale”. Wiadomość z Messengera zastała mnie na kanapie, piłem piwo po robocie. Jeśli on tak po prostu umarł, to ja też mogę – i to ten nagły przestrach miał znaczenie, nie Ryży. Chodziliśmy razem do szkoły, ale nie myślałem o nim od lat.

Na co on mógł umrzeć, kto może wiedzieć? Zadzwoiłem do Tomka. Nie rozmawialiśmy od miesięcy. Kiedyś spędzaliśmy większość wolnego czasu, po lekcjach, byliśmy przyjaciółmi. Też dostał wiadomość. Zapytałem go, gdzie jest. Był w swoim mieszkaniu, czyli prawie dokładnie 6 kilometrów ode mnie. Ryży, gdyby żył, byłby jeszcze bliżej, na osiedlu za laskiem. Spekulowaliśmy z Tomkiem, na co mógł umrzeć. Wypadek? Choroba? Wsluchiwałem się w poruszenie w jego głosie i zrobiło mi się różnie. On też musiał sobie uświadomić, że skoro Ryży umarł, to i on by mógł. Ale nie będzie go na pogrzebie, bo wyjeżdża z rodziną na weekend. Ten wyjazd został zaplanowany już dawno.

Zostałem z myślą, jakby to było umrzeć za chwilę, z powodu, który nie został wówczas odkryty. Nie tak, jakby tego sobie życzył, za ładnych parę lat, przez które zdążyć jeszcze nadać życiu kierunek i zawartość – ale właśnie teraz, po trzydziestce, kiedy wspiałem się na górkę, tę moją, gdzie na szczycie nie ma szczytowania, tylko mała przestrzeń, nic własnego, jedynie wniosek, że trzeba iść dalej. Gdybym teraz umierał, tonąłbym w strachu, że niczego nie ukończę, że ziemia mnie pochłonie, a ci co zostali na powierzchni – odejdą. Ten obraz swobodnie ustawił mi się tuż przed gębą, konkretny i tak dopracowany, że w takiej postaci musiał być już od dawna gotowy i tylko czekał, aż coś takiego, jak ta wiadomość o Ryżym otworzy mu drzwi.

Pomyślałem o moich kolegach, którzy też dostali tę wiadomość. Małe memento mori przetoczyło się przez nasze miasto, w środę po roboczych godzinach, i zastanawiałem się, jak oni je przyjęli. Ci ludzie, niegdyś koledzy ze szkoły, teraz zmienieni przez to wszystko, co musieli już zrobić, żeby utrzymać się w nurcie. Dla mnie właściwie to już obcy ludzie, a ja siebie samego też nie potrafiłbym im przybliżyć w obecnej postaci, choć to wątpliwe, że ktokolwiek z nich zabiegałby o to – poznamy się po twarzach, jeśli któryś pojawi się na pogrzebie.

Nakazałem sobie nareszcie, żeby pomyśleć o Ryżym, jako o Ryżym, chyba przez przyzwyczajenie, aby pomyśleć o nim, jak o człowieku, a nie impulsie, z którego wziął się przestrach. Widzieliśmy się z dwa lata temu, może więcej, na koncercie G-o. I ja i Ryży mieliśmy udział w zakładaniu tej kapeli, ale żaden z nas nie utrzymał się w składzie. G-y wydał płytę, a zważywszy na początki, kiedy grał na perkusji drutami do zycia, które po każdej piosence musiał naprostowywać, wydanie płyty było dowodem jakiejś tam stoczony w walce; nie wiem jakiej, bo z niej odpadłem; Ryży odpadł na całego, ze wszystkiego, tak znów pomyślałem. Na koncercie promującym płytę pogadałiśmy wszyscy trochę na zewnątrz baru. Palacze i ci, co chcieli się przewietrzyć, zrobili kółko. Zaczęliśmy gadać o tym, co komu przyszło na myśl, i ktoś Ryżemu przypomniał, że ten dzwonił do niego niedawno w charakterze telemarketera, oferował abonament telefoniczny. Trochę się naszmiewaliśmy, że nikt nie chce od niego kupować, to próbuje ubłagać kolegów... Sprzedawał przez telefon oferty, a teraz nie żyje – w głowie nie łączy się to, jako możliwe następstwo faktów. To jakaś niedorzeczność, to na pewno miało być tylko na chwilę, ta robota przy telefonie, zanim nie zbierze się sił na coś wartego oddawania czasu. Nie, nie potrafiłem myśleć o Ryżym, tylko o życiu i to swoim, w czym jest, gdzie bym je znalazł, jakbym był zmuszony je znaleźć natychmiast.

Przez kolejne dni przypominałem sobie o Ryżym przy najdziwniejszych okazjach. Najczęściej, kiedy samemu byłem w trakcie dzwonienia do klientów. Co to właściwie ma znaczyć – klient? jak to jest tylko głos w słuchawce, nawet nie cały człowiek, i ja nie dzwonię do niego, jak do człowieka, ale jak do firmy-okazji, żeby dostać premię. Nie muszę wciskać jakichś bubli przez telefon, ale jednak – największej energii w ciągu dnia poświęcam, żeby na końcu był deal. Uporczywie nachodziły mnie myśli, że Ryży nie może już nawet tego, żeby chcieć uzyskać premię, i niechby nawet nie dla samej kasy jej chciał, ale po ludzku, dla namiastki sensu i zadowolenia. To właśnie te zamienniki sensu i celu mamy tuż przed gębą, i w tej perspektywie one przysłaniają nam całą resztę. I jak z tego obrazu wyłapać, gdzie się popełniło ten kardynalny błąd, od którego się pociągnęła cała reszta. Bo coś musiałem spierdolić, skoro pod skórą tak to czuje, tyle niezadowolenia niewyartykułowanego, które nie przelewa się w wyraźny strach, dopóki nie przychodzi wiadomości o śmierci faceta, co płynął tym samym nurtem.

W sobotę obudziłem się z przyjemnym uczuciem, że z łóżka wstanę, dopiero kiedy samemu zechcę. Planowałem nie iść na pogrzeb. Żeby zdążyć, musiałbym wstać natychmiast, umyć się, wybrać odpowiednio ubrania, odprasować, ubrać, wyjść. Nie miałem ochoty spieszyć na rytuał, który i tak nie odda tego, co poczułem przez śmierć Ryżego. Po tych kilku dniach zresztą myślałem o tym wszystkim coraz mniej; pójść na pogrzeb w chwilę po otrzymaniu wiadomości – to był najlepszy moment, ale nie w wolną sobotę, zaraz po przebudzeniu. Zadzwoił telefon – Kazik, czy idę na pogrzeb? Kazika też ostatni raz widziałem na tamtym koncercie. Nie potrafiłem mu powiedzieć, że wstydu, że nie – nie idę, bo mi się nie chce soboty poświęcać na jakiś tam obrządek co i tak Ryżego do żywych nie powróci. Umówiliśmy się pod Świętym Michałem, jak szybko dam radę.

Szedłem najkrótszą drogą, przez ogródki działkowe, ale i tak wiedziałem, że się spóźnię. Na ostatniej prostej, pod

górkę, coraz bardziej stromą, szedłem najszybciej, jak potrafiłem, żeby spóźnić się najmniej jak to możliwe, bo spóźnić się na coś tak jednorazowego, to jest i niedorzeczność i brak poszanowania. Może z racji tego tempa naszły mnie myśli, że wszystko i wszyscy, których mijam, mają w dupie, że Ryżego zaraz zakopią. Chciałem, żeby wydarzyło się cokolwiek, co uczciłoby odejście Ryżego... Klucz czarnych ptaków przysłaniających niebo... Albo niechby chociaż ludzie wyrzucali z okien telewizory, cokolwiek.

Kazik czekał pod bramą cmentarza, palił, spokojnie, dostojnie, jak to on. Podałem mu rękę. Nie widzieliśmy się od dawna – ale on, żadnych zbędnych emocji – cześć – cześć, i poszliśmy zaraz szukać pogrzebu.

Za bramą musieliśmy przystanąć, bo cmentarz był długi i szeroki. Przy ogrodzeniu po prawej odbywał się pogrzeb, ale sądząc po garstce ludzi, to nie mógł być pogrzeb Ryżego. Szliśmy przed siebie, na logikę, że za chwilę poznamy po czymś, gdzie odbywa się ten właściwy pogrzeb. Nareszcie doszły nas dźwięki mszy. Dołączyliśmy do ludzi zebranych koło kaplicy. Sporo było ludzi. Części nie było widać, siedzieli w kapliczce. Pozostali stali na schodach i jeszcze dalej, aż na alejkach pomiędzy grobami. Staaliśmy z Kazikiem pod drzewami, przez to, że zaczęło padać. Msza musiała się dopiero rozpocząć, bo ludzie właśnie przepaszali za swoje grzechy.

Oglądałem się na zebranych. Zauważyłem dziewczynę, z którą pisałem poprzez aplikację randkową, w której odnaleźliśmy się po opcji lokalizacji. Coś tam nieśmiało zanosiło się umawianie spotkania. Na zdjęciach wyglądała lepiej, niż gdy tak stała niedaleko ode mnie. Nasze spojrzenia się spotkały, ale oboje spuściliśmy oczy, bo to nie był odpowiedni moment. Na schodach do kapliczki stali koledzy ze szkoły. Stali tyłem, było poznać, kto już łysieje na czubku. Niektórzy byli z dziećmi.

Przyszła pierwszy moment na klękanie. Kiedy wszyscy zaczęli klękać, uklęknałem i ja. Usłyszałem za sobą głos Kazika – przeciągłe i ciche:

– Klynnkej...

On sam pozostał w pozycji wyprostowanej, jak to on, ignorował, co robili wszyscy dookoła, i w tym momencie właściwie bardziej podziwiałem Kazika, niż tego kogoś, wobec którego każdy z osobna padał na kolana lub robił przysiad.

Msza trwała i moje podekscytowanie sytuacją zaczęło ustępować zwykłej nudzie, aż do momentu, kiedy wyłapałem frazę z czytania: „Panie, już cuchnie. Leży bowiem od czterech dni w grobie”. W pierwszym rzędzie musiała siedzieć matka Ryżego, a ten ksiądz cytował fragment o rozkładzie. Musiał być kretynem albo tak zwaną osobą głębokiej wiary.

Mężczyźni z firmy pogrzebowej zabrali się do zaczepiania dzwonu na bocznej ścianie kaplicy. Podciągnęli go na linach, a trzeci umieścił go na drewnianej ramie. Kiedy ten dzwon, taki niepozornie mały, został rozbujany, z każdym uderzeniem aż zamykały mi się oczy, mimo że świadomie przeciwstawiłem się temu odruchowi.

Po dzwonieniu zaczęły się przygotowania, żeby wyprowadzić trumnę. Poznałem ojca Ryżego, wyszedł pierwszy. Poszedł chyba sprawdzić, czy przy grobie jest wszystko gotowe.

Ryżego w trumnie nieśli mężczyźni z firmy pogrzebowej. Kiedy nas mijali, odwróciłem wzrok. Wyobrażałem sobie, że on leży tam, tak jak chodziliśmy do szkoły, w tym samym garniturze, może tylko blejszy. Za trumną szła jego matka. Podtrzymywały ją dwie inne kobiety. Odchylała się do tyłu, tak że jej nogi było widać przed kobietami, a głowę wykręconą w lewo, za ich barkami. Za nimi szła dalsza rodzina. Potem dołączyliśmy się my, w grupie zamykającej orszak, koledzy ze szkoły i znajomi.

Z miejsca, gdzie przystaliśmy, nie było widać grobu. Po ruchach ramion kopidołów domyśliłem się, że właśnie

opuszczają Ryżego do dołu. Znowu puścił się drobny deszcz.

Przy „Ojcie nasz”, jedyny wyraźny głos w naszej grupie pochodził od M-wicza. On swego czasu szykował się na księdza. Nadawałby się. Jedynie on brzmiał, jak ktoś, kto się modli do kogoś.

Ceremonia dobiegła końca. Rodzina Ryżego rozchodziła się, tworząc kilka większych grup. Pozostali tworzyli półkole odległe od grobu.

Ścisnęliśmy się w mniejszą grupę, koledzy z klasy, ale okoliczność nie sprzyjała rozmowom. Rozstaliśmy się, życząc sobie szampowo, żeby szybko zdarzyła się weselsza okazja do spotkania.

Większość poszła w kierunku bramy, za którą był parking. Ja i Kazik poszliśmy do głównej. Odwróciłem się w stronę grobu i przypomniało mi się czemuś, jak na jedną próbę zespołu G-o Ryży przyjechał pijany. Dostał akurat od ojca gitarę z wajchą tremolo i podczas próby wydłużał wajchą każdy możliwy dźwięk.

Kazik zapytał, czy wypiję piwo. Kupiliśmy puszkowe w najbliższym sklepie. Szliśmy nasypem kolejowym wzdłuż ogrodów działkowych. W ten sposób mogliśmy najdłużej iść razem, a w punkcie rozstania każdy miał mniej więcej tyle samo do domu.

Na moście nad przejazdem Kazikowi przypomniało się, że jeden z jego znajomych spadł na tory pod nami. Był pijany, bujał się na obręczach mostu i spadł. Był o wiele młodszy od Ryżego. Idiotyczna śmierć – zgodziliśmy się co do tego.

Podążył coraz bardziej, długimi, grubymi kroplami. Za nasypem nasze drogi rozchodziły się. Stuknęliśmy się za pamięć Ryżego resztkami piwa. Rzuciłem puszkę do rowu i zacząłem biec, żeby uciec od deszczu, ale jeszcze bardziej, z dziwnej radości, jakby niedozwolonej, że ja jeszcze mogę biegać. ■

rys. Damian Koprowski



Zasługi Henryka Markiewicza polegają nie tylko na tym, iż napisał ok. 30 książek (nie wiadomo, jak liczyć broszury typu *Bolesław Prus* [Warszawa 1951, ss. 32] lub odbitki czy reedycje), ale w równym stopniu na zredagowaniu przez niego wielu ksiąg i ich serii, a w tym dwu ulubionych moich trylogii: trzech tomów – w czterech woluminach – *Skrzydlatych słów* (Warszawa 1990 i 1998, Kraków 2005 i 2012) oraz *Sztuki interpretacji* (Wrocław 1971 i 1973, Kraków 2011 [2014]). Będę się odwoływać do tej ostatniej pracy redakcyjnej Markiewicza, przy której wspomagała go Teresa Waslas (w tomie trzecim, noszącym nieco rozbudowany tytuł: *Sztuka interpretacji w ostatnim półwieczu*). Znamiennym faktem może być to, że dwa wcześniejsze tomy miały nakład 4000 egzemplarzy, a najświeższy – przeznaczony dla studentów i dotowany przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego – ma jedynie 1500 egzemplarzy nakładu! Czyżby ujawniał się tu oczywisty dla wielu zainteresowanych regres czytelnictwa, a nawet zanikanie badań i pasji humanistycznych? Oto pytanie na miarę XXI wieku!

Podtytuł mojego eseju nawiązuje do rozważań amerykańskiego literaturoznawcy Stanleya Fisha, autora znanej wśród filologów książki *Is There a Text in This Class? The Authority of Interpretative Communities* (1980), zawartych w trzecim tomie SI 3 (tak skracam tytuły cytowanej trylogii) w studium *Interpretując „Variorum”*, pochodzącym z zacytowanej poprzednio publikacji o wspólnocie interpretacyjnej. Dociekania autora opierają się na krytycznej edycji dzieł Johna Milтона: *A Variorum Commentary of the Poems of John Milton* (Columbia University Press, t. 2, 1972, wyd. Douglas Bush i Arthur Sutherland Pigott Woodhouse). Fish omawia trzy utwory Milтона, w których pojawiają się tzw. punkty trudne, czyli nierozstrzygalniki. Zajmę się jednym z nich. Chodzi o sonet o incipicie „Lawrence of virtuous father virtuous son”, w którym dwie ostatnie linijki brzmią: „He who of those delights can judge, and spare/To interpose them oft, is not unwise”, co można przełożyć następująco: „Ten, kto potrafi osądzić te rozkosze i **znajdzie czas**,/By często z nich korzystać, nie jest niemądry” (SI 3, 366; tłum. Benedykt Lenartowicz, podkr. S.F.; esej tłum. Tadeusz Kunz).

W wierszu Milтона chodzi o rozkosze stołu („Jakiż godny posiłek nas ugości, lekki i wyborny,/Zgodny z attyckim smakiem, z dodatkiem

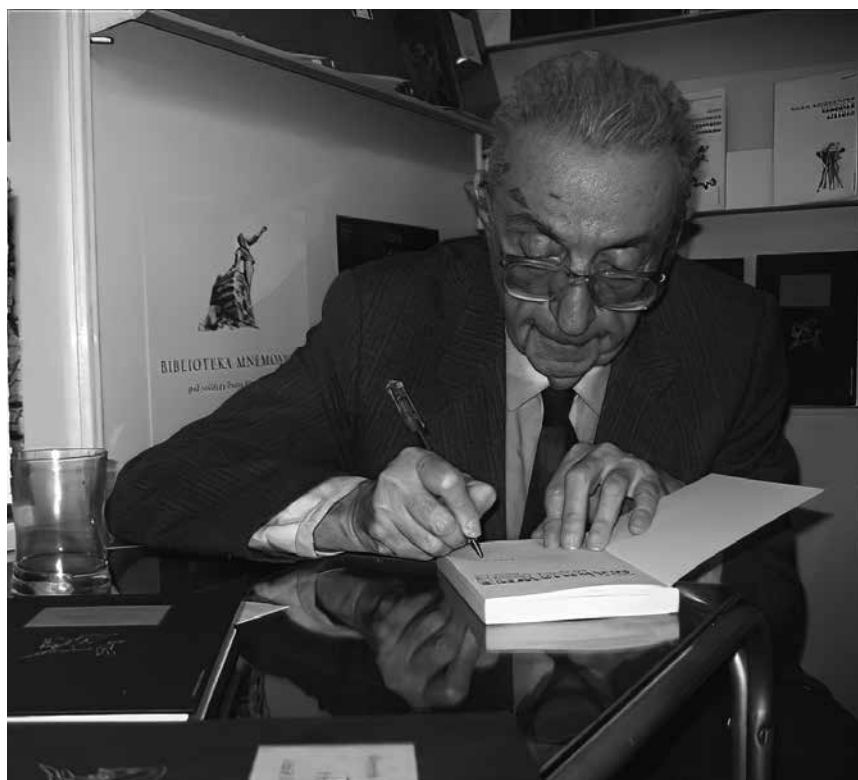


foto: Mariusz Kubik

Trzy tomy *Sztuki interpretacji*

Literatura tkwi w letargu bez lektora

JERZY PASZEK

wina, przy którym zdarzy się nam/ Posłuchać zgrabnej gry na lutni”, ib.) w smutny czas zimowy. I to horacjańskie pokrzepienie jest pochwalane lub pogardzane w zależności od tego, jak przetłumaczy się słowo „spare”, które oznacza i oszczędzanie, i szanowanie, i zachowanie, i obchodzenie się bez kogoś. Czyli w konkretnym sonecie: „znajdować/zachować czas” i „powstrzymać się od” (ib.). Píše o tym Fish: „Sporu nie daje się rozstrzygnąć z powodu niekonkluzywności przedstawianych dowodów. A gdybyśmy tak uznali, że **sam ów spór** dowodzi istnienia nie wieloznaczności, którą należy usunąć, lecz wieloznaczności, która jest nieodłączna od doświadczenia lektury? Gdybyśmy tak, inaczej mówiąc, pytanie: »co znaczy słowo **spare**?« zastąpili

pytaniem: »co znaczy to, że znaczenie słowa **spare** było zawsze przedmiotem sporów?«” (ib. 367, podkr. S.F.). Jeszcze inaczej, z uwzględnieniem kontekstu obyczajowego epoki Milтона: „Problem nie sprowadza się zatem ostatecznie do moralnego statusu »tych rozkoszy« – same w sobie stają się one w siedemnastowiecznych kategoriach »rzeczami obojętnymi« – ale do dobrego lub złego użytku, jaki mogą z nich czynić czytelnicy, którym Milton, jak zawsze, pozostawia wybór i decyzję” (ib. 368, podkr. S.F.).

W związku z tym, iż „»teksty« same w sobie nie istnieją” (ib., 387), Fish postuluje, by powstawały „wspólnoty interpretacyjne”, których zadaniem byłoby „przejmowanie i korygowanie założeń, wydawanie i anulowanie sądów, formułowanie i porzucanie

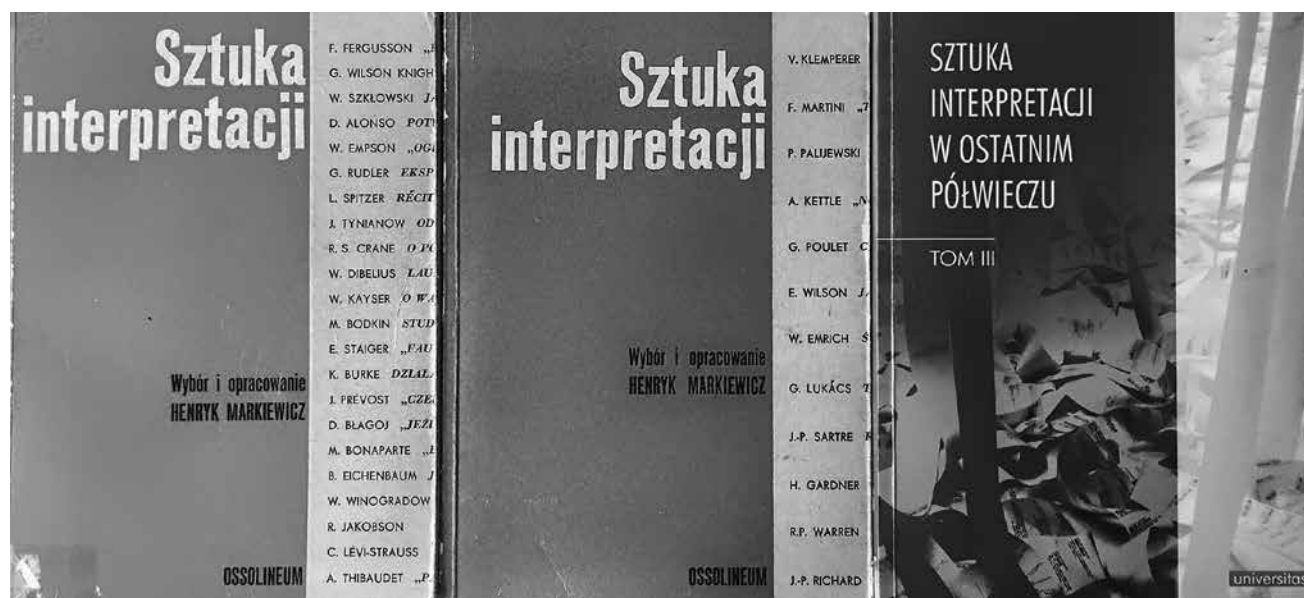
wniosków, wyrażanie i wycofywanie zgody, wskazywanie przyczyn, stawianie pytań, udzielanie odpowiedzi, rozwiązywanie zagadek” (ib., 376). Też uważam, że nieliczenie się jednego badacza z interpretacją innego badacza jest dla postronnego obserwatora bardzo interesujące, a stąd w opracowaniach tekstów należy przytaczać najróżnorodniejsze pomysły, dotyczące tych samych dylematów, czyli nierozstrzygalników. Dobrym przykładem służy sposób, w jaki Dmitrij Błogoj przypomina wywody Władysława Chodasiewicza na temat ukrytego sensu *Jeźdźca miedzianego* Aleksandra Puszkina. Poeta Chodasiewicz w roku 1922 wskazywał aż osiem ewentualnych interpretacji: „Jest to, po pierwsze, tragedia narodowa [...] przedstawia starcie się Piotrowego samowładztwa z odwiecznym pędem do wolności właściwym masom; [2.] na bunt nieszczęsnego Eugeniusza spojrz[] my jako na protest jednostki przeciw przymusowi państwowemu [...]”; [3.] osobliwego wyrazu nabiera ta tragedia, jeżeli uprzytomnimy sobie, że właśnie Puszkiniowski Piotr uważa Petersburg za okno na Europę [...]. *Jeździec miedziany* [4.] jest równocześnie odpowiedzią na wydarzenia 1831 r. w Polsce, [...] bunt Eugeniusza [...] to bunt Polski przeciw Rosji. Wreszcie [5.] *Jeździec miedziany* stanowi jedno z ogniw w łańcuchu petersburskich opowieści Puszkina, przedstawiających zetknięcie się człowieka z demonami. [...] Słuszność będzie miał ten, kto zobaczy [6.] w nim bezpretensjonalną opowieść o rozwianych nadziejach miłośnych szarego człowieka, a także ten [7.], kto wyodrębni z utworu jego stronę opisową i podkreśli

w niej cudowny wizerunek Petersburga [...]. Wreszcie [8.] postąpimy niesłusznie, jeżeli nie zwrócimy należytej uwagi na *Wstęp* do poematu, jako na wzór olśniewającej poetyckiej polemiki z Mickiewiczem” (SI 1 455: D. Błogoj: *Jeździec miedziany*, [Moskwa 1929], tłum. Ludmiła Nodzyńska).

Jaki wniosek wypływa z przytoczenia propozycji interpretacyjnych wybitnego poety rosyjskiego o polskich korzeniach (napisał o nim dwuznaczny i nie do końca wytłumaczalny wiersz Zbigniew Herbert)? M.in. taki, że Rosjanin, czytając poemat *Miedziny wsadnik*, winien zapoznać się z tymi fragmentami *Dziadów części trzeciej* Adama Mickiewicza (1832), które ukazują *Drogę do Rosji. Jeździec miedziany* był ostatecznie zredagowany przez Puszkina w roku 1833, ale ocenzurowany przez cara, nie został opublikowany w wersji oryginalnej za życia poety (nastąpiło to dopiero w roku 1923!). Tak więc prawdziwa recepcja omawianego utworu mogła nastąpić w XX wieku, gdy rosyjski uczestnik wspólnoty interpretacyjnej mógł zapoznać się też z zakazany przez władze carskie w XIX stuleciu arcydziełem Mickiewicza!

Mogę w tym miejscu zauważyć, iż teksty tłumaczone z języków obcych koniecznie pożądamy zaistnienia międzynarodowych wspólnot interpretacyjnych! Nawet czytając naiwną i prostą (aczkolwiek nie tak znów prostacką!) bajkę *La Fontaine'a pt. Kot, Łaska i Królik (Le Chat, la Belette, en le Petit Lapin)* warto przyrzec się oryginałowi utworu i wyjaśnieniom Gustawa Rudlera (SI 1: G. Rudler: *Eksplikacja bajki La Fontaine'a „Kot, Łaska i Królik”*, tłum.

Jadwiga Leczyńska). Kot w oryginalnym nosi dźwięczne imiona: Grippeminaud i Raminagrobis (w polskim przekładzie Stanisława Komara jest tylko jedno imię: Mruczysław). To drugie imię ma skomplikowaną etymologię: 1. może pochodzić od kalamburu RA (Raoul), „czyli kocur o poważnej minie” + MINE (od „mine” – mina) + GROBIS, pochodzące od „gravis” (po łac. „ciężki”); 2. „Domine, grobis = pan, milord”; 3. ROMINER + GROBIS („rominer” „używa się w gwarze prowincji Berry na oznaczenie mrużenia kota, razowego chleba, [...] zaś metaforycznie – człowieka, który robi się ważny”; SI 1 173). Pierwsze imię kota łatwiej objaśnić: „Składa się z MINAUD – przekręcone (?) z MINET [kotek] – i GRIPPER [porwać, złapać], chwytac łapczywie” (ib. 177). Łapczywego kocura przedstawia poeta jako „chat bien fourré”, czyli „kota pokrytego pięknym futrem” lub „dobrze odkarmionego, wypasionego”. Po polsku, jak mówi tłumaczka Leczyńska, najpiękniej byłoby to oddać jednym słowem „podfutrany” (ib. 176; Komar daje tu: kota „w ciepłym futrze”). Ten kocur udawał świętego eremity („un dévot ermite”), ale był dobrym gagatkiem! Po francusku mamy tutaj bardzo dźwięczną frazę: „Grippeminaud, le bon apôtre”, czyli właśnie „Grippeminaud, gagatek”, boć ten niby apostoł (apôtre) z przymiotnikiem „bon” „nabiera znaczenia ironicznego i pejoratywnego” (ib., 178, przypis Leczyńskiej). Cenne są te objaśnienia tłumaczki eseju, bo Komar, autor przekładu bajki, nie wprowadza do swojej translacji tych dwuznacznych („ciepłe futro” zamiast „podfutrany”) i pejora-



tywnych (niby apostoł, a gagatek) aluzji: „Był to kot, co żył skromnie jak w celi klasztoru,/W nabożności i prostocie,/W ciepłym futrze, zażywnie niewiniątko kocie,/W każdej sprawie ćwik i wyga”; ib. 155). Polsko-francuska wspólnota interpretacyjna dzięki Rudlerowi i Lekczyńskiej ma więc przyjemność z tego interesującego, odświeżającego odczytania XVII-wiecznej alegorycznej bajeczki.

Zdarza się zresztą i tak, że wspólnota interpretacyjna musi być isticie internacjonalna: bo gdy Julia Kristeva analizuje sonet Gérarda de Nerval'a pt. *El Desdichado* (SI 3 543–568; rzecz znana też z jej książki *Czarne słońce. Depresja i melancholia*, tłum. Michał Paweł Markowski, Remigiusz Rzyziński, Kraków 2007), to okazuje się, że sam tytuł omawianego tu wiersza sugeruje aluzję do literatury angielskiej (chodzi o rycerza króla Jana z powieści Waltera Scotta *Ivanhoe*, który na swej tarczy umieszcza dewizę „El Desdichado”), a także do literatury francuskiej (don Blaz Desdichado jest postacią z *Kulawego diabła* Alaina Renégo Lesage'a) czy wprost do języka hiszpańskiego, w którym słowo to może oznaczać kogoś wydziedziczonego, ale także nieszczęśliwego bądź nędznego (SI 3, 546). W utworze tym m.in. trzeba w rzeczowniku „etoile” (‘gwiazda’) dostrzec zaimek „toi” (‘ty’), a we frazie „la mer d’Italie” (‘włoskie morze’) homofon „la mère d’Italie” (‘matka z Włoch’), by czegoś dowiedzieć się o matce poety, zmarłej, gdy autor sonetu miał dwa lata (zob. SI 3 552–554).

A częstokroć analizowane arcydzieło jest niesamowicie skomplikowane, choć ma tylko 9 linijek i pozbawione jest „obrazowości”, czyli metafor i epitetów. Takim utworem jest liryk Aleksandra Puszkina, mający incipit „Zoriu b'jut...” (zob. Jurij Lotman: *Analiza wiersza*, tłum. Danuta Ulicka, SI 3 121–132). Początkowe linijki oryginału brzmią: „Zorju b'jut... iz ruk moich/Wietchij Dante wypadajet,/Na ustach naczatyj stich/Niedoczytannyj zatich” („Na zorzę grają... z moich rąk/Dante pradawny wypada,/Wiersz rozpoczęty na ustach/Niedoczytany zacichł”) (SI 3 121). Są to trocheje. Ale najpierw wersy te poeta ujął w jambach: „Czu! Zoriu b'jut... iz ruk moich/Moj wietchij Dante upadajet --/I niedoczytannyj mracznyj stich/I sierdce zabyczej” („Słyszysz? Na zorzę grają... z moich rąk/Mój Dante zamierzchły wypada/I niedoczytany mroczny wiersz/I serce zapomina”) (SI 3 131).

Lotman przekonuje czytelnika, iż ta zmiana stóp metrycznych ma swój

głęboki sens. „Zastąpienie realnego nierealnym [...] u Puszkina łączy się w tych latach [1826–1830] z czterostopniowym trochejem. Jamb natomiast nieodmiennie wiąże się z trybem oznajmującym i modalną jednolitością całego tekstu” (SI 3 132). Ale nie tylko jamb i trochej ważny jest dla semantyki tego utworu. Olbrzymią rolę gra tu dźwięk: „Cecha dźwięczności łączy rzeczownik *zoria* [zorza] z poezją. [...] W tym kontekście interesujący jest rym *stich – zatich* [wiersz – zacichł]. [...] fonem ›z‹ wyraźnie semantyzuje się w związku ze znaczeniem dźwięku; występuje przede wszystkim w słowach z jego grupy: *zoria, zwuk*. W związku z tym *za-tich* odbieramy jako słowo wtórnie złożone z dwóch rdzeni, które wchłonęło cechę dźwięku i cechę przychodzącej mu na zmianę ciszy” (ib.). Wiersz jest tak nasycony zbitkami spółgłosek (zr' b'jt zrk mch/ wtch'j dnt wpdjt/nstch ncz'tj st'ch – SI 3 124), iż tworzy się tajemny szyfr, w którym *zwuk żywoj* z 6. linijki zyskuje dodatkowy sens: „›Z‹ występuje w tekście tylko raz, ale w zestawieniu ›z'w‹ staje się oczywistym korelatem ›z'w‹ -- podstawowego nośnika znaczenia *zwuk* [dźwięk]. Tym samym *zwuk* [dźwięk] i *żyzn'* [życie] zostają ze sobą zrównane” (SI 3 130). Innymi słowy, „Tekst został rozmyślnie zbudowany tak, że dopuszcza stosunkowo wiele rozmaitych substytucji pozatekstowych. Tak więc nie jest powiedziane, czy grają na zorzę poranną, czy wieczorną” (ib.). A laptop sam z siebie poprawia rosyjski czasownik „naczatyj” na polski – „naczytaj”, czyli bawi się anagramami!

Trzy tomy *Sztuki interpretacji* przynoszą 61 analiz dzieł (21 + 12 + 28) znakomitych autorów (Szekspir, Cervantes, La Fontaine, Racine, Sterne, Goethe, Keats, Stendhal, Puszkina, Poe, Gogol, Dostojewski, Baudelaire, Flaubert; Mallarmé, Tolstoj, Conrad, Proust, Joyce, Kafka, T. Mann, Camus, Eliot, Faulkner; Beckett, Balzac, Thackeray, P. Celan, Milton, E. Brontë, Melville, Nerval, Austen, Dickens, Sofokles, Morrison, Hemingway), opracowane przez wybitnych filozofów, języko- i literaturoznawców (m.in. G. Wilson, Alonso, Empson, Rudler, Spitzer, Tynianow, Dibelius, Kayser, Staiger, Eichenbaum, Winogradow, Jakobson, Lévi-Strauss, Thibaudet; Klemperer, Martini, Poulet, E. Wilson, Emrich, Lukács, Sartre, Warren, Gardner; Adorno, Eco, Lotman, Barthes, Gadamer, H. Bloom, Derrida, P. de Man, Riffaterre, Fish, J.H. Miller, Jameson, Kristeva, B. Johnson, Heidegger).

Uważam, iż w Polsce najpewniej poziom analiz i interpretacji literac-

kich nie ustępuje szczytowym osiągnięciom europejskim i globalnym. Może jedynie brakuje merytorycznej dyskusji o stale się ukazujących nowych wydaniach krytycznych klasyki, co pozwala niektórym publikacjom zażywać nieuzasadnionej i nieprzystługującej im sławy. Dla mnie wielkim badaczem literatury był Juliusz W. Gomulicki, wydawca *Pism wszystkich* Norwida, nazwany „wszechwiedzącym edytorem” przez Romana Kaletę w *Sensacjach z dawnych lat* (Wrocław 1980, s. 301). I oto ten wytrawny badacz literatury Oświecenia, publikując (w roku 1947) w Bibliotece Pisarzy Polskich i Obcych opracowany na nowo tekst *Anhellego*, zauważył dziwne zdanie: „Ogień przestraszył was jak gołąbki śpiące, aleście zasypiały w **domie pożaru** [podkr. J.P.] i ciałka wasze już wiedły” (J.W. Gomulicki: *Aleje czarów. Spacery, sylwety, zagadki i zwierzenia literackie*, Warszawa 2000, s. 204). Rzeczywiście, jego emendacja: „zasypiały w **dymie pożaru**” wydaje się trafna oraz oczywista. A w każdym razie warta, by zakomunikować ją całej wspólnotie interpretacyjnej dzieł Juliusza Słowackiego. Zdumiałem się ogromnie, gdy nie ujrzałem nawet śladu tej emendacji w „nowym wydaniu krytycznym” *Anhellego*, w którym w dalszym ciągu omawiany tutaj tekst brzmi: „Ogień przestraszył was jak gołąbki śpiące, aleście zasypiały w **domie pożaru** i ciałka wasze już wiedły” (J. Słowacki: *Poematy. Nowe wydanie krytyczne*. T. I. *Poematy z lat 1828–1839*, oprac. Jacek Brzozowski i Zbigniew Przychodniak, Poznań 2009, s. 404, podkr. J.P.). Brakuje mi J.W.G. na stronie 404, ale też w objaśnieniach na stronie 786. Tak nie wypada, bo w ten sposób nie stworzy się wspólnoty interpretacyjnej poezji wieszcza!

Powinno zaś być tak, jak w analizach *Pana Tadeusza*, gdy wers 666 księgi IV bywa oglądany przez wielu uczestników wspólnoty interpretacyjnej, a kwestia wyboru przez Pigońską wersji „I zagrał: róg jak wicher **niewstrzymanym** dechem” jest krytykowana przez Wykę, Przybosią, Górskiego i Z.J. Nowaka, którzy optują za poprawionym przez poetę tekstem: „I zagrał: róg jak wicher **wirowatym** dechem” (podkr. J.P.). Takie dyskusje są dla czytelników dodatkową frajdą i przyjemnością, jaką może przynieść powrót do źródeł naszej literatury. A z kolei tacy lektorzy bywają niezbędnym segmentem, filarem czy ostoją udanego i satysfakcjonującego życia (a wedle Fisha: współżycia!) literackiego. ■



Czytanie Szubera

KSIAŻKI

MARIAN KISIEL

Janusz Szuber ma szczęście do krytyków. Każdy jego tom wierszy spotyka się z uważną lekturą, poeta jest ceniony i doceniony, a choć mieszka z dala od uczęszczanych traktów poezji, to jest tak, że każdy chciałby zahaczyć o miejsce jego pobytu. Rzadka to okoliczność, że nie poeta, ale krytycy i wielbiciele jego poezji inicjują spotkanie, będące dla obu stron ważnym doświadczeniem egzystencji.

„Wciałowzięty” Alicji Jakubowskiej-Ożóg jest ósmą rozprawą o dorobku poety. W zdaniach otwierających tę pozycję przeczytamy bardzo ważne wyznaczenie autorskie: „Tylko dobra poezja pozwala się czytać ciągle od nowa, udowadniając, że pozostają w niej zakresy jeszcze niezbadane, lub te same utwory odsłaniają nowe znaczenia i sensy wcześniej pomijane w analitycznym oglądzie” (s. 7). Studium składa się z pięciu rozdziałów i – rzeczywiście – potwierdza wyznaczenie badaczki. W „dobrej poezji” znaki lektury łączą się z wcześniejszymi znakami interpretacji – i nie powielają się wzajemnie, a dopełniają. Dzięki temu „dobra poezja” może w ogóle ujawnić swoją wielkość i znaczenie.

Badaczka nie zamierzyła panoramy poezji Janusza Szubera, pozwoliła sobie na wybór problemów, ufając przekonaniu, że redukcja jest skondensowaną interpretacją, a ponadto temu, że w liryce każdego autora, a nie tylko sanockiego, istnieją takie fundamentalne kwestie do rozważenia, które indywidualizują go pośród innych twórców. Innymi słowy, zadając poezji pytania istotne, ponieważ odkrywamy – Heideggerowską – ideę „stanowienia w słowie”. Szuberowi badaczka zadała pięć pytań: o gest i słowo (rozdział pierwszy), o kobiety (rozdział drugi), o ciało i doświadczenie choroby (rozdział trzeci), o historię (rozdział czwarty), o genologiczne pożyczki (rozdział piąty). Każda z tych kwestii jest fundamentalna nie tylko dla zrozumienia wiersza, ale – przede wszystkim – podmiotu wiersza autora *Lekcji Tejrzejzasa*.

„Szuber – pisze Alicja Jakubowska-Ożóg – nie nadaje poezji wyjątkowego znaczenia, podobnie jak swej roli poety nie nadaje znamion niezwykłości” (s. 176); „jego wiersze to zapisy różnorodnych spotkań, projektowanych i przywoływanych z pamięci rozmów” (s. 34); „[r]ozmowa, gest zatrzymania nad jakimś problemem, miejscem lub przedmiotem przełamuje wyobcowanie [...]” (s. 35).

W pierwszym rzędzie jest to wyobcowanie seksualne; między pragnieniem i pożądaniem istnieje jeszcze sfera pośrednia, wspomnień. „Samotność, pragnienie miłości, tęsknota za spełnieniem stanowią dla Szubera podstawę lirycznej narracji [...]. Kobiety są przedmiotem wewnętrznego i zewnętrznego doświadczenia bohatera: babki, ciotki zaświadczały o jego pochodzeniu; obecne we wspomnieniach podrostki przypominają o dziecięcych zabawach i młodzieńczych fascynacjach; nieznanome i pamiętane dzięki swej urodzie «występują» jako obiekt pożądania, choć pozostają poza zasięgiem pragnień, przypominają, że jest pożądanie

integralną częścią każdego z nas” (s. 65).

Kolejnym stopniem wyobcowania jest choroba i związane z nią ograniczenia ciała. „Ograniczenie wpisane w ciało, jego stopniowa degradacja, wprawdzie odmieniają życie, ale jednocześnie oferują inną relację i dostęp do świata – nie lepsze, ale inne” (s. 82); „[u]łomność jest przede wszystkim przesłanką odrębności i zarazem tożsamości z samym sobą. Staje się obszarem wzmożonych samoanaliz, prowokuje stale na nowo do autodefiniowania, pozostaje obiektem bogatej samowiedzy. Ułomny to «ja» i zarazem ktoś «inny» obserwowany z boku, posiadający wystrzoną uwagę, która obejmuje świat zewnętrzny, ale przede wszystkim siebie” (s. 82). Warto przy tym dodać, że „ciało wykorzystuje poeta [również] jako metaforę miejsca/domów jednego z podkarpackich miasteczek, którego początki odsyłają do odległej przeszłości. Ciało ludzkie udreżone i schorwane staje się przede wszystkim metaforą zniszczeń, degradacji miejsca-ciała” (s. 91).

W rozdziale *Wobec historii* Alicja Jakubowska-Ożóg koncentruje się na tym, co konkretne i niepodlegające zwodniczym uogólnieniom. Poeta, twierdzi badaczka, przywołując ludzi, często dziwaków, skupia uwagę „na stroju, wyglądzie postaci” (s. 100), a opisując zdarzenia nie tworzy wielkich narracji, lecz przywołuje rozproszone obrazy (s. 115). Bardziej niż dopowiedzenie interesuje go milczenie; „wiersze Szubera rodzą się najczęściej z przeżyć i doświadczeń granicznych, pewnego rodzaju traumy nie tylko w wymiarze szerszym, ale i osobistym [...]” (s. 134). Te utwory są również „pytaniami o język, jakim należy mówić o historii trudnej” (s. 124). Tutaj autorka monografii zahacza o temat Holokaustu i potarganej historii Galicji; „Szuber uświadamia nam, że z historii ludzkości nie nauczyliśmy

się za wiele, dzieje świata to, o czym często zapominamy, historia powtarzających się wojen i zbrodni, a każda kolejna poświęca wątpliwy wkład człowieka w istnienie świata, wątpliwy, bo jest nim zło” (s. 134).

Pointując swoją monografię, badaczka wspomina o istotnej cesze poezji Janusza Szubera, zawierającej się w pożyczkach gatunkowych (esej, rozmowa, przestroga, ćwiczenie itd.), które są „spoza utartych, konwencjonalnie przypisanych poezji rejestrów” (s. 140). Owo zawieszenie „między stylami” sprawia, że poezja ta galwanizuje na wielu płaszczyznach: od tytułu przez cytaty (jawny lub ukryty) do upodobnień struktury wierszowej. Alicja Jakubowska-Ożóg mówi o synkretyzmie stylistyczno-gatunkowym i tematycznym (s. 167), być może należałoby też wspomnieć, że jest to już stała (i poniekąd zmatrycowana) tendencja w poezji dwudziestowiecznej (od Skamandrytów). Przczytamy jednakże, ponieważ z intencją usprawiedliwiającą, iż „[s]ygnaty przy należności gatunkowej pozwalają na zaproponowanie nie tautologicznych reprodukcji, ale ożywiają język tej poezji” (s. 166).

Książka o poezji Szubera jest świetnie napisana, w sposób niewątpliwy potwierdza interpretacyjny kunszt badaczki, jej znakomitą orientację w historycznym rozwoju polskiej poezji przeszłego i obecnego stulecia. Jednocześnie jest to studium nie roszczące sobie prawa do kompletności, więcej nawet – chce być zaledwie dopowiedzeniem do już istniejących odczytań. Ta retoryka skromności nie wydaje się wszakże tutaj potrzebna. ■

Alicja Jakubowska-Ożóg: „Wciałowzięty”. Szkice o poezji Janusza Szubera. Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Biblioteka „Frazy”, Rzeszów 2019, 240 s.

Najnowszą książkę Szczepana Twardocha *Jak nie zostałem poetą* tworzy ponad trzydzieści felietonów, które wcześniej były publikowane (w latach 2015–2019) na łamach „Pani” i „Nowych Peryferii”. W jednym z nich, zatytułowanym *Kwestionariusz*, autor wspomina, że gdyby mógł zmienić swoją postać na dowolny, inny byt, byłby to kaszalot. Stanowczy deklaracja Twardocha nie powinna dziwić, bowiem wieloryb, a także piękno i symbolika jego wielkiego cielska pojawiają się w twórczości pisarza bardzo często. Wydane w 2015 roku dzienniki zatytułowane *Wieloryby i śmy* rozpoczęły tę trwałą fascynację. Zapewne to właśnie wtedy autor dostrzegł w monsturalnych ssakach coś więcej niż źródło jednorazowej inspiracji. Już w dziennikach pełne podziwu opisy szkieletów porzucanych na czarnej plaży Spitsbergenu złączyły się z refleksją autotematyczną i poszukiwaniami tożsamościowymi. Pisarz dostrzega potęgę natury, która naruszona procesem gnicia i rozkładu, powoli spaja się w jedność, rozpuszcza się, nie przeszkadzając w odwiecznej cyrkulacji materii, a następnie konfrontuje tę wizję z małością człowieka, tak bardzo kruchość w obliczu wielkiego świata.

Kaszaloty w *Królu* atakują ze zdwojoną siłą za sprawą mającego wyraźnie metafizyczne znaczenie, tajemniczego potwora o nazwie Litani, który płynie przez przestworza i czujnie spogląda na ludzi, piekających się w codziennej krzątaninie. Co więcej, potwór pojawia się również na okładce powieści rozpoczynającej dylogię warszawską i w motcie, zaczerpniętym z najśłynniejszej chyba powieści o wielorybie, czyli z *Moby Dicka* Hermana Melville’a: „Któż nie jest niewolnikiem?”. Monsturalne cielska waleni, mające niesprecyzowaną przewagę nad człowiekiem, wrosły w twórczość Twardocha. Nie zaskakuje zatem ich wyraźna obecność w najnowszej książce. O randze omawianego symbolu przekonuje już okładka zbioru *Jak nie zostałem poetą*. Widnieje na niej potężny ssak morski, który wyróżnia się z tła ze względu na jaskrawoczerwoną barwę. W obliczu tak intensywnej obecności kaszalotów w różnych utworach Szczepana Twardocha rodzi się pokusa podjęcia próby interpretacji i sfunkcjonalizowania tego motywu.

Nie ulega wątpliwości, że symbolika waleni w prozie autora *Morfiny* wykracza znacznie poza pole nasuwających się w pierwszej kolejności wpływów biblijnych. Zwłaszcza porównania z Jonaszem w tym przypadku stanowiłyby fałszywy trop – autor dzięki swojej twórczości nie zamyka się bowiem w ciele potwora, ale przeistacza się w niego, zaznacza swą obecność i fascynację kaszalotem we wszystkich najnowszych tekstach. Tym samym dokonuje się niemalże mistyczna transfiguracja: nie-po-

KSIĄŻKI

Kaszalot

eta uwidaczniając w utworach wybrany znak, być może także zaznacza odautorskie punkty.

Brak Jonasza nie jest jednak tożsamy z brakiem sakralności – chociaż pisarz regularnie ogołaca z odniesień do religii wytwarzanych przez siebie literackich bohaterów, odbiera im możliwość wiary w instancję nadrzędną, to przecież wielokrotnie do swej twórczości wplata wątki metafizyczne, zaznacza świętość cielesną, brutalną, ale zawsze umiejscowioną niejako poza (ponad?) ludzką. Sakralność w wydaniu Twardocha jest bliska naturze, a wieloryby są jej potężną częścią, czego ślady są widoczne w opublikowanych wcześniej dziennikach: „Nigdzie na świecie nie ma takiego krajobrazu. Jest w nim śmierć i wieczne trwanie, lód i czarny białt zmielony przybojem, wielorybie kości i niebieskozielone ściany lodu. To czyste pogaństwo, ten krajobraz”. Sterczące na horyzoncie szczątki wielorybów wyznaczają wertykalne ułożenie krajobrazu, dążenie do sfery ułożonej poza zasięgiem pojmowania, a jednocześnie przepięknie dzikiej. Szał pogaństwa przemienia kości w hipnotyzujący święty obrazek, przeistacza je w coś nienamacalnego, niemalże nierzeczywistego.

W powtarzalności wielorybiego motywu zadziwia jego uniwersalność, możliwość wplecenia figury walenia zarówno w świat fabularny, jak i dzienniki, i felietony – formy dużo bardziej odległe od fikcji. Co zatem może oznaczać figura kaszalota? Skoro pojawia się tak często, to czy jest świadectwem samego autora? A może znakiem autotematyzmu? Związek pisania z wielorybami pozornie wydaje się nieuzasadniony, ale to ob-raz morskiego ssaka zostaje wykorzystany przez Twardocha, by ukazać ludzką kruchość, małość: „Poza tym ludzkie



PAULINA IMIELA

szczątki pozbawione są dostojęstwa szczątków wielorybich. Widać je czasem w płytkich wielorybicznych grobach, spod wielkich kamieni wyzierają czarne oczęta czaszek. Ludzkie szczątki przypominają raczej reniferze”.

Aby stać się kimś większym, może nawet wybitnym, należy odrzucić ludzką powłokę, przybrać postać, formę bezpośrednio wskazującą na potęgę i piękno. Poetyckie poszukiwania wyjątkowości być może są przesunięte na figurę nietypową, ale jednocześnie bardzo bliską autorowi, obecną w ukochanym przez niego Spitsbergu.

Dodatkowo, przywoływany wcześniej tekst pt. *Kwestionariusz* dostarcza informacji, że gdyby pisarz mógł wybrać dar natury, którym mógłby się posługiwać, zdecydowałby się na wielorybi dar echolokacji, pomocny przy poszukiwaniu kałamarnic. O ile kałamarnice jawią się jako element ironiczny, to przecież echolokacja jest możliwością określenia lokalizacji przedmiotów, umiejscowienia ich w przestrzeni. Pisanie jest bardzo bliskie układaniu, strojeniu obranego obszaru, odnajdywaniu swojego miejsca.

Autotematyzm sygnalizuje tytuł zbioru, a także zgromadzone w nim felietony, poświęcone samemu aktowi pisania (*Jak nie zostałem poetą*, *Spotkania autorskie*, *Jak nie zostałem reporterem*, *Kwestionariusz*, *Krytycy*), co wydaje się także potwierdzać gonitwę za artystyczną nieśmiertelnością i świadomością swoistego uwznioślenia dzięki słowu, które niesie za sobą realne zmiany, takie jak wyższy stopień w hierarchii społecznej czy nawet proste stwierdzenie: „jestem inteligentem”, które w rzeczywistości jest naznaczone oderwaniem się od własnych przodków, trudzących się pracą „na grubie”.

Z drugiej strony należy pamiętać, że pisanie w felietonach Twardocha jawi się również jako jarmoz. Autora *Jak nie zostałem poetą* można by nazwać niewolnikiem pióra i – ze względu na wielokrotnie poruszaną tematykę śląskości – własnej tożsamości, przynależności regionalnej, a także społecznej. Niewolnictwo tożsamościowe, na które składa się śląski etos pracy, potrzeba wykreowania własnego wizerunku i odnalezienia miejsca nie tylko na płaszczyźnie literatury, ale przede wszystkim na ciasnej arenie własnego ja, jest obecne w utworze Twardocha i objawia się poprzez wielokrotne, autotematyczne rozważania nad tym, kim autor jest, kim chciał być lub kim nie jest i kim nie zostanie. Wskazuje na to budowa tytułów poszczególnych felietonów, a w sposób mniej dosłowny treść, w której między historiami rodzinnymi i relacjami z podróży, poukrywane zostały pierwsze rozczarowania, ale i wzrastająca stopniowo pewność siebie, swoich wyborów literackich i wizerunkowych.

Wymienione składowe pozwalają na wyciągnięcie wniosku, że *Jak nie zostałem poetą* jest zbiorem mówiącym w dużej mierze o kształtowaniu samego siebie, a to z kolei nadaje mu charakter opowieści o własnych początkach. Odrzucenie poezji, która przecież wydawała się autentyczna, jest zarazem wkroczeniem do przestrzeni pisania profesjonalnego i – co ważne – prozaicznego.

Ciekawym kontekstem nasuwającym się podczas lektury najnowszej książki Twardocha jest wydany w 1998 roku utwór Andrzeja Stasiuka, o bardzo zbliżonym tytule: *Jak zostałem pisarzem*. Podobnie jak w przypadku autora *Morfiny*, jest to tekst niejako inicjalny, wskazujący na punkt wchodzenia w nowy system, początek nowego funkcjonowania, innego.

Podstawowa różnica między pisarzami tkwi w zaprzeczeniu – Twardoch od razu stwierdza: wiem, kim nie jestem – czy może także: nie wiem, kim jestem, bo przecież nie poetą, ale czy już pisarzem? Odrzucenie poezji z czasem musi zostać zaakceptowane, na co wskazuje również Stasiuk: „Byłem za młody, żeby napisać porządną książkę. Jak się jest młodym, można pisać wiersze i to też nie za długie”. Czy więc dobre książki wychodzą spod pióra tylko dorosłych nie-poetów?

Temat pisania i publicznego rozgłosu, z którym obecnie Twardoch spotyka się na co dzień, prowokuje do pytań o sławę, która go spotkała: „Dlaczego ktokolwiek gotów jest stać przez półtorej godziny na schodach, albo nawet siedzieć w wygodnym krześle, tylko po to, żeby usłyszeć, cóż takiego mogę mieć do powiedzenia ja albo jakikolwiek pisarz” (s. 45). Sława pisarska z tej perspektywy jawi się jako coś nieoczywi-

stego – twórca zostaje obiektem zainteresowania, a zgromadzone tłumy pragną go wysłuchać i dotknąć, stanąc jak najbliższej niego. Postępująca komercjalizacja rynku (również literackiego) jednocześnie stawia pytanie o rolę pisarza, być może wymusza również potrzebę przededefiniowania tego, co to znaczy być twórcą. Nawet, jeśli zdziwienie Twardocha tłumami zgromadzonymi na literackich spotkaniach jest swoista pozą, to jednak nie można zaprzeczyć, że pozycja celebryty literackiego zarówno buduje jego ego, zapewnia dostatnie życie, jak i uwiera, jest nie do końca komfortowa. Te sprzeczne ze sobą uczucia można zaobserwować w odpowiedzi Twardocha na pytanie o ulubionych bohaterów literackich: „Ci, których sam napisałem. Kostek Willeman. Josef Magnor. Paszko. Jakub Szapiro. Dali mi życie, które wiodę, poczucie sukcesu i spełnienia. Szczerze ich nienawidzę” (s. 136). Pisanie okazuje się nie być czynnością prostą, ale niewygodnym problemem. Czy słowa autora mogą być jednak prowokacją? Raczej nie, ponieważ również w twórczości pisarza, zwłaszcza zaś w *Drachu* dzięki postaci Nikodema, można odnaleźć dążenie do prostoty, tęsknotę za życiem skupionym wokół takich wartości jak rodzina i praca. Niezwykle bolesny jest sukces, jeśli jest jednoznaczny z utratą życia prostego.

Inną odpowiedź na rozterki autora, dotyczące czytelniczego fenomenu stanowią tekstowe ślady, które zostawia, przyciągając kolejnych odbiorców i składając ich do coraz dokładniejszego poznania swojego autorytetu? ulubieńca? Obecność tłumy na spotkaniach autor-skich jest jednocześnie wyraźnym znakiem oddziaływania autora, zwłaszcza zaś potwierdzeniem jego działań w zakresie kreowania wizerunku. *Jak nie zostałem poetą* to książka która zdradza regularnie praktykowany przez Twardocha swoisty, twórczy ekshibicjonizm, objawiający się jako publiczne przetwarzanie własnej osoby, nieustanny proces kreacji samego siebie. Autor *Dracha* przeplata w swej twórczości powieści fabularne z formami uzewnętrzniającymi, skupiającymi się wyłącznie na jego osobie (lub jego rodzinie, jego obserwacjach – we wszystkich przypadkach wspólny jest jednak zaimk: mój). Można pokusić się na nieco ironiczne stwierdzenie, że jeżeli kiedykolwiek wśród krytyków bądź badaczy literatury pojawi się termin „twardoszczyzna”, to jej głównym wyznacznikiem będzie rozbudowana autorefleksja, zahaczająca o różne mędry tożsamości i coraz bardziej plastyczna kreacja „ja”.

Jednocześnie należy przyznać, że *Jak nie zostałem poetą* jest zbiorem ułożonym w całość, która daje wielostronny obraz autora, nieraz ukazuje go targanego sprzecznymi emocjami. Autora, któ-

ry sięga do własnych historii rodzinnych, analizuje je i z ich pomocą wytwarza mocny indywidualizm. Z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że omawiany zbiór felietonów jakością literacką nie dorównuje prozie Twardocha – nie jest to utwór, który byłby wyjątkowy, szczególnie zapadający w pamięć. Przypomina nieprzerwany monolog, przepelniony pozami i maskami.

Stasiuk w cytowanej już w tym tekście książce stwierdza: „Piszę w liczbie mnogiej, bo nie lubię zwierzeń” i konsekwentnie nie pozwala sobie prawie wcale na dosłowne mówienie o jednostkowym „ja”. Twardoch z kolei uparcie poświęca przestrzeń literacką sobie – nawet, kiedy pisze o rodzinie, to mówi o tym, jak ukształtowała jego osobowość, tracąc tym samym autentyczność, moc opowiadania o wydarzeniach lub czynnikach uniwersalnych – to Stasiuk snuje relację pokoleniową, łączącą, wytwarzającą wspólnotę. Pisarz z Pilchowic tym samym wydaje się mniej prawdomówny, ponieważ burzy nostalgii, której nie przywróci wspomnienie o konopiótkie – opowieść o świętej zupie jednoczy prywatną społeczność, a *Jak nie zostałem poetą* jest przeciwieństwem publicznym wystąpieniem.

Nazwisko Twardocha wraz z upływem lat stało się dobrze prosperującą firmą, która jest w stanie wygenerować ogromne zyski, niespotykane w skali współczesnego polskiego rynku wydawniczego. Z kolei dostrzegalny automatyzm, powtarzalność obecne w sposobie jego pisania, regularne wydawanie książek jedna po drugiej, kuszą do postawienia pytania o zasadność opublikowania zbioru felietonów akurat w tym momencie. Czy, podobnie jak w przypadku *Wielorybów i ciem*, nie jest za wcześnie na tekst w całości poświęcony własnej osobie? Jaka byłaby jego funkcja, skoro autentyczność przekazu została odrzucona?

Patchworkowe tkanie książki z materiałów znalezionych w najbliższych autorowi miejscach nie może wnosić wiele nowego również ze względu na całość kształtu utworu – zbiór przez mnogość podejmowanych tematów staje się zróżnicowany, nie przyświeca mu spójna konwencja. Być może wówczas nadrzędnym celem tekstu byłoby zaspokojenie własnego ego? Trop ten zdaje się potwierdzać cytat z jednego z felietonów, zamieszczonych w tomie *Jak nie zostałem poetą*, który można uznać za charakterystykę książki i zarazem przedstawienie jej treści: „Oto ktoś, kto chce się wam podobać, kto chce się przede wszystkim podobać samemu sobie. Ktoś, kto chce, żebyście go uwielbiali, chociaż sam siebie nie uwielbia wcale” (s. 12). ■

Szczepan Twardoch: *Jak nie zostałem poetą*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019, 173 s.

Rozsądek każe nam odpowiedzieć na to pytanie jednoznacznie – po cichu. Zbrodnia jako akt skierowany bezpośrednio przeciw człowiekowi narusza wszelkie ustawodawstwo z prawem naturalnym na czele. Dlatego ciarki chodzą nam po plecach, kiedy bierzemy do ręki oprawiony w czarne sukno reprint niemieckiej listy proskrypcyjnej z początku II wojny światowej. Książka-dokument opatrzona nazwą *Sonderfahndungsbuch Polen. Specjalna księga gończa dla Polski* wydana została na podstawie egzemplarza z Oddziałowego Archiwum IPN w Katowicach sygn. IPN Ka 32/899 z uzupełnieniami z egzemplarza z Biblioteki Śląskiej w Katowicach sygn. II 849588. Dwóch spośród trzech zachowanych (jeden znajduje się również w zbiorach Biblioteki Narodowej w Warszawie), które odnaleziono do tej pory. *Księga* zawiera alfabetycznie ułożoną listę nazwisk przeciwników „wyjętych spod prawa” z terenu Polski i przeznaczonych do natychmiastowego aresztowania, domyślnie: „ukarania śmiercią lub innymi represjami”. Na blisko dwustu stronach umieszczono nazwiska 8800 osób przeznaczonych do aresztowania lub „likwidacji” tylko dlatego, że byli oddanymi Polakami. Na pierwszy ogień poszli zatem powstańcy, urzędnicy państwowi, polscy policjanci czy duchowieństwo.

Urzędnicza maszyna Trzeciej Rzeszy była na tyle dobrze naoliwiona, że i dzisiaj zatrzaża „zwyyczajność” tej publikacji. Opracowana została przez Główny Urząd Policji Kryminalnej Rzeszy w Berlinie przy współudziale innych działających na terenie ziem polskich urzędów lub zawistnych sąsiadów. Wydano ją drukiem, ale przewidujący oprawca wiedział doskonale, że sytuacja może się zmienić i po każdej literze alfabetu zostawił kilka zeszytowych kartek w linie do uzupełnienia. Wypełniły je później wklejone karteczki z dodatkowymi zapisami. Zachowane egzemplarze nie są zatem identyczne, bo oba „pracowały”.

Autor wstępu Grzegorz Bębniak stara się odpowiedzieć na wiele nurtujących nie tylko historyków pytań. Przedstawia losy *Księgi* na tle innych list, ksiąg i rejestrów. Odnalezione egzemplarze pochodzą z 23 października 1939 roku, ale wiadomo, że poprzedzające książkę listy były wcześniejsze. Czy wyjaśnia sposób „użytkowania” tak specyficznej publikacji, odszyfrowując pojawiające się przy nazwiskach oznaczenia i adnotacje. Na listach nie odnajdziemy niemieckiej precyzji. Są niechlujne i niedokładne. Spieszono się, tworząc je. W ich tworzeniu uczestniczyła przede wszystkim mniejszość niemiecka. Nazwiska powtarzają się, zawierają błędy, księga ma puste miejsca, wklejki – wyjaśnia historię. Przyjrzyjmy się chociażby zapisowi związanemu z osobą Stanisława Ligonia, słynnego Karlika z „Kocyndra”, który na stronie 90 reprintu (czwartej dla litery „L”) wygląda następująco: **Ligon Stanisław Prof Wo Kattowitz**, w egzemplarzu z Bi-

Jak planuje się zbrodnię?

KSIĄŻKI

PIOTR SKOWRONEK

blioteki Śląskiej wpis uzupełnia wpisane ołówkiem dodatkowe oznaczenie: **Ligon Stanisław Prof Wo Kattowitz**.

Pierwszy z użytych znaków „” oznaczał przekazanie pojmanej osoby w ręce przedstawicieli rozmaitych wydziałów gestapo, potem nazwisko, imię, profesja: Ligon był profesorem katowickiego Państwowego Męskiego Zreformowanego Gimnazjum Klasycznego im. św. Kazimierza (później Mickiewicza), skrót „Wo” oznaczał Wohnung, a następnie podawano nazwę miejscowości. Oczywiście oznaczeń, których wyjaśnienia znajdziemy we wstępie do *Księgi Gończej* zwanej też niekiedy *poszukiwawczą, inwigilacyjną* lub od barwy okładki *czarną* było więcej. Co interesujące na tej samej stronie o trzy pozycje wyżej znajdziemy inny zapis dotyczący prawdopodobnie tej samej osoby: **xLigen Stanislaus Director des Kattowitzer Senders**.

Bębniak śledzi niemiecką rozwijającą się od początku XIX w. tradycję, która do ścigania przestępców wykorzystuje różnego rodzaju rejestry oraz angażuje do pojmania kryminalistów lokalne organy ścigania. Z niej właśnie wyrosła *Specjalna Księga Gończa dla Polski*. Jej wojenna wersja przekształciła ją jednak z księgi przestępców w rejestr potencjalnych ofiar – niemieckich wrogów. Bębniak przypuszcza, „że wykorzystane przy tworzeniu listy informacje gromadzono już od końca lat trzydziestych, a bezpośrednim impulsem do nadania im formy enumeratywnie zastawionego spisu były właśnie przygotowania do ataku na Polskę”. Przytacza również opinie innych badaczy m.in. Andrzeja Szefera, Bogdana Ciemała, Henryka Rackiego, Jerzego Myszora czy Pawła Dubiela, polemizując z ich stanowiskiem, co do tożsamości treściowej *Sonderhandlungsliste* oraz *Sonderfahndungsbuch* i ich wzajemnego następstwa. Ostatecznie po analizie zapisów autor wstępu stawia

tezę, „iż wydanie *Księgi* umieścić należałoby pomiędzy dwiema datami – 19 września 1939 i 11 kwietnia 1940 r.”

Trudno oszacować jak owa *Księga* i podobne jej publikacje wpłynęły na terror i stosowane środki represji od początku wojny. Z pewnością aresztowania, a ściślej mówiąc selekcja więźniów po ich przeprowadzeniu przebiegała bardziej metodycznie i systemowo. W *Sonderfahndungsbuch Polen* znalazły się nazwiska 1200 mieszkańców Górnego Śląska, a generalnie widać wyraźną nadreprezentację mieszkańców ziem należących uprzednio do Niemiec, stąd wyraźne powiązanie informatorów identyfikujących się z niemieckością. *Księga* i okoliczności jej wydania kryją w sobie jeszcze wiele tajemnic. Nie znamy liczby nakładu jej poszczególnych edycji (egzemplarz warszawski, dwujęzyczny jest rozwiniętą kontynuacją *Księgi*), ani sposobów jej dystrybucji. Zadziwiający jest fakt przetrwania tak niewielkiej liczby egzemplarzy. Czyżby wydano instrukcję dotyczącą ich zniszczenia i dlatego nie ma żadnego egzemplarza w niemieckich zbiorach?

Reprint *Sonderfahndungsbuch Polen* opublikowany dla uczczenia 80-lecia wybuchu II wojny światowej ma obok symbolicznego także wymiar osobisty. Grzegorz Bębniak ma nadzieję na wyjaśnienie nieznanych losów zamieszczonych w niej ofiar. Dla odbiorców *Księga gończa* stanowi zarówno dokument zbrodni, jak i przestrogę przed totalitaryzmem, który, jak tamten, mógłby ostrzyć *dlugie noże* i z zimną krwią sporządzać listy ofiar. ■

Sonderfahndungsbuch Polen. Specjalna księga gończa dla Polski. Wstęp i oprac. Grzegorz Bębniak, Instytut Pamięci Narodowej, Katowice – Warszawa 2019, 216 s.

Najnowszy tom Adama Zagajewskiego, *Prawdziwe życie*, wydany pięć lat po *Asymetrii* nie przynosi żadnych zaskakujących zmian formalnych. Wybór między eksperymentem a tradycją nie interesuje poety, który już dawno obwołany został klasykiem (może oprócz Jarosława Marka Rymkiewicza jest jednym z ostatnich). W *Prawdziwym życiu* decydującą rolę odgrywają pamięć i szczegóły ją pobudzające (apaszka matki poety), a także to, co zazwyczaj pozostaje poza migawką obiektywu: „śpiew wilgi delikatny jak płacz”, „chwile radości” i „ciemne szczęście melancholii”. Drobiazgi interesują poetę w równym stopniu, co możliwość wyzyskiwania własnego autorytetu do obrony słabszych, pokonanych: „Jest tylko litość – dla ludzi, zwierząt, drzew i obrzów”. Co prawda, jest ona zawsze spóźniona, lecz wiedzę tę może osiągnąć tylko obywatel kraju, w którym doszczętnie zniszczono stolicę, Żydów wymordowano w jednym z kilku obozów zagłady, a jakiegokolwiek zwycięstwo (w tym moralne) nie jest możliwe. *Prawdziwe życie* można więc uznać za podsumowanie dokonania Zagajewskiego i jeden z kolejnych „gestów pożegnania” w XXI wieku.

W najnowszym tomie Zagajewski dotkliwie odczuwa skutki wojny. Można nawet zaryzykować tezę, że w każdym kolejnym tomie pojawia się coraz więcej aluzji do Zagłady. W zbiorze esejów *Substancja nieuporządkowana* poeta tłumaczy tę tendencję „zmysłem etycznym” i potrzebą utrwalania w pamięci potomnych wydarzeń, których skutki mogłyby się powtórzyć pod warunkiem pojawienia się sprzyjających okoliczności. To tylko jedno z możliwych wyjaśnień powrotów Zagłady w poezji Zagajewskiego. Oczywiście nie wypracował on na tyle indywidualnej strategii pisania o Holokauście, by uznać go za autora jednego tematu i jednego problemu (m.in. reprezentacji). Jednak szansa, że Zagajewski, jako poeta podejmujący kwestie przemijalności, nieobecności i zerwania kontinuum czasu na skutek wojny, wcześniej, czy później zainteresuje się Zagładą w nieporównywalnym dotąd stopniu, istniała zawsze ukryta w uniwersalnych figurach cierpienia, wygnania. Troska o pamięć zamordowanych Żydów pojawia się na marginesach wcześniejszych tomów poetyckich. Najnowszy tom warto czytać symultanicznie wraz z wydanym w 2019 roku tomem esejów *Substancja nieuporządkowana*. Powracają w nim katalogi nazwisk przyjaciół i kolegów po piórze, którzy odeszli niedawno (*casus* Różewicza) lub zostali zamordowani w czasie wojny (*casus* Schulza). Pamięć urasta więc do naczelnego tematu spuścizny Zagajewskiego, chociaż, jak sam podkreśla (podsumowując dokonania Jana Vanrieta), ważne są także momenty pozbawione doniosłości historycznej: „Vanriet chce zapisać czy może tylko zaznaczyć to, co jest we wszystkich prawie krajach naszego małego kontynentu raną XX wieku, raną wojny (czy wojen), nazizmu, Zagłady – chociaż, tak jak w serii *Contract*, w portrecie rodziców artysty, przytulonych do siebie, woli kontemplować nie samo okrucieństwo, które przecież ominęło go w jego własnym życiu, tylko raczej ludzką odpowiedź na nie, nega-

KSIAŻKI

tyw zła. Ale nie ignoruje też i tego, co nie jest historyczne, nie pomija piękna świata, jego aksamitnej skóry, nie zapomina o drzewach i kwiatach, o niewinnych owocach, jabłkach i figach” (s. 140).

W *Prawdziwym życiu* wyraźnie słychać, że Zagajewski inspirował się myślą Dominicka LaCapry i Georges’a Didi-Hubermana. Pierwszy twierdził, że świadomość Zagłady nawiedza społeczeństwa, powodując odkrycie trudnych do zaakceptowania prawd, drugi natomiast uważał, że tereny po byłych obozach zagłady to miejsca o niepojętym potencjale życia. Do LaCapry nawiązuje Zagajewski w wierszu *Jedwabne* (zamieszczonym w *Antenach*). Natomiast w *Prawdziwym życiu* interesują go ślady, resztki, które przez większość badaczy schedy pohołokaustowej uzyskują sprawczość.

W przypadku Zagajewskiego trudno pisać o wypracowaniu spójnej koncepcji oporu (jak w przypadku wierszy Haliny Poświatowskiej z lat 60.) lub o „ekopowinnościach”, którymi obarczone są kolejne pokolenia (*casus* Erny Rosenstein). Prawda, którą przekazuje Zagajewski o Zagładzie, jest pozbawiona grozy, bo wszelkie ślady uległy zniszczeniu, zostały wchłonięte przez niepojęty proces odbudowy biotopów w miejscach obozów zagłady. To, co opisuje Zagajewski, nie jest więc w tej samej mierze pobudzające somatycznie, co dowody z wiersza *Oświęcim* Juliana Przybosa, który wizytował obóz po wojnie. Jako współczesny obserwator życia po Zagładzie dostrzega Zagajewski inny potencjał resztek. Jego wiersze wpisują się w myśl nieantropocentryczną, która dowartościowuje wszystkie objawy bujności w miejscach ludzkiej działalności ludobójczej. We *Wschodzie* pojawiają się także aluzje do wiersza *Oglądając Shoah w pokoju hotelowym, w Ameryce*. Poeta, pobudzając pracę wyobraźni, dekonstruuje idylliczny krajobraz. Współczesny Bełżec to kraina porośnięta malwami. Jego groza uległa dezaktualizacji na skutek działania przyrody. Naj-



ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

ważniejszym efektem jest zestawienie niewspółmiernych obrazów: otwierających wiersz słoneczników o pomiętych twarzach i twarzy czterech ładnych Żydówek z getta w Kolbuszowej. Ich wizerunki są według terminologii Rolanda Barthes’a *punctum* fotografii.

We *Wschodzie* pojawiają się charakterystyczne dla dyskursu o Zagładzie hiperbole: „głucha cisza tylu głosów”, „wschód bez słońca”, a sam pomysł zastosowania dobrze znanego z *Asymetrii* „pędu syntaktycznego”, powoduje, że najważniejsze jest osiągnięcie niespodziewanej, czasami celowo niekonkluzywnej konkluzji (powielam tezę Clare Cavanagh z tekstu *Syntaktyczne nieskończoności Adama Zagajewskiego*). „Czarna ziemia”, pojawiająca się w kodzie wiersza, to oczywiście nawiązanie do publikacji Timothy’ego Snydera (Zagajewski czytał jego prace i pilnie śledzi nowości wydawnicze dotyczące Holokaustu), natomiast „aria bez końca” znamionuje konieczność nieskończonego powielania aktu przypominania o ofiarach (nie tylko ładnych Żydówkach). Zagajewski unika estetyzacji śmierci Żydów, obca mu jest również pokusa rozpatrywania Zagłady jako wydarzenia, po którym można powrócić do normalności bez uszczerbku na sumieniu (*casus* *Jedwabnego*). Autora *Anten* nie interesuje konsolacja, lecz diagnoza polskiego społeczeństwa i negocjowanie pamięci o Zagładzie. Można by nazwać Zagajewskiego Sebaldem polskiej literatury (zbyt wiele łączy tych autorów, żeby porzucić tę analogię na korzyść innej...), bo zarówno dla niego, jak i dla autora *Austerlitz* najważniejsze w świecie po Zagładzie są nawiedzające społeczeństwo widma ofiar i oprawców. Determinują one określoną postawę etyczną, która nie konkuruje ze „stylem wysokim”, który aprobuje Zagajewski także w *Prawdziwym życiu*. ■

Adam Zagajewski: *Prawdziwe życie*, Wydawnictwo a5, Kraków 2019, 75 s.

Miłośnicy dorobku Witolda Gombrowicza zebrali się 300 metrów pod powierzchnią ziemi w byłej zabrzańskej kopalni „Guido”, a także w tzw. Łażni Łańcuskowej, by popularyzować wiedzę o biografii i działalności pisarskiej swego Mistrza. Tego eventu – przyznając – nie wymyśliliby nawet Mroźek! Na pamiątkę owego niesamowitego spotkania opublikowano tom (w dwu woluminach) pod skomplikowanym nagłówkiem *PRZED i PO. Witold Gombrowicz* pod redakcją Józefa Olejniczaka. Okazuje się, że „PRZED i PO” (tu elipsa rzeczownika śmierć) tworzy serię, w której wystąpił Bruno Schulz, a pojawi się również Czesław Miłosz i Wisława Szymborska. Tak więc w roku półwiecza od chwili śmierci Gombrowicza uczonych, acz czujących amatorów, wsparł jako sponsor (armator!) 50-letni Uniwersytet Śląski, inwestując w szczęśliwe wypłynięcie na morza i oceany tego korabia wszelakich scjencyj, tudzież nieokielznanej pomyślności gombrowiczologów.

Na początku muszę nadmienić, iż grono miłośników Mistrza dzieli się na dwa nierówne plemiona: pierwsze, dowodzone przez Jana Błońskiego i Artura Sandauera, głosi wszem wobec, że genialnymi powieściami Gombrowicza są jedynie *Ferdydurke* oraz *Trans-Atlantyk*, a *Pornografie* i *Kosmos* (nie wspominając już o *Opetanych*, których „gotyczizm” uwiódł Marię Janion) należy zaliczyć do niewypałów, czyli wraków; drugi klan gotów iść na dno w obronie tych trzech gorzej wyposażonych w żagle fregat (na literackich regatach tworzą one szlak KOP: *Kosmos*, *Opetani*, *Pornografia*). Ja należę do elitarnego grona zwolenników Błońskiego, stąd recenzując tom z serii „PRZED i PO”, wchodzącej zresztą w galaktykę „Granic Wyobraźni” wydawnictwa Pasaże, skupię się zasadniczo na esejach opisujących obie satyryczne fabuły Gombrowicza.

Najpiękniejszym ukłonem przed Mistrzem popisuje się tu Andrzej Zieniewicz w pastiszu stylu powieści argentyńskiej: *Gombrowicz bez fikcji*. „*Trans-Atlantyk*” jako reportaż (i jako powieść produkcyjna). Otóż Zieniewicz w roku 1986 wylądował w Ankarze i jako lektor języka polskiego pracował w Turcji 8 lat. Swój pobyt poza ojczyzną przedstawia językiem naśladowującym archaizującą dykcję dowcipnych dywagacji dywinacyjnych narratora *Trans-Atlantyku*: „Czy Wejda, czy Nie Wejda, też do końca nikt nie wiedział. Za wschodnią granicą znowu pieriestrojka, cały system się wali, a wiemy, że jak się tam wali, to się nie zawali, tylko zaraz w straszne Imperium przejdzie. I ja w tym wszystkim na opak. Bo dziwniecznie Zawieszony pomiędzy – między PZPR-em [...] a »Solidarnością«, którą podziwiałem też szczerze, ale nie tak, by się do niej zapisać” (s. 93). „Bo wolno patriotą być lub

A(r)matorzy Gombrowicza

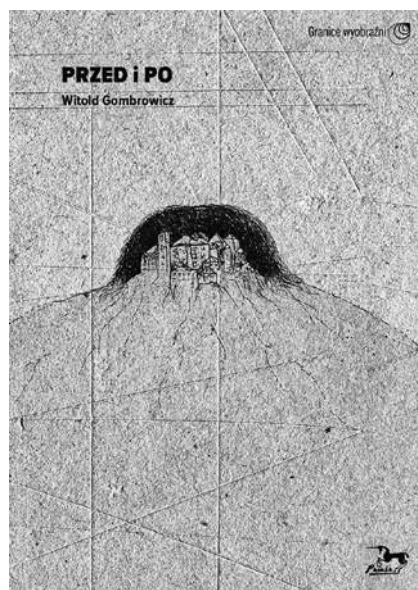
KSIAŻKI

JERZY PASZEK

nie być, a ojczyzny naszej [...] w ogóle nie kochać, czy można? Ano, można. I to jest Wielki Grzech! Ale jaka frajda!” (s. 106).

Na tym tle wszystkie pozostałe studia i szkice, pomimo ich wielorakich zalet, dziwnie błędna! Nawet pokretne wywody, pełne jedno- i dwujęzycznych gier słów, Janusza Margańskiego nie błyszczą bezdyskusyjnie. Na tytułowe swoje pytanie *Cóż po Gombrowiczu?* ten krakowski poliglota odpowiada zdaniem ministra edukacji: „nic, nic po Gombrowiczu z tego prostego powodu, że Gombrowicz najwidoczniej był nicpoń” (s. 18). Margański twierdzi, że Mistrz „w Retiro przeżywał trzecią część *Ferdydurke*” (s. 29), bo „Podejmując zaś potem pracę w Banco Polaco zyskiwał synekurę, ryzykował zaś *sine cura* [utrata życia bez troski]. Zdrada? Skądże! Chiazm! *Sine cura / synekura*” (s. 26). Na to ja mówię: Skądże! Toć to kalambur dwujęzyczny, a nie żaden chiazm, który musiałby tu brzmieć: *Cura sine synekura!* Po polsku: Kura ma synka, a synek kura (czyli koguta!). Zieniewicz zgodziłby się na tezę Margańskiego: „Pamiętamy też, że chcenie-niechcenie i nadmierne niezaangażowane zaangażowanie to stałe cechy działań postaci w *Trans-Atlantyku*” (s. 27).

Zasłużony propagator wiedzy o Gombrowiczu, Jerzy Jarzębski, rzuca dramatyczne pytanie: „Czy więc *Trans-Atlantyk* jest śmieszny?” (s. 39). I odpowiada, że tak, ale nie w końcowej scenie buchania, wybuchania śmiechem, lecz w „deklamacji Posła i jego akolitów”, w „wiecznych swarach Barona, Pyckala i Ciunkały” (s. 39). Aleksander Fiut wydobywa na jaw niezauważoną i niedocenianą jeszcze powieść Andrzeja Saramonowicza *Pokraj* (Warszawa 2018), w której



odnajduje „stylizację staropolską”, znaną z *Trans-Atlantyku*, a także charakterystyczną dla *Ferdydurke* „kupę” (s. 116). Redaktor całości, Józef Olejniczak, kreśli zawiłą historię przyjaźni Gombrowicza i Schulza, w której zachwyty prowincjusza nad debiutancką powieścią kolegi ze stolicy towarzyszą wątpliwościom autora *Ferdydurke*, oryginalnie wyrażonym w liście otwartym do Brunona: „**Forma Twoja dzieje się na wysokościach.** Nuże! Zliź na ziemię! Puść się w taniec z pospolitą” (s. 219, podkr. W.G.).

Gruba książka (s. 540) zawiera, oczywiście, intrygujące i iryzujące tęczą powabów postmodernistycznych pytania (Piotr Sadzik: *Czy Witold Gombrowicz był pisarzem żydowskim?*) oraz hipotezy: czy pisarz zamiast „piękna” nie wybiera „pimkna” i nie „pimknieje” (Tadeusz Bocheński, s. 330); czy nie jest okazem „małego sarmaty”, dla którego interesujące bywają jedynie „szlacheckie relacje homospołeczne”, dominujące nad „heteroseksualnością” (Ewa Graczyk, s. 193). Nad całym dwudzielnym tomem umieściłbym dociekania muzykologiczne Wojciecha Ligęzy oraz ambiwalencje badań intertekstualności, wskazywane przez Filipa Mazurkiewicza (nb. współautora mojej wychwalanej w liście prywatnym przez prof. Henryka Markiewicza książeczki *Przeczytacie „Ferdydurke”* z roku 1998). W końcu należą oni do mojej koleżeńskej hemisfery (i strefy chemii – by zakończyć chiazmem): prowincjonalnej krainy współgzyzstowania lub nawet współbiednictwa. ■

PRZED i PO. Witold Gombrowicz.
Pod red. Józefa Olejniczaka. Wydawnictwo Pasaże, Kraków 2019, 540 s.

Kapuściński fiction

ANDRZEJ JARCZEWSKI

Staraniem Instytutu Tarnogórskiego ukazała się właśnie książka Tadeusza Lostera pod tytułem, który najłatwiej rozszyfrują gliwiczcy lwowianie: *Kufer pełen zapachu lawendy*. Pozostałym czytelnikom wyjaśniam, że nie tylko w Gliwicach do dziś w niektórych domach można znaleźć nierozpakowane walizy i kufry, przywiezione w roku 1945 ze Lwowa. Widziałem wiele takich nietkniętych przez całe pokolenie skrzyń i pakunków. Niekiedy podobną, czysto symboliczną rolę pełni zaklejona koperta, wewnątrz której nie znajdziesz ani listu, ani testamentu. W takich kopertach trzymany jest klucz do zamka, który pewnie już wiele razy wymieniono. Bo to jest klucz nie do lwowskich drzwi, ale do... polskiej historii.

To, do czego nie mogli przymusić się wygnańcy, nie stanowiło problemu dla ich dzieci, które buszowały po piwnicach i strychach w poszukiwaniu „skarbów”. Dziesięcioletni Tadeusz Loster (rocznik 1947) znalazł w ten sposób mundur swojego stryja, porucznika Tadeusza Lostera, kawalera Krzyża Srebrnego orderu Virtuti Militari, poległego 9 września 1939 w bitwie pod Przylękiem. W tym samym kufrze było też sporo innych drobiazgów, a wśród nich flakonik z lawendową wodą kolońską. Zakrętka nie była szczelna, dzięki czemu kufer na dziesięciolecie wypełnił się „przedwojennym” zapachem. Stąd taki tytuł książki.

50 lat śledztwa

Kombatanci trzech pułków (82, 83 i 84), wchodzących w skład walczącej pod Przylękiem 30 Poleskiej Dywizji Piechoty, spotykają się na pobliskim cmentarzu w Jeżowie przy grobach swoich kolegów od roku 1945. Tadeusz Loster pierwszy raz trafił tam wraz z rodziną w roku 1957. Później przyjeżdżał wielokrotnie, by słuchać i zapisywać opowieści coraz starszych żołnierzy. Każde spotkanie zaczynało się od mszy św., odprowadzanej przez ks. Jana Ziębę, kapelana 84 pułku strzelców polskich. Ks. Jan Zięba zasłynął głównie z późniejszej działalności jako patron KOR-u, ale zawsze pamiętał o swoim pułku i – dopóki żył – prawie każdego 9 września wygłaszał w Jeżowie płomienne kazania.

Wielu jeszcze wspaniałych ludzi wymienia w swojej książce Tadeusz Loster. Przypomina nie tylko bohaterstwo na placu boju, ale również wieloletnie

zmagania z peerelowskimi władzami, by można było organizować spotkania kombatantów. Dziś, gdy pomarli prawie wszyscy uczestnicy bitew wrześniowych, na jeżowskim cmentarzu nadal spotykają się rodziny poległych, a młodzież okolicznych szkół oddaje hołd bohaterom. Na takich spotkaniach Tadeusz Loster przez kilkadziesiąt lat zbierał szczegółowe relacje, by dowiedzieć się, jak zginął jego stryj – dowódca 9 kompanii 84 psp (pułku strzelców poleskich).

Stanisław za Józefa

Sytuacja wojsk polskich była wtedy trudna. Po tygodniu walk odwrotowych i opóźniających 30 DP (dywizja piechoty) przeorganizowała się i miała stoczyć wielką bitwę, by powstrzymać w rejonie Łodzi niemiecką armię, która bez tego miałaby otwartą drogę do Warszawy. Dowodzona przez Lostera 9 kompania miała już w swym składzie innych żołnierzy niż 1 września. Niektórzy zginęli, niektórzy zdezerterowali, a na ich miejsce pojawiły się niedobitki innych oddziałów.

Od mobilizacji częściowej (wprowadzonej w Polsce po zajęciu Kłajpedy przez Niemców 23 marca 1939) aż do 4 września – pierwszym plutonem 9 kompanii 84 psp dowodził ppor. rez. Józef Kapuściński, ojciec słynnego pisarza Ryszarda Kapuścińskiego. Niestety, Józef „zawieruszył się” 5 września, co mogło oznaczać, że zginął albo zdezerterował. Wojska w okolicy było pełno, a on nie stawiał się do żadnego oddziału. Do przeformowanej przez por. Lostera 9 kompanii dotarł za to inny ppor. Kapuściński o imieniu Stanisław i on teraz dowodził jednym z plutonów.

Glosa

Głównym przedmiotem omawianej książki jest dramatyczny odwrót naszego wojska w pierwszych dniach wojny. Tego wątku nie streszczam, by odnotować wyświetlenie jednego tylko, drugorzędnego wówczas, ale dziś ważnego dla polskiej kultury szczegółu biograficznego.

Otóż Ryszard Kapuściński, zwany „cesarzem reportażu”, trochę przeheroizował wojenne losy swojego ojca Józefa. W roku 1988 w rozmowie z Wilhelminą Skulską podał, że ojciec uciekł z transportu do Katynia i ta wersja do dziś pokazuje się na różnych stronach internetowych. Tymczasem udokumen-



Tadeusz Loster

towane (niejako ubocznie) przez Lostera wojenne przygody Józefa Kapuścińskiego były zupełnie inne. Z całą pewnością nigdy nie był w niewoli sowieckiej, więc i nie stamtąd uciekał. Przeżył wojnę w miarę spokojnie, nie angażując się w żadną działalność. A na początku wojny po prostu zwiął z wojska i tyle.

Prawdziwym bohaterem okazał się ppor. Stanisław Kapuściński, który pod Przylękiem poprowadził swój pluton do ataku. Niestety, cała 9 kompania dostała się pod ostrzał świeżo przybyłych ciężkich moździerzy i poniosła ciężkie straty. Zginął wtedy i por. Tadeusz Loster, i ppor. Stanisław Kapuściński, i dowódca 2 plutonu ppor. Józef Kot. Oficerowie mają swoje groby w Jeżowie wraz z 208 znanymi z nazwiska i 28 bezimiennymi żołnierzami polskimi, którzy wtedy polegli w walce. Na nagrobku Stanisława Kapuścińskiego ktoś, kto nie znał opisywanej historii, wyrzył drugie imię: Józef. I w ten sposób nieświadomie z bohatera zrobił dezertera.

Historię można zakłamać tylko pod warunkiem, że nikt nie weźmie na siebie obowiązków strażnika prawdy. Gdy jednak ktoś przez całe życie będzie wytrwale starał się wyjaśnić ważne dla siebie wydarzenie, prawda ma szansę wyjść na jaw, oświetlając również szersze procesy i prostując fałszywe dopisane przez sławnych, ale niezbyt rzetelnych pisarzy. Potwierdziło się po raz kolejny, że Ryszard Kapuściński był – owszem – znakomitym pisarzem fabularnym, ale mało wiarygodnym dokumentalistą. ■

Tadeusz Loster: *Kufer pełen zapachu lawendy*, Wydawnictwo Instytutu Tarnogórskiego, Tarnowskie Góry 2019, s. 92 A4.

„Wrazie nawet drobnych przewinień czy błędów wykonywanej pracy byli wulgarnie znieważani, obciążani karami pieniężnymi i bici, co szczególnie w pierwszej połowie XIX wieku było dozwolone. Regulaminy pracy określały jak ma przebiegać wymierzanie kary chłosty.

Rodziny były wielodzietne, do pierwszych dziesięcioleci XX wieku, posiadanie dziesięciorga dzieci, a nawet więcej, było częste.

Badania wydatków rodzin górniczych z 1894 roku wykazały, że górnicy górnośląscy wydawali na napoje alkoholowe tylko 4,1% sum przeznaczonych na zakup artykułów żywnościowych”.

To cytaty z książki, która ukazała się w Zabrzu w 2019 roku i opisuje historię kopalni Concordia i Szybu Maciej w Zabrzu. Pięknie wydana, bogato wyposażona w liczne kolorowe ilustracje, wierne podobizny dokumentów, archiwaliów oraz rysunki techniczne kopalni i sprzętu w nich używanego, to jest niezwykle bogactwo tej publikacji.

Autorami jest dwoje ludzi przemysłu: dr inż. Eufrozyna Piątek i dr inż. Zbigniew Barecki.

Tylko pozornie jest to książka o zakładzie wydobywczym, to niezwykle ciekawie napisana historia pewnego zakątka Zabrza i – co ważniejsze – losu ludzi tam mieszkających. To humanistyczny opis losu społeczności górniczej, socjologiczny przekrój ich problemów, kulturoznawcza analiza hierarchii wartości, wzorów zachowań i antropologiczne spojrzenie na obyczaje i tradycje tej społeczności.

Oczywiście, oboje autorzy są wybitnymi fachowcami i posiadają doskonałą znajomość zarówno zagadnień produkcyjnych, geologicznych, geofizycznych, wszystkich aspektów związanych z funkcjonowaniem kopalni. Ta wiedza i ich wieloletnie doświadczenie pozwala im ze swobodą poruszać się w gąszczu zagadnień technicznych i w niezwykle przystępny, i jasny – ale profesjonalny sposób – opisywać podstawowy przedmiot ich analizy: losy kopalni Concordia, przy okazji przypominając o takich zja-

Ocalić od zapomnienia i zniszczenia

KSIAŻKI

TADEUSZ SIERNY



wiskach, które dla laika mogą brzmieć prawie jak science fiction, czyli np. wykorzystaniu do robót na dole „płynnego powietrza”.

Autorzy proponują czytelnikowi lekturę w układzie chronologicznym, historycznym, pokazując na przykładzie tej kopalni kolejne etapy rozwoju przemysłu wydobywczego, zmiany systemów własnościowych, rozwój techniki górniczej praktycznie od końca XVIII wieku do 2018 roku, systemy zwalczania zagrożeń górniczych w kopalni, zabezpieczenie górników, system ubezpieczeń zawodowych i zmieniające się na przestrzeni wieków warunki bytowe.

Absolwenci krakowskiej AGH i katowickiego kulturoznawstwa znajdą dla siebie w tej książce wiele zaskakujących, rzetelnie zebranych i sprawdzonych informacji. Bogata dokumentacja przytaczana w tekście uwierzytelnia zawarte w nim informacje. Autorzy wyjaśniają co to jest kurzawka i dziesiątki innych fachowych pojęć, skąd się wzięło np. słowo hajer, jaką funkcję spełniał styl architektoniczny zwany historyzmem, jaka była funkcja budynków i budowli przemysłowych uznawanych za „świętynie pracy”.

Bardzo ważną częścią przywołanej tutaj monografii są te jej fragmenty, które poświęcone są historii i funkcjom znajdującego się współcześnie pod zarządem Przedsiębiorstwa Górniczego DEMEX sp. z o. o. – szybu Maciej.

Z inicjatywy współautora monografii dr inż. Zbigniewa Bareckiego, firma Demex wykupiła od kopalni Pstrowski

nieruchomość obejmującą szyb Maciej i otworzyła ujęcie wody dla mieszkańców Zabrza oraz przygotowała długofalowy program wykorzystania potencjału dziedzictwa kulturowego kompleksu całego szybu oraz przystosowania go do nowych funkcji kulturowych, a także włączenia do Szlaku Zabytków Techniki.

Książka rejestruje cały proces niezwykle udanej rewitalizacji zespołu szybowego z jego przekształceniem i przeznaczeniem dla celów turystycznych, kulturalnych, z respektowaniem wymaganych prawem wszelkich zasad regulujących procedury ochrony dziedzictwa przemysłowego.

Połączenie ludzkiej pasji i pracowitości, z szacunkiem dla dorobku minionych pokoleń zaowocowało wzorcowym wykorzystaniem odbudowanej infrastruktury dla następnych pokoleń. Wygasłe wentylatory szumiącego do 1992 roku szybu nie straszą już okolicznych mieszkańców swą grobową ciszą, ale brak ich do niedawna uciążliwego hałasu oznacza początek nowego rozdziału w dziejach tego zabytku.

Monografia jest nie tylko pięknym przedmiotem, estetycznie wykonaną księgą, ale pełnić może także wielorakie funkcje edukacyjne, dokumentacyjne, promocyjne i instruktażowe dla wszystkich tych czytelników, którzy w dzisiejszych czasach zmuszeni są łączyć swe kulturotwórcze pasje i działania z wymogami gospodarki wolnorynkowej i współczesnej ekonomiki kultury. ■

Zbigniew Barecki, Eufrozyna Piątek: *Kopalnia Concordia i szyb Maciej w Zabrzu. Historia i zachowane dziedzictwo*. Zabrze 2019, s. 374.

fot. arch.



Buildynki nadszybia wentylatorów Joy i wagi, strona południowo-zachodnia. Stan przed rewitalizacją

Widokówki z miasta we mnie

KRZYSZTOF SZLAPA

Rok 2008 upłynął mi na tworzeniu pierwszej spójnej serii fotograficznej pt. „Widokówki z miasta we mnie”. Nasilające się piętno geometrii wytworzyło we mnie potrzebę tworzenia bardzo precyzyjnie skonstruowanych kadrów oraz maniakalną chęć redukcji wszystkiego, co wydawało mi się zbędne. Jednak zagadnienia formalne nie były same w sobie impulsem do tworzenia. To potrzeba krytycznego rozliczenia się z otaczającą przestrzenią prowokowała mnie do błąkania się po ulicach miast.

Efekt jednak był paradoksalny – dopiero robiąc ostatnie zdjęcie zrozumiałem, że stworzyłem wnikliwy i gorzki rachunek sumienia. Starając się napędzić obrazy większą siłą oddziaływania sięgnąłem też po słowo. Odręczne podpisy z pogranicza poezji zdradziły moją tęsknotę za językiem, który mógłby otworzyć więcej ścieżek interpretacji, a jednocześnie ukierunkować widza. Całość dopełnia stylizacja niezaadresowanych widokówek, w których pole adresata wciąż pozostaje puste. ■



W moim mieście
rosną cienie

Krzysztof Szlapa – artysta fotografik. Autor wystaw indywidualnych i uczestnik wystaw zbiorowych, kurator w Galerii Pustej cd. w Jaworznie oraz w galerii ZA SZYBĄ w Katowicach, sekretarz Okręgu Śląskiego ZPAF, stypendysta Marszałka Województwa Śląskiego w dziedzinie kultury, laureat nagrody dla młodego twórcy imienia Anny Chojnackiej. W duecie z Kamilem Myszkowskim prowadzi dyskusyjne spotkania Herbata i Fotografia oraz organizuje warsztaty. Autor Albumu artystyczno-edukacyjnego „W zasięgu wzroku”.



Moje miasto wydaje się
prezencione





W moim mieście zegar utyka
kuleje na krótszą wskazówkę
czasem przystaje
by złapać oddech



□□-□□□



W moim mieście samochody
są jak blaszane pomniki
podróżny



□□ - □□□□

Kompozytorka rozrzutna

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



Pewnego dnia zdałem sobie sprawę, że tzw. Nowa Muzyka, czyli dzisiejsza muzyka klasyczna, cierpi na niechęć zawsze z winy niemądrych krytyków, dyrygentów, wykonawców z klapkami na oczach, a przede wszystkim niedokształconych i politycznie uzależnionych szefów instytucji takich jak (dziś) Instytut Adama Mickiewicza, co piszę z przyjemnością – tak, odpowiem w detalu na Wasz oburzony tym tekstem list – z prostej przyczyny: to muzyka w istocie swojej rozrzutna technicznie i rozrzucona stylistycznie. No bo co wybrać?

Ludzie mówią: „nie lubię muzyki współczesnej”, nie zdając sobie sprawy, że w tej współczesnej muzyce nie można – naprawdę nie można! – czegoś nie polubić. Jeśli zdamy sobie sprawę z faktu, że w XX stuleciu – stuleciu Nowej Muzyki – działali równocześnie Vaughan-Williams, Sibelius, Szymanowski, Szostakowicz, Bartók, Alban Berg (dodaję imię, bo Bergów było kilku), Hindemith, Tailleferre, Schoenberg, Webern, Bacewiczówna, Lutosławski, Scelsi, Cage – a wszyscy oni w pewnym momencie żyli i tworzyli w tym samym czasie – to doprawdy nie sposób powtarzać potwornej głupoty o nie-lubieniu Nowej Muzyki. Np. romantyczny Sibelius i superawangardowy Webern są nieporównywalni, a jednak ciągle słyszę: Nowa Muzyka jest wstrętna. Prawda jest inna: oto np. ukochany tow. Szostakowicz nauczył się jednak trochę od nienawistnego Schoenberga, a ten z kolei skomponował kilka późnych dzieł wskazujących na inspirację tradycyjną, w pewnym sensie – tak! – Szostakowiczowską. O kameleonie Strawińskim nawet nie mówię – oczywistość!

I czego tu nie lubić? Ale jak wybrać?!

Śp. krytyk i filozof Bohdan Pocięj autorytatywnie się muzyką Szostakowicza, zaś jego agresywny przeciwnik (kiedyś kolegował, ale później Pocięj zszedł na pozycje konserwatywne i Boguś go przeklął), śp. Bogusław Schaeffer, muzyką Weberna. Na jedno wychodzi?

Pamiętam rozmowę z pewnym panem, który wprost pluł na Nową Muzykę: „Bogulez okropny, Cage ohydny, ja tylko Bacha i Haydna lubię” (miał komplet symfonii Haydna; trzeba byś samobójcą, żeby ich wszystkich wysłuchać). Ja mu na to: „Słyszałeś o Feldmanie?” Nie. Poradziłem mu zakupienie kilku płyt: muzykę fortepiano-

wą, kameralną, no i oczywiście arcydzieło *Madame Press Died Last Week at Ninety*. Przyszedł do mnie po dwu tygodniach i powiedział: „Zakupię i będę słuchać cokolwiek mi polecisz współczesnych kompozytorów. Utwory Feldmana są genialne. Ileż w tam mistycznej zadumy!” Nie polubił Bouleza, ale wkrótce potem do Bacha, Haydna i Feldmana dodał Szymanowskiego (zakochał się w nim) i Luciana Berio. A przecież Szymanowski, Berio i Feldman to TAK różni kompozytorzy! Tylko jeden przykład z wielu. Nowej Muzyki nie można nie lubić. *Vide* Szabelski, Górecki, Knapik, Lasoń – przecież różni „na całego”, a piękni!

I tu tkwi istota problemu Nowej Muzyki. Jest „zbyt” bogata – znowu: co wybrać? Czy Sibelius jest nudny, a może Webern wspaniały? Słuchamy kompozytorów barokowych i każdy utwór nam się podoba. Romantyzm: Field, Friedrich Kalkbrenner (nie mylić z Paulem Kalkbrennerem), Alkan, Chopin, Żeleński, Wagner – wszystko jedno kto i co, to musi być dobre. Bo jeśli tylu kompozytorów pisze mniej więcej to samo, i tyle stacji radiowych gra mniej więcej to samo, i tyle wytwórni płytowych wydaje mniej więcej to samo (utwory, które brzmią mniej więcej tak samo) – to na pewno dobre. To jest „siła przyzwyczajenia”. (Berlioz to osobna sprawa, dla mnie największy i najbardziej niedoceniany awangardysta romantyzmu.) To jest siła lenistwa. Mamy dzisiaj dostęp do każdej muzyki, nawet grenlandzkiej. Czego brakuje? Brakuje ciekawości, chęci wyszukiwania muzycznych fenomenów spoza kanonu. Ale jeśli to jest lenistwo właśnie, to proszę nie generalizować, że się czegoś nie lubi. Aleksandra Garbal (1970) to kompozytorka, której twórczość idealnie odbija to, co napisałem powyżej. Miła, umiarkowana w wypowiedziach – jest jednak osobą rzutką (ma autorskie płyty, kiedy wielu polskich twórców wysokiego lotu nie ma nawet jednego nagrania) i rozrzutną. Rozrzutną właśnie w tym Nowej Muzyki techniczno-stylistycznym znaczeniu. Ale w jej przypadku nie prowadzi do do łatwych wyborów. Jest autorką wprost rozbijającą prymitywnej muzyki religijnej – tu się pod przymusem zgodzę, wiele amatorskich chórów nie byłoby stać na śpiewanie Weberna. Ale np. Kana-

dyjczyk R. Murray Schaefer tworzy nowatorską muzykę chórzną dla amatorów nie każąc im czytać nut, daje im słowne i graficzne instrukcje. Brzmi to nieprawdopodobnie nowo i pięknie. Czemu na gruncie polskim nie spróbować?

Pani Aleksandra pisze wysokiej klasy muzykę kameralną – i tu jest jamnik pogrzebany. Z jednej strony komponuje znakomitą *Arię* na flet solo (2005/2011), którą cudownie interpretuje rewelacyjny Jurk Sojka; fascynującą *Incantation* na klarinet solo (1994/2004), którą z emocjonalną finezją gra Jerzy Matysiak; zaś *Pięć preludów na fortepiano* (2011–2013) to muzyka pięknie zadumana i pełna mądrej wirtuozerii, którą Anna Lewicka gra z najgłębszym zrozumieniem i wrażliwością godną Polliniego.

Z drugiej strony mamy jakieś pieśni w stylu Żeleńskiego (jego pieśni są okropne) i utwory organowe, które są po prostu muzyce niepotrzebne, bo tyle takich pretensjonalnych gniotów napisano (pisali je Widor i Dupré, straszne). Tak, niby organy, niby kościół, niby potrzeba komunikacji bezpośredniej – nie! Kiedy słyszę taką muzykę od razu myślę o tym, do jakiego stopnia kompozytorka nie docenia inteligencji i wrażliwości słuchaczek i słuchaczy. Nie wolno! Nasze kompozytorskie zadanie to – też – edukacja, tj. poszerzanie wiedzy, nawet kosztem własnej „popularności”. Rozrzut stylistyczny to jedno – jakość to drugie. No bo co wybrać?

Pani Aleksandro, ma Pani wielki talent! Dysponuje nim Pani, powtórzę, jakościowo rozrzutnie. A to często strata czasu. Zachęcam Panią do komponowania, raczej niż pisania. Skomponowała Pani wiele pięknych dzieł. Proszę się nie rozdrabniać, bo w rozdrabnianiu tkwi komórka rakowa artystycznej śmiertelności. A przecież każdy artysta to o nieśmiertelności musi i powinien marzyć, nawet tworząc bezgłośnie – jak Jan Sebastian. ■

Co łączy wybitnych polskich artystów – Danutę Baduszkową, założycielkę i długoletnią szefową Teatru Muzycznego w Gdyni, znanych i cenionych aktorów – Piotra Machalicę i Teresę Budzisz-Krzyżanowską oraz znakomitego śpiewaka operowego o międzynarodowej sławie – Piotra Beczałę? Odpowiedź może się wydawać zaskakująca – każdy z nich był na pewnym etapie swojego życia mocno związany z Czechowicami-Dziedzicami, niedużą miejscowością na historycznym Śląsku Cieszyńskim. To rzeczywiście ciekawe, bo usytuowane w powiecie bielskim, liczące ok. 35 tysięcy mieszkańców, miasto nie wzbudza u przeciętnego zjadacza chleba skojarzeń z muzyką, teatrem i w ogóle z szeroko pojętą kulturą.

A jednak korzenie niektórych sławnych osobistości z polskiego świata artystycznego tkwią właśnie w tym mieście. Baduszkowa pracowała tu w latach 1945–1953, prowadząc amatorski zespół teatralny. Urodzony w Pszczynie Machalica spędził prawie całe dzieciństwo w Czechowicach, a Budzisz-Krzyżanowska uczęszczała tam nawet do miejscowego liceum ogólnokształcącego. Do dziś jest uznawana za jedną z najślawniejszych absolwentek czechowickiej szkoły. Beczała, związany zaś od 1997 roku z Zurychem, nigdy nie ukrywał, że wywodzi się ze śląskich Czechowic.

Spotkanie z rodziną Addamsów

Współcześnie miasto ma również swój znak rozpoznawczy w sferze kultury – Czechowicki Teatr Muzyczny MOVIMENTO. Placówka istnieje od 14 lat i spełnia – jak się wydaje – pożyteczną rolę w upowszechnianiu ambitnych form muzycznej sztuki scenicznej. W niedzielę 20 października królował tam niepodzielnie **Andrew Lipa**, znany amerykański kompozytor, a zarazem autor tekstów utworów muzycznych. Na czechowickiej scenie wystawiono jego dwuaktowy musical *Rodzina Addamsów* w reżyserii Barbary Bielaczyc.

Uskrzydleni zapaleńcy

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Młodzi aktorzy i śpiewacy z Czechowic sami zaproponowali kierownictwu teatru, by sięgnąć po przebojowy musical rodem z USA. W roku 2010 miał on swoją pamiętną premierę na Broadwayu. Spektakl prawie od razu stał się popularnym hitem scenicznym, nie tylko zresztą w Stanach Zjednoczonych, ale także w całej Europie.

Kim są Addamsowie? Masochistami, sadystami i prawdziwymi potworami w ludzkiej skórce. Mieszkają w zapuszczonym domu na bagnach. Jest tam pełno strasznych narzędzi tortur, ukrytych przejść i pułapek. Piekielna narracja i upiorny na pierwszy rzut oka sztafaż scenograficzny nie powinny jednak nikogo zmylić. W warstwie fabularnej nie jest to bowiem żaden horror, lecz raczej zabawna parodia horroru. Addamsowie są w istocie kochającą się rodziną, która tylko na pozór sprawia diabelskie wrażenie. Natomiast w warstwie muzycznej spektakl jest oryginalnym zestawieniem tradycji broadwayowskiej z brzmieniami latynoamerykańskimi.

Twórcy czechowickiej inscenizacji musicalu nie mieli łatwego zadania. MOVIMENTO nie jest teatrem zawodowym, a kreowanie sadystycznych postaci widowiska na pewno nie było banalnym zadaniem aktorskim dla młodych adeptów sztuki scenicznej. W ostatecznym rozrachunku zdolali oni jednak stawić czoła trudnemu wyzwaniu, choć przedstawienie miało też swoje niedostatki realizacyjne.

Mocną stroną widowiska stanowi oprawa choreograficzna. Zaprezentowane układy taneczne, w tym zwłaszcza sugestywna scena zbiorowa w drugim akcie,

wzbudziły żywy aplauz zgromadzonych w teatrze widzów. To niewątpliwa zasługa **Wiolety Waliczek**, która zadbała o efektowne prezentacje baletowe w musicalu. Wyróżniającą się postacią rodziny Addamsów była zaś bez wątpienia **Patrycja Stebel** w roli Babci. Młoda aktorka z dużym zacięciem scenicznym kreowała złośliwą momentami seniorkę rodu.

Najlepszym pod względem dramaturgicznym fragmentem spektaklu była jednak brawurowa scena na stole w końcowej części pierwszego aktu. **Anna Śmierchalska** świetnie wcieliła się w postać Alicji Beineke, jednej z uczestniczek osobliwego przyjęcia zorganizowanego przez Addamsów. Objawiła ona rewelacyjne wręcz umiejętności aktorskie i wokalne. Warto odnotować, że jest absolwentką Diecezjalnej Szkoły Muzycznej II stopnia w Bielsku-Białej, którą ukończyła w klasie śpiewu solowego. Jej występ w czechowickim musicalu wywołał owacyjną reakcję publiczności przy otwartej kurtynie. Śmierchalska jest – jak można sądzić – jedną ze szczególnie uzdolnionych młodych artystek MOVIMENTO.

Uzdolnieni amatorzy w akcji

Po październikowym przedstawieniu poprosiliśmy o rozmowę Barbarę Bielaczyc, reżyserkę widowiska i zarazem szefową teatru.

Czy uśmiercenie Gliwickiego Teatru Muzycznego (kontynuującego z powodzeniem wieloletnie tradycje Operetki Śląskiej) pobudziło Panią może do utworzenia czechowickiej sceny operetkowo-musicalowej?

B. Bielaczyc: Haniebna i obrzydliwa (nie waham się użyć tych słów!) likwidacja GTM stworzyła pewną lukę, którą teraz staraję się wypełniać na Śląsku takie teatry i teatryki, jak właśnie MOVIMENTO. Powstał on w końcowym okresie istnienia gliwickiej sceny muzycznej. Pamiętam, że byłam autentycznie oburzona jej unicestwieniem, podobnie zresztą jak większość środowiska muzycznego w Polsce. Dla mnie nie ulega najmniejszej wątpliwości, że publiczność kocha operetkę. Powiem może górnolotnie, ale szczerze – nie da się wykreślić tego gatunku z dziedzictwa kulturowego ludzkości. Tłumnie wypełniona widownia MOVIMENTO na spektaklach operetkowych (*Orfeusz w piekle*, *Kraina uśmiechu* we współpracy z Teatrem Muzycznym Arte Creatura czy też ostatnio *Księżniczka czardasza*) jest tego wymownym potwierdzeniem. Bardzo duże zainteresowanie publiczności wzbudzają też jednak prezentowane przez nas musica-



Anna Śmierchalska w brawurowej roli Alicji, fot. Krzysztof Więcęk

le – *West side story*, *My fair lady*, *Skrzypek na dachu*. Najczęściej wystawiamy w ciągu roku od 3 do 5 premier.

Czy MOVIMENTO jest w stu procentach teatrem amatorskim?

I tak, i nie. Od chwili swojego powstania w 2005 roku jest to teatr dla wszechstronnie utalentowanych amatorów w wieku – jak często podkreślam – od 3 do 80 lat. Młodzi ludzie, którzy do nas trafiają, mają rzadko fachowe przygotowanie edukacyjne w podstawowych i średnich szkołach muzycznych. Artystyczną opiekę nad tymi uzdolnionymi amatorami sprawują natomiast profesjonalści w zakresie śpiewu solowego i chóralnego, choreografii, oprawy muzycznej oraz reżyserii przedstawień. Z założenia nie organizujemy castingów w celu wyłonienia wykonawców poszczególnych widowisk scenicznych. Korzystamy z własnego kilkudziesięcioosobowego zespołu artystycznego. Przeważają w nim dziewczęta, ale męska reprezentacja jest też dość silna. Młodzi adepci sztuki scenicznej z Czechowic nie otrzymują za swoją pracę żadnych wynagrodzeń. MOVIMENTO stawia sobie za cel integrację lokalnego środowiska poprzez muzykę i teatr.

Nadszedł chyba czas na ujawnienie Czcielnikom, kim Pani jest z zawodu i z wykształcenia...

W 2001 roku ukończyłam Akademię Muzyczną w Katowicach. Jestem zawodową śpiewaczką (sopranistką). Byłam m.in. nauczycielem akademickim w mojej macierzystej uczelni, a także na Uniwersytecie Śląskim oraz w Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej. Przez wiele lat pracowałam również w Szkole Aktorskiej Teatru Śląskiego w Katowicach. Wywodzę się z rodziny, w której od połowy XIX wieku prawie wszyscy byli nauczycielami.

Pozwolę sobie na absolutną szczerłość. Uważam, że jestem zbyt wredna, aby umieć się podporządkować twardym rygorom życia profesjonalnego artysty. Przed kilkunastoma laty zajęłam się reżyserią widowisk operowych. Wyreżyserowałam m.in. *Rinalda* G.F. Haendla oraz *Cosi fan tutte* W.A. Mozarta. W obu operach wystąpili młodzi śpiewacy. To był początek moich działań, które zaowocowały utworzeniem teatru MOVIMENTO.

Skąd czerpicie fundusze na swoją działalność?

Wpływy ze sprzedaży biletów na nasze przedstawienia (widownia nigdy nie świeci pustkami) pokrywają tylko niewielką część ponoszonych kosztów. Otrzymujemy ponadto niezbędne środki finansowe od Zarządów Osiedli w Czechowicach-Dziedzicach, bo śpiewamy podczas organizowanych przez nie koncertów okolicznościowych. Niekiedy uzyskujemy dotacje budżetowe z Urzędu Miejskiego na techniczne wyposażenie teatru. Profesjonalny personel artystyczny MOVIMENTO jest zatrudniony na etatach

w Miejskim Domu Kultury. Dzięki jego przychylności możemy realizować nasze pasje muzyczne.

To wszystko brzmi dość sensacyjnie. Jak w takich skromnych warunkach materialnych udaje się Pani wykręcić artystyczne iskry z młodych (występujących za darmo!) zapaleńców sztuki scenicznej?

– Sądzę nieskromnie, że udało mi się stworzyć warunki twórczego rozwoju dla ambitnych młodych ludzi garnących się do sztuki i szukających sposobów samorealizacji na polu artystycznym. Niektórzy z nich są związani z MOVIMENTO nieprzerwanie od kilkunastu lat. Czerpią oni ogromną radość i satysfakcję życiową z publicznego prezentowania ambitnych form kultury muzycznej, a niekiedy także spektakli dramatycznych. Brawa przy otwartej kurtynie ze strony wzruszonych i uśmiechniętych widzów są dla nich najlepszą zapłatą za spory wysiłek. Moi podopieczni czują się wtedy uskrzydleni.

Warchoł czy animator?

Powstanie czechowickiej placówki scenicznej nie było jedynym rezultatem kilkuletniego procesu uśmiercania Gliwickiego Teatru Muzycznego. O zdumiewających okolicznościach stopniowego likwidowania GTM opowiedział nam z dużą otwartością jeden z dawnych solistów Operetki Śląskiej.

Czy to prawda, że zaraz na początku obecnego wieku zmieniono specjalnie nazwę gliwickiego teatru, żeby w ten sprytny sposób pozbyć się stamtąd wieloletniego aktora i śpiewaka, Andrzeja Smogóra? – zapytaliśmy samego zainteresowanego.

A. Smogór: Niekórzy tak właśnie uważają. Myślę, że to jest bardzo trafne przypuszczenie. Dla ówczesnego kierownictwa teatru byłam – tak można powiedzieć – niewygodnym i krnąbrnym artystą-związkowcem. W Teatrze Muzycznym w Gliwicach pełniłem funkcję szefa zakładowej „Solidarności”. W 2001 roku uznano, że jedyną metodą usunięcia mnie będzie całkowite pozbycie się związków zawodowych z teatru. Zmiana jego nazwy umożliwiła przeprowadzenie takiej operacji organizacyjnej.

Czyżby dla ówczesnych decydentów w teatrze i w mieście był Pan – jak to się niekiedy określa – wrednym i napastliwym związkowcem?

Zacznijmy od tego, że „związkowiec” to nie był wcale mój zawód, jak złośliwie twierdzili moi adwersarze. Jestem absolwentem Wydziału Wokalno-Aktorskiego Akademii Muzycznej w Katowicach. Pochodzę z Będzina, a scena muzyczna w Gliwicach (jeszcze pod nazwą Operetki Śląskiej) była miejscem mojej wieloletniej pracy artystycznej. Przez długie lata należałem do grona gliwickich solistów operetkowych i musicalowych. Dopiero



Barbara Bielaczyc, fot. Krzysztof Więcek

w latach dziewięćdziesiątych zeszłego wieku zostałem liderem zakładowej „Solidarności” w teatrze. Gdy w 1998 roku dyrektorem tej instytucji został Paweł Gabara, stało się dla mnie od razu jasne, że sprawy pójdą zapewne w złym kierunku. Życie pokazało, iż moje obawy się w pełni potwierdziły.

Czy Gabara okazał się złym dyrektorem Teatru Muzycznego w Gliwicach?

– Powiem otwarcie – nie miał on w ogóle żadnych predyspozycji ani umiejętności menadżerskich. Nie nadawał się po prostu do kierowania teatrem. Ani na jotę nie akceptowałem polityki Gabary, który usiłował przekształcić gliwicką scenę muzyczną w teatr impresaryjny. Nie mogłem się pogodzić z powolnym i destrukcyjnym unicestwianiem wszystkiego, co pozostało z dawnej i wspaniałej Operetki Śląskiej. Mówiłem o tym otwarciu, zgodnie ze znaną zasadą: „co na sercu, to na języku”. Znienawidzono mnie. Opracowano scenariusz pozbycia się związków zawodowych z teatru. Ówczesne władze miejskie Gliwic zaakceptowały takie rozwiązanie. **Jak to rozegrano pod względem formalno-prawnym?**

Dość perfidnie. Skorzystano ze sławnego art. 21 ówczesnego kodeksu pracy (obecnie już on nie obowiązuje, bo został uchylony). Na skutek formalnej likwidacji Teatru Muzycznego w Gliwicach zwolniono z pracy wszystkich, którzy byli w nim zatrudnieni. Do nowego Gliwickiego Teatru Muzycznego przyjęto natomiast tylko tych, których selektywnie wybrał sobie Paweł Gabara. W nowej instytucji nie było już miejsca dla związków zawodowych.

Jak to się stało, że pomimo utworzenia nowego pod względem formalnym teatru nie zmienił się jego dyrektor? Pracowników zwolniono, a dyrektora – nie. To dziwne...

Paweł Gabara cieszył się specjalnymi

względami władz miejskich. Miał on osobiste poparcie Zygmunta Frankiewicza, ówczesnego prezydenta Gliwic. W praktyce był więc nie do ruszenia (później po latach utracił swoją uprzywilejowaną pozycję, ale to już jest temat na osobne opowiadanie). Oburzające były jego zarzuty artystyczne pod moim adresem. Oświadczył, że ja rzekomo śpiewam „nieczysto z wokalami kłopotami technicznymi”. Na domiar złego wytoczono jeszcze wobec mnie poważne zarzuty prawne. Stwierdzono, że na scenie teatru pobiłem ponoć kolegę z chóru, co było kompletną bzdurą. Ostatecznie zwolniono mnie z pracy w trybie dyscyplinarnym. Wydano mi nawet kategoryczny zakaz wstępu do budynku GTM. Zakaz ten objął nie tylko mnie, ale również dwójkę innych artystów – Ewę Mierzyńską i Mieczysława Błaszczyka. Każdy z nas stał się w nowym teatrze *persona non grata*.

– **Jak Pan potem poradził sobie w życiu z paskudnym „wilczym biletem” z Gliwic?**

– Całkiem nieźle. Najpierw sąd pracy oddalił wszystkie postawione mi przez dyr. Gabarę zarzuty. Potem w Dąbrowie Górniczej zostałem dyrektorem Pałacu Kultury Zagłębia, gdzie wraz z Ewą Mierzyńską utworzyliśmy Zagłębiowską Scenę Muzyczną, która z powodzeniem funkcjonowała w latach 2004–2007. Ówczesne władze Dąbrowy Górniczej doceniały nasze umiejętności. Preferowaliśmy tradycyjny repertuar operetkowy. Wystawialiśmy spektakle *Porwanie Sabinek*, *Bal w operze*, *Król walca*, *Ogródki wiedeńskie*, nawiązujące do klasycznej operetki ze złotej ery tego gatunku. Warto podkreślić, że oprawę muzyczną widowisk zapewniała profesjonalna 35-osobowa orkiestra. Śpiewali m.in. Marcei Pańczyński, Krystyna Westfał – popularni soliści z Gliwic, którzy tworzyli w swoim czasie trzon najlepszego zespołu artystycznego Operetki Śląskiej. Dąbrowska widowia na 700 osób nigdy nie świeciła pustkami. Bilety w cenie od 25 do 40 zł rozchodziły się niemal w komplecie. Tylko na drugim balkonie były niekiedy wolne miejsca.

– **To ciekawe. W Gliwicach był Pan paskudnym „warchołem związkowym” w teatrze, a w Dąbrowie Górniczej stał się Pan skutecznym animatorem klasycznej operetki...**

– Jestem absolutnym fanem operetki. Wydaje mi się, że zupełnie nie mają racji ci włodarze samorządowi na Śląsku, którzy z uporem maniaka twierdzą, że klasyczna operetka wiedeńska się ponoć przeżyła, a spektakle operetkowe są tylko anachronicznym reliktem XIX-wiecznej sztuki scenicznej. Likwidacja Gliwickiego Teatru Muzycznego była – w mojej ocenie – katastrofalnym błędem ówczesnych władz samorządowych miasta. Nieśmiertelne arie

operetkowe ciągle wzbudzają zachwyt współczesnej publiczności. Wraz z Ewą Mierzyńską często występujemy w Krynicy, prezentując tam koncerty pod hasłem *Operetki czar*. Frekwencja widzów na tych imprezach jest najlepszym potwierdzeniem nieprzemijającego uroku utworów Straussa, Lehara i Kalmana. Podobnie dzieje się w wielu krajach europejskich, w których koncertuje holenderski skrzypek i dyrygent Andre Rieu wraz ze swoją sławną orkiestrą. W trakcie jego występów rozbrzmiewają przede wszystkim legendarne arie operetkowe. Wywołują one ogromny aplauz słuchaczy. Uważam, że to powinno dawać do myślenia ludziom odpowiedzialnym za funkcjonowanie współczesnych teatrów.

– **Czy był Pan kiedykolwiek w amatorskim Czechowickim Teatrze Muzycznym MOVIMENTO? Operetkowo-musicalowy repertuar tej placówki budzi duże zainteresowanie publiczności.**

– Pojawiłem się tam w 2008 roku. Był pomysł wystawienia na czechowickiej scenie *Ogródków wiedeńskich*, znanych z wcześniejszej inscenizacji w Dąbrowie Górniczej. Nic jednak nie wyszło z tego zamierzenia. Jako zawodowcy nie mogliśmy zgodzić się na poważne ograniczenia, wynikające z oczywistego braku środków finansowych. Jestem pełen podziwu dla pasji i rzadko spotykanego zaangażowania amatorskich adeptów sztuki scenicznej, występujących na deskach teatru MOVIMENTO. W najmniejszym stopniu nie próbuję deprecjonować ambitnych poczynań tych zapaleńców. Uważam jednak, że ostateczne efekty ich wysiłków odbiegają od tego, czym powinna być tradycyjna operetka. Czechowiccy widzowie mogą nabrać przekonania, że tak wła-

śnie wygląda prawdziwa sztuka operetkowa. A przecież bez wystawnych kosztów, bez efektownej oprawy scenograficznej oraz bez profesjonalnej orkiestry nie ma prawdziwej operetki. Potrzebny jest bezwzględnie w tej dziedzinie finansowy mecenat ze strony państwa, a przynajmniej – regionalnego samorządu na szczeblu wojewódzkim.

O komentarz w sprawie opinii Andrzeja Smogóra, dotyczącej działań Czechowickiego Teatru Muzycznego MOVIMENTO poprosiliśmy odrębnie Barbarę Bielaczcyc, twórczynię i wieloletnią szefową tej placówki.

– **Czy dotkliwy niedobór funduszy na działalność amatorskiego teatru ma rzeczywiście zasadniczy wpływ na efekty jego poczynań artystycznych?** **Barbara Bielaczcyc:** Działalność MOVIMENTO ma zupełnie inny charakter i specyfikę, niż teatry zawodowe. Nie dysponujemy takimi środkami finansowymi, jak tamte placówki. Nie mamy ekipy technicznej, gardebobianych, krawców i sceny dostosowanej do zmian dekoracji. Jesteśmy przecież – generalnie rzecz biorąc – teatrem amatorskim. Specjalizujemy się raczej w popularyzowaniu muzycznej sztuki scenicznej. Niektórzy z naszych widzów zaczynają dzięki temu słuchać innej muzyki niż ta, która jest najbardziej dostępna i promowana przez media. Wielu znanych i utytułowanych artystów wypowiada się ciepło o naszych poczynaniach, w tym m.in. Michał Musioł (były solista Gliwickiego Teatru Muzycznego), Aleksander Teliga (nie wymaga chyba bliższej rekomendacji) czy wreszcie Jądwiga Grygierczyk oraz Adam Myrczek (Teatr Polski w Bielsku-Białej). ■



Ewa Mierzyńska i Andrzej Smogór na tle byłej siedziby Operetki Śląskiej, fot. Zbigniew Lubowski

Ostatnia wielka polska saga

MAŁGORZATA LICHECKA

Architektura i literatura – dziedziny, które łączy artystyzm, estetyka i umiłowanie detalu – były dla Marii Polak najważniejszymi sferami twórczej realizacji. Absolwentka Wydziału Architektury Politechniki Śląskiej, a następnie współwłaścicielka pracowni architektonicznej zawodowo realizowała się jako twórczyni obiektów użyteczności publicznej i sakralnych. Architektura wypełniała ważną część jej życia, ale to literatura była pierwsza i najważniejsza. 5-tomową sagą „Pozłacany róg” dała nam nie tylko powieść o pokoleniach Polaków w XIX i XX wieku, ale – co warto mieć na uwadze – gotowy niemal scenariusz serialu historycznego na miarę „Sagi rodu Forsytów”.

Historie rodzinne

Kiedy się urodziła, jej brat miał półtora roku i nie potrafił wymówić imienia Marysia, nazywał ją więc po prostu Dodą i to się przyjęło i w domu, i w sąsiedztwie. Przyzwyczaiła się; gdy ktoś zawołał „Mario”, „Marysiu”, nie od razu reagowała. Około-Kułek to nazwisko rodowe, a historia rodziny sięga XVI wieku. To wówczas pewien Tatar dostał się do polskiej niewoli i został na służbie u rodziny o nazwisku Okołów. Był ułożony i dobrego rodu, więc Okołowowie wydali za niego córkę. Stąd najprawdopodobniej wzięła się zbitka Około-Kułek. A „kułek” to po tatarsku „ucho”. Rodzina Tatara osiadła w okolicach Wiatki (dziś to Kirow na Białorusi) i stamtąd wywodzi się ród Około-Kułeków, do którego należała Maria.

Jej rodzice pobrali się w czasie wojny. Ojciec pracował wtedy naukowo na Politechnice Lwowskiej. Po zakończeniu wojny, kiedy okazało się, że Lwów zostaje po „tamtej stronie”, wyjechał. Najpierw do Gdańska. Na Śląsk ściągnął go prof. Stanisław Ochęduszek, który od roku 1934 kierował Katedrą Teorii Maszyn Ciepłych na Politechnice Lwowskiej. W roku 1946 prof. Ochęduszek został ścignięty do Gliwic. Mógł wówczas przyciągnąć niektórych uczniów i w ten sposób w Katedrze Teorii Maszyn Ciepłych zaczął pracować Witold Około-Kułek, późniejszy profesor Politechniki Śląskiej.

– Ani mama, ani ojciec nigdy nie pojechali do Lwowa, ja natomiast byłam tam wiele razy. W latach 80. miasto było zrujnowane: na przykład kościół św. Elżbiety, w którym moi rodzice brali ślub, zamieniono na magazyn. Myślę, że każdemu, kto widział Lwów, nasuwa się porównanie z Krakowem: podobny układ urbanistyczny, ciasne uliczki wokół Rynku – tak pisarka mówiła w jednym z wywiadów.

„Siostrzyczki biorą wszystko”

Debiutowała w roku 1994, w tygodniku „Przekrój”, opowiadaniem *Mgła*. Miała już wtedy 46 lat. Potem przysły powieści *Księga motyli* i *Ptaszyna*, a także sztuki, w tym ta najbardziej znana: *Siostrzyczki biorą wszystko*. Przez wiele lat sztuka znajdowała się w repertuarze krakowskiego teatru „Bagatela”. Doda Około-Kułek sportretowała tam cztery charakterystyczne baby, które nie przebierają w środkach, rozgrywają między sobą walkę na śmiech i życie.

– Bardzo dobrze pamiętam ten dzień, pełen emocji o różnej intensywności. Ale także okropnej tremy: jak publiczność przyjmie sztukę? Sama nie znałam efektu pracy reżyserki Ewy Marcinkówny. Nie wpuściła mnie na żadną próbę – mówiła pisarka w 2013 roku autorce artykułu.

„Pozłacany róg”

Doda Około-Kułek od początku literackiej kariery marzyła o napisaniu sagi historycznej, której kanwą byłyby barwne dzieje własnej rodziny. Niestety, wszystkie archiwa zostały po tamtej stronie, musiała więc umieścić akcję w Galicji Zachodniej. Pomysł dojrzał. Jednak tak obszerna powieść wymagała nie tylko dyscypliny; okazała się też niezwykle czasochłonnym zajęciem. Nie miała na to czasu, pracowała bowiem aktywnie jako architektka. Ale o sadze nie zapomniła: w szufladzie miała dwa skończone tomy, wróciła więc do nich, gdy w roku 2008 przeszła na emeryturę.

W 2012 roku powieścią zainteresowało się wydawnictwo Nova Res, choć słowo „zainteresowało” nie jest tu odpowiednie: Doda Około-Kułek długo musiała zabie-



foto: Michał Buksa

gać o uwagę wydawców, inwestując też własne środki. A nie była przecież autorką anonimową, wręcz przeciwnie – uznana i z dorobkiem. W roku 2013 ukazał się pierwszy z pięciu zaplanowanych tomów sagi rodu Kamińskich. Tytuł *Pozłacany róg* ironicznie nawiązuje do finału *Wesela* Wyspiańskiego.

Fabula *Pozłacanego rogu* rozgrywa się w kilku warstwach: historycznej, politycznej, obyczajowej i osobistej, zaś pisarka, jak sama przyznawała, nie miała ambicji, by przedstawiać wielkie wydarzenia historyczne, bo te zostały już wielokrotnie opisane. Jednak niektóre nie przebiły się do literatury. Na przykład rewolucja krakowska, rzeź galicyjska, reforma agrarna, proces moabicki. I to właśnie one zostały w sadze wydobyte z zapomnienia. Do historii rodzinnej pisarka odwoływała się sporadycznie, przeważnie w warstwie anegdotycznej.

– Przy pisaniu najbardziej brakuje szczegółów, o których historycy na ogół milczą. Czy w 1870 roku hrabina mogła używać wiecznego pióra? Czy chora mógł posłużyć się zapalniczką? Jakie cygaretki paliła Eliza? Takie detale trudno znaleźć, ale moje uporczywe kwerendy przynosiły zaskakujące rezultaty – mówiła pisarka.

Doda Około-Kułek stworzyła wspaniałą panoramę osobowości, zadbała o fabułę, która nie nudzi rozwlekłymi opisaniami czy dialogami, zaś intrygujące zakończenia poszczególnych wątków, sprawiają, że chcemy czytać jeszcze i jeszcze. Czytając, ocieramy łezkę, śledząc miłość spełnioną i niespełnioną, trzymamy kciuki za szlachetne działanie, martwimy się o skutki odwagi często graniczącej z brawurą, a nade wszystko podziwiamy pełnowymiarowe i pełnokrwiste postaci.

Ostatnią książką Dody Około-Kułek okazała się *Lista nieobecności* (2018). Pisarka zmarła 2 października 2019 r. i jest pochowana na cmentarzu Lipowym w Gliwicach.

W poszukiwaniu wiecznej miłości

WOJCIECH LIPOWSKI

Gdy spotkają się w końcu tam, gdzie będą szczęśliwi, czyli w suterenie wiekuiestej przystani, powiedzą sobie wszystko, co najważniejsze, wtedy on uwolni się wreszcie od stworzonego przez siebie bohatera, który odejdzie w otchłań; ona zaś będzie wernie strzegła jego snu. Oboje zaznają spokoju i nie pójdą więcej tropem tego, co bezpowrotnie minęło, bo trzeba w pewnym momencie zwolnić koło zdarzeń i odrobinię powstrzymać upływający czas.

Zanim to jednak nastąpi scenę Teatru Polskiego w Bielsku-Białej wypełni korowód postaci i tematów z powieści Bułhakowa *Mistrz i Małgorzata*, której adaptacja otwiera jubileuszowy sezon teatralny. To już trzecia, w ciągu 21 lat, wersja tego dzieła w bielskim teatrze. Zapewne niektórzy widzowie pamiętają pierwszą z roku 1998 w reżyserii Andrzeja Marii Marczewskiego, później w 2011 roku Robert Talarczyk przeniósł ją na deski sceniczne, a w 130-lecie teatru, najnowszej adaptacji dokonała Małgorzata Warsicka, znana publiczności z nagrodzonej na Opolskich Konfrontacjach Teatralnych sztuki *Beniowski. Ballada bez bohatera*, którą zrealizowała w poznańskim Teatrze Nowym. Jest także laureatką nagród za najlepszy debiut reżyserki na toruńskim festiwalu Pierwszy Kontakt w 2015 roku, czy krakowskim Forum Młodej Reżyserii za spektakl *Jakobi i Leidental* Hanocha Levina z Teatru Ludwika Solskiego w Tarnowie.

W bielskiej realizacji wszystko jest nowe. Przede wszystkim spojrzenie artystki na tekst Bułhakowa, co oczywiste, ale także wybór poszczególnych wątków przedstawionych

w spektaklu. Widzowie będą mieli okazję posłuchać jak wybrzmiewa najnowsze tłumaczenie powieści, jakiego dokonała rodzina Przebindów w 2016 roku.

Reżyserka zaproponowała nam dzieło teatralne bardzo pojemne w odniesienia, konteksty, nawiązania kulturowe. Nieco baśniowe, bardzo plastyczne, można by rzec: nakreślone muzyką i światłem. Czym jest ten Bułhakow Warsickiej i czy w ogóle musimy się nad tym zastanawiać? Bo cóż nam przyniesie stwierdzenie, że na scenie czytamy filozoficzny esej, bądź utwór apokryficzny, czy tekst wymagający licznych przypisów, bo tyle w nim znaczeń, że niesposób je wyrazić? Czy musimy od razu definiować formę, żeby w końcu dojść do wniosku, że otrzymaliśmy opowieść o ludzkiej samotności, niespełnieniu, niezwykłości, niemocy, które może przewyciężyć tylko uczucie. Warsicka podąża za Bułhakowem, który wzywa nas w teatrze jak i powieści, proszę wybaczyć, że użyję starszego tłumaczenia: „Któż to ci powiedział, że nie ma już na świecie prawdziwej, wiernej, wiecznej miłości? A niechże wyrwą temu kłamcy jego plugawy język! Za mną czytelniku mój, podążaj za mną, a ja ci ukazę taką miłość!”

W wędrowce przez wybrane motywy, zwraca uwagę nostalgiczny, podszyty niepewnością i bólem, temat ludzkiej niezgody na rzeczywistość. Nostalgia dla bohaterów to nie stan umysłu, ale choroba, na którą cierpią, nie znając jej przyczyn, źródeł. Nie ważne przy tym, czy dotyczy to Wolanda (bardzo ascetyczna i tajemnicza Marta Gzowska-Sawicka) i jego świty, czy Piłata

(doskonały, oszczędny w wyrażaniu emocji Grzegorz Sikora) i Jeszui (odrealniona, amorficzna Daria Polasik-Bułka). Pomieszczenie czasowe tych planów nie ma w tym wypadku znaczenia, bowiem historia starożytna, może bardziej historia natury duchowej, dotyczy w równym stopniu teraźniejszości jak przyszłości. Świadczy choćby o tym obsadzenie w rolach Wolanda i Jeszui aktorek, co podkreśla niejednoznaczny wymiar opowieści, ale też zawiera w sobie margines niedopowiedzenia, żeby widz mógł uzupełnić tę lukę własnym wysiłkiem intelektualnym.

Dużo w tym spektaklu mroku, jakby zaburzenie w ten obszar otworzyć nam miało dostęp do tej duchowej sfery egzystencji, pokreślić regresywność, może wyjaśnić część niepokojów wewnętrznych człowieka. Z kolei rozświetlone sceny symbolizują zapewne rozproszenie, życiowe zagubienie bohaterów, co widać chyba najlepiej w zachowaniach świty Wolanda. Odsuwając na bok diabelskie sztuczki Azazello (Mateusz Wojtasiński), kota Behemota (Grzegorz Margas) czy Korowiowa (Adam Myrczek), a nawet zjawiskową Helę (Oriana Soika), patrzymy po prostu na ludzi, zagubionych w istnieniu, mierzących się nieustannie z cieniami własnych złudzeń, cierpień, przekonaniem o istnieniu wyższej instancji, diabelskiej, boskiej, która kreśli plan człowieczej drogi przez życie. Odnajdziemy tych wędrowców na Patriarszych Prudach, na wielkim balu u Szatana, w Teatrze Variétés, czy Domu Gribojedowa.

Warsicka zdaje się pokazywać w tym osobistym czytaniu Bułhakowa owe cienie, pro-



foto. Dorota Koperska



jeckje wyrzutów sumienia, niespełnień ludzkich. Cień jest negatywnym odbiciem ciała, jego gorszą częścią. Gdy w wątku ewangelicznym cierpiący Piłat rozmawia z Jezusą, odnosimy wrażenie, że w słowach więźnia, który go fascynuje i odpycha, usłyszy prawdę o sobie, tę, której sam nie jest w stanie pojąć. Cóż więc jest prawdą? Pytanie pomiędzy narastającym bólem głowy a rozmyślaniami o śmierci wprawi go w zdumienie. A może raczej: Kimże w końcu jesteś? – mógłby, używając słów Fausta skierowanych do Mefisofelesa, zapytać sam siebie. Ale nie zapyta procurator Judei, eques Romanus, Poncjusz Piłat. Dlaczego? Odpowiedzi musi sobie udzielić każdy, kto zasiądzie na widowni.

Zresztą wątek biblijny, kontekst chrystologiczny w *Mistrzu i Małgorzacie*, a w szczególności sposób ukazania Jezui – przedstawionego w ludzkiej naturze, cierpiącego, cichego, upokorzonego, obdartego z atrybutów boskości – determinuje przebieg teatralnej narracji, sprawia, że mamy do czynienia z dialogiczną różnorodnością stylistyczną adaptacji dzieła literackiego.

Na szczęście pierwiastek nadziei niesie ze sobą historia Mistrza (Piotr Gajos) i Małgorzaty (Jagoda Krzywicka). Może, dla niektórych widzów, redukcja tego wątku w spektaklu może wywołać niedosyt, ale chyba był to świadomy zabieg reżyserki, który sprawił, że stał się on przez to bardziej wymowny. Ciekawie wypadł, może zupełnie przypadkowo, proces przenikania się tych postaci. Doskonała gra pary aktorów wcielających się w te role sprawiła, że pragnienie zatracenia się w miłości, jako sile ocalają-

cej z trudnych życiowych doświadczeń, zostało przedstawione w sposób bardzo przekonujący. Małgorzata, pełna miłości i poczucia życiowej krzywdy, zmierza u boku swego Mistrza, dla którego jest natchnieniem, nadzieją i ratunkiem, w stronę pełnego zespolenia. Rękopisy, co prawda nie płoną, ale co do uczucia, patrząc na Krzywicką i Gajosa, już takiej pewności nie mamy, stąd chyba historia tej szczególnej miłości, którą ukazał Bułhakow, staje się tutaj kluczem do wyjaśnienia źródeł wszelkiego zła, egoizmu, jaki istnieje na ziemi.

Pomaga w tym, a czasem inspirująco przeszkadza muzyka Karola Nepelskiego nawiązująca do Pasji według św. Jana i św. Mateusza, wykonywana w spektaklu przez kwartet smyczkowy i chór. Na pew-

no nie jest ilustracją, raczej komentarzem do poszczególnych scen, niczym w tragedii greckiej towarzyszy zdarzeniom i postaciom. Bardzo ciekawie w tym kontekście wypada ascetyczna scenografia Marcina Chlady, przez zgeometryzowane formy płaszczyzn, na których poruszają się aktorki, tworzy coś na kształt obrazu przekrzywionego świata, w którym obowiązują odwrócone wartości i reguły, a całość została nakryta dziwną szarą chmurą z papieru, przygniatającą wszystko, co oglądamy swym mrocznym cieniem.

Bielska adaptacja powieści Bułhakowa przynosi bezspornie nowe ujęcie znanych powszechnie problemów. Obraz ludzkiego ducha i umysłu ulegającego działaniu sił wyższych oraz zdarzeń niewyraźnych w epiycznym ujęciu zostały przez autorkę adaptacji poddane weryfikacji za sprawą umieszczenia ich w uniwersalnym kontekście społecznym. Może wszystkim nam potrzebne jest takie lustro, aby w świecie pozbawionym złudzeń dostrzec również własne, zamazane, niepewne odbicie. I nie jest pewne stwierdzenie, że otrzymaliśmy w tym spektaklu portret naszej rzeczywistości, że postaci z powieści genialnego pisarza, który nigdy jej nie zobaczył, bo ukazała się 26 lat po jego śmierci, przypominają te w zasięgu naszego wzroku. Może tylko chodziło o to, aby nam przypomnieć, że istnieją mimo zagubienia człowieka, wszystkich jego kłopotów z życiem, odwieczne, niezmiennie wartości, trzeba tylko podjąć próbę, aby je w sobie odnaleźć i zdążyć przed ustawicznym przemijaniem czasu oraz wiecznością, do której zmierzamy. ■

Mistrz i Małgorzata
reż. Małgorzata Warsicka
Teatr Polski w Bielsku-Białej
Premiera 6 października 2019



foto. Dorota Koperska

17 czerwca 2018, po trwającej ponad 1,5 roku gruntownej modernizacji – Zagłębiowska Mediateka – instytucja na miarę XXI wieku, otworzyła swoje podwoje, by świadczyć usługi mieszkańcom miasta i regionu śląsko-zagłębiowskiego. Nie zawiodła oczekiwań, ba zaskoczyła nawet największych sceptyków, jeśli wierzyć entuzjastycznym ocenom i komentarzom naszych czytelników. Wykonanie termomodernizacji i wieloetapowej przebudowy budynku oraz dostosowanie go do potrzeb najbardziej wymagających użytkowników, dało szansę na wzbogacenie oferty i znaczne rozszerzenie możliwości biblioteki. Idea, którą kierowali się architekci z Pracowni Projektowej AiM Arkadiusz Miśkiewicz z Katowic, było stworzenie przestrzeni publicznej, która stanie się przestrzenią ogólnodostępną, przyjazną, inspirującą mieszkańców do częstych odwiedzin, dostosowaną do obecnych trendów projektowych.

Aktualnie, Zagłębiowska Mediateka to 6,5 tys. m² powierzchni, czyli ponad 2 razy więcej niż przed remontem. Modernizacja i wyposażenie dofinansowane zostało ze środków funduszy europejskich. Nowoczesne, funkcjonalne wnętrza urzeka przestrzenią i oryginalnym designem. W Mediatece, poza dyrekcją i działami wewnętrznymi, funkcjonują: Wypożyczalnia, Czytelnia, Świat Nauki i Fantazji, Zagłębianna, Multimedia, Informatorium, Oranżeria Kulturalna, Aula, galerie i dziedzińiec z tarasem. Z ogromną radością i nieskrywaną dumą przyjęto wiadomość, że Zagłębiowska Mediateka została laureatką 23. edycji Ogólnopolskiego Otwartego Konkursu Modernizacja Roku & Budowa XXI wieku w kategorii „Biblioteki i Mediateki”. Mediateka została także doceniona przez jury Konkursu na Najlepszą Przestrzeń Publiczną Województwa Śląskiego, które przyznało Mediatece Nagrodę Marszałka Województwa Śląskiego w kategorii obiekt użyteczności publicznej. Szczególnie miłym wyróżnieniem była nagroda internautów, czyli głosy zadowolonych i przychylnych użytkowników.

Nowa odsłona zobowiązuje [Wszystkie śródtytuły tekstu pochodzą z zamieszczonych w mediach społecznościowych komentarzy czytelników.]

Multimedialne rozwiązania i nowe technologie wspierają i wzbogacają, nie tylko ofertę kulturalno-informacyjną, ale ułatwiają codzienny dostęp do zbiorów. Nowoczesne narzędzia i atrakcyjne miejsca, z jednej strony służą promocji, a z drugiej wykorzystywane są w codziennej pracy z użytkownikiem, umożliwiają organizację ciekawych imprez i ułatwiają przygotowanie kreatywnych zajęć, szczególnie dla młodego czytelnika, na którym bardzo bibliotekarzom zależy. Bogate wyposażenie i nowe funkcjonalności umożliwiają szeroko pojętą wygodę, większą dostępność i mają mniej ograniczeń np. czasowych czy technicznych.



Zagłębiowska Mediateka

Modernizacja Roku i Najlepsza Przestrzeń Publiczna

ANETA WCISŁO

Zdobiąca elewację, niezwykle oryginalna i efektowna Wirtualna Książka ułatwia promocję i komunikację z mieszkańcami miasta. Ta pierwsza w Polsce interaktywna tablica w postaci książki, została umieszczona na elewacji zewnętrznej budynku Mediateki. Wirtualna Książka to dwa olbrzymie ekrany ledowe, sterowane przez użytkowników za pomocą panelu dotykowego. Każdy zainteresowany może przewracać wirtualne kartki jednym gestem. Książka prezentuje zapowiedzi aktualnych wydań kulturalnych, fotorelacje z życia biblioteki oraz najważniejsze komunikaty, także lokalne. Wchodząc w przestrzeń miejską, budzi większe zainteresowanie wśród mieszkańców niż tradycyjne formy przekazu. Jest doskonale widoczna z różnych punktów: z przystanku autobusowego, ze skwerku, traktu pieszego, szczególnie efektownie prezentuje się po zmierzchu, przyciąga uwagę feerią kolorów.

Budynek Mediateki jest atrakcyjnie podświetlony dzięki zastosowaniu kolorowych pasków ledowych, sterowanych automatycznie przy pomocy zegara. W zależności od okoliczności można zmieniać iluminację. W dniu inauguracji, oprócz standardowego podświetlenia, budynek ożył dzięki efektownemu wieczornemu pokazowi mappingu.

Każdy czytelnik albo przechodzień, który zdecyduje się stanąć przez chwilę w wyznaczonym, podświetlonym miejscu przed bu-

dynkiem Mediateki, może wysłuchać fragmentów wybranych audiobooków. Dzięki połączeniu głośnika kierunkowego z czujnikiem ruchu, ten moment wypełnią emitowane fragmenty książek w wersji audio. Trzy podświetlone punkty odsłuchu oznaczone są symbolem stóp. Do odsłuchu wykorzystuje się nagrania ze strony wolnelektury.pl.

Książkomat i wrzutnia to innowacyjne rozwiązania dedykowane wszystkim zabiegającym czytelnikom, czynne 24h na dobę. Dzięki książkomatowi, do którego dostęp zapewnią zbliżeniowa karta biblioteczna, można zamówić książki i zbiory specjalne (płyty, audiobooki, filmy) i odebrać je w dowolnym, dogodnym dla siebie terminie. Posiada czterdzieści trzy estetyczne skrytki i łatwy w obsłudze panel. Działa podobnie jak znany wszystkim paczkomat, jest jedną z funkcjonalności systemu PROLIB. Oddawanie zbiorów też nie stanowi już problemu, o każdej porze można skorzystać z wrzutni znajdującej się w sąsiedztwie książkomatu. Czytelnicy bardzo szybko polubili tę formę interakcji z biblioteką, co znajduje odzwierciedlenie w statystykach wypożyczeń.

Wiecie, że mamy najfajniejszą bibliotekę?! Obecnie Mediateka to cztery doskonale współpracujące poziomy. Kondygnacja przyziemia, czyli poziom -1, to strefa techniczna. Zaprojektowano tu część magazynową księgozbioru i prasy archiwalnej oraz

pomieszczenia magazynowe sprzętu i wyposażenia. Wszystkie poziomy łączą dwie windy: osobowa, z której widoczna jest panorama budynku oraz towarowa, służąca do transportu zbiorów.

Na parterze budynku (poziom 0) zlokalizowano przestronne lobby z przestrzenią ekspozycyjną zwaną „Galerią Pod Świetlikiem”, którą zdobi niezwykle oryginalna „żywa zielona ściana”, przebiegająca przez trzy kondygnacje budynku. Na poziomie 0 usytuowano Wypożyczalnię dla dorosłych z wydodrębnioną strefą książki obcojęzycznej, Multimedia dla dorosłych z pokojem pracy indywidualnej, punkt informacyjny z szatnią, salę szkoleniową, kawiarnię oraz wielofunkcyjną aulę.

W części centralnej poziomu 1 zaadaptowano patio na Oranżerię Kulturalną, włączając je do strefy wewnętrznej budynku poprzez przykrycie szklanym dachem, który doświetla wszystkie kondygnacje i sprawia, że strefa zewnętrzna i wewnętrzna przeplatają się. Ponadto, znalazły tu miejsce: Czytelnia centralna (ksiegozbiór podręczny i prasa), Informatorium (bibliografie i inne wydawnictwa informacyjne, dostęp do wirtualnej wypożyczalni Academica), Zagłębiania (zbiory regionalne dotyczące Zagłębia Dąbrowskiego) i kolorowy, efektowny Świat Nauki i Fantazji, czyli strefa młodego czytelnika. Natomiast we wschodniej części piętra zlokalizowano część administracyjno-biurową (dyrekcja MBP).

Poziom 2, to pomieszczenia biurowe działów: Gromadzenia i Opracowania Zbiorów, Instruktażu i Promocji, Informatycznego, a także pokój narad i pracowni: plastyczna i techniczna (serwerownia). Atrakcją jest balkon z przeszkloną balustradą, z którego doskonale prezentuje się panorama Mediateki.

Teren przed Mediateką, to kolorowe betonowe prostokąty, ułożone w różne poziomy, które są doskonałym miejscem do uprawiania skateboardingu. Znalazły tu także miejsce drewniane leżaki miejskie, stojaki na rowery i pylon informacyjny.

Nowoczesność i postęp, to zmiany, na które warto było czekać!

Dzięki dofinansowaniu z amerykańskiej Fundacji Timkena, wartemu 24 tys. dolarów,

otwarto pokój pracy indywidualnej ze specjalistycznym stanowiskiem komputerowym dla osób niewidomych i niedowidzących. W ramach projektu zakupiono m.in. powiększalnik; syntezytor mowy (multilektor Sara); linijkę brajlowską, czyli monitor przekształcający informacje tekstowe i graficzne, pojawiające się na ekranie, na znaki alfabetu Braille’a. Stanowisko zostało również wyposażone w niezbędny do prawidłowego funkcjonowania komputer stacjonarny i słuchawki. Tak przygotowana strefa dla osób z dysfunkcją wzroku dopełnia ofertę Mediateki i sprawia, że zasoby biblioteczne są dostępne dla wszystkich mieszkańców Sosnowca i regionu, bez względu na ich zdrowotne ograniczenia. Warty odnotowania pozostaje fakt, że pokój pracy indywidualnej przystosowany został również do wymagań czytelników pełnosprawnych, poszukujących jedynie możliwości spokojnej pracy w ciszy i odosobnieniu.

Do dyspozycji użytkowników oddano również nowoczesną salę audiowizualną z 197 wygodnymi fotelami, wyposażoną w ekran o wymiarach 4x5 m, nagłośnienie stereo, podwieszany sufit akustyczny, projektor multimedialny, podświetlenia schodów, scenę, garderobę, szatnię. Aula stanowi idealne miejsce do organizacji projekcji filmowych, wykładów, konferencji, prezentacji multimedialnych, koncertów akustycznych, benefisów, spektakli i przeglądów teatralnych. Jednym ze sztandarowych projektów, o którym warto wspomnieć, jest „Kino w bibliotece”, czyli cykliczne spotkania poświęcone wybranym zagadnieniom sztuki filmowej. To projekt mający na celu edukację filmową publiczności z terenu miasta i regionu. Cotygodniowe projekcje skupiają komplety widzów zainteresowanych ambitnym repertuarem z zasobów polskiej i światowej kinematografii. Zaplanowano także wersję letnią projektu, czyli pokazy plenerowe. Dzięki pozyskaniu funduszy z budżetu obywatelskiego Mediateka zakupi telebim wraz z nagłośnieniem, który umożliwi projekcje plenerowe w ramach „Kina w ogrodzie”.

Świat Nauki i Fantazji, czyli Labirynt Książek i Multimedia tworzą przestrzeń, w której najlepiej czują się młodzi czytelnicy

Mediateki. Kolorowe meble i tęczo-we regały tworzą wnętrze, gwarantujące komfort i bezpieczeństwo. Bogato wyposażone, oferują nie tylko rozrywkę, ale służą edukacji i poznawaniu nowych technologii, rozwijają twórcze myślenie i wyobraźnię. Są stałym miejscem spotkań, przestrzenią do realizacji nowatorskich scenariuszy zajęć edukacyjnych, warsztatów, przygotowywanych we współpracy z lokalnymi partnerami. Użytkownicy mają do dyspozycji multimedialne urządzenia i zabawki, ale i bogate, różnorodne zbiory. Na wyposażeniu znajdują się: tablica multimedialna; dotykowy stół multimedialny, doskonały do wspólnej zabawy i gier; podłoga interaktywna, która umożliwia zintegrowanie aktywności fizycznej z obrazem; konsole do gier Play Station 4 i XBOX ONE z kinem i padem; telewizor; okulary VR i kontroler ruchu oraz kamera. Zainteresowani robotyką mają dostęp do interaktywnego robota JIMU, który rozwija logiczne myślenie, widzenie przestrzenne, zdolności namlulane i konstrukcyjne, wprowadza w procesy programowania. Na dzieciaki czekają kreatywne zestawy klocków K’NEX, umożliwiające budowanie przestrzennych konstrukcji i ruchomych mechanizmów. Ponadto, użytkownicy mogą korzystać z ponad 200 gier elektronicznych i planszowych: edukacyjnych, przygodowych czy historycznych, wypożyczanych również do domu.

Oranżeria Kulturalna ulokowana w samym sercu Zagłębiowskiej Mediateki, tuż pod pięknym świetlikiem, to przestrzeń z wygodnymi kanapami, fotelami i stoliczkami kawowymi. Idealna, by przysiąść na krótszą lub dłuższą chwilę z książką lub gazetą, porozmawiać ze znajomymi, zastanowić się nad wyborem kolejnej lektury, powtórzyć materiał do kolokwium lub poczeekać na pociechy korzystające w tym czasie z oferty Krainy Nauki i Fantazji. W Oranżerii organizowane są także różnorodne wydarzenia kulturalne.

Fantastycznie, że już jesteście!

Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom mieszkańców miasta i regionu Zagłębiowska Mediateka wydłużyła godziny otwarcia, od poniedziałku do piątku do godziny 20.00, a w sobotę do 17.00. Często też spotykamy się z naszymi czytelnikami w niedzielę, proponując koncerty, pikniki, giełdy czy spotkania autorskie. Podsumowując, dzięki wykorzystaniu nowych mediów, skorzystaniu z innowacyjnych rozwiązań architektonicznych, dzięki otwartości na potrzeby czytelnika i świetnej pracy zespołowej całej kadry, udało się stworzyć miejsce przyjazne, harmonijnie łączące nowoczesność z tradycją, gdzie obok amatorów nowych technologii również dobrze odnajdują się miłośnicy dobrych książek. ■

Aneta Wcisło – kierownik Zagłębiowskiej Mediateki w Sosnowcu

fot. arch.



Sonety Krymskie Stanisława Moniuszki?!

JAN MALICKI

Mijający właśnie rok poświęcony jest postaci niezwyklej, zasłużonej, rozpoznawalnej acz niedocenianej. Bo on ci nasz, krajowy, jeśli wędrujący po świecie, to powracający i na dodatek, któremu przyszło żyć i tworzyć w trudnych latach: między – i popowstaniowych XIX wieku, pełnych oskarżeń i rozliczeń, zemsty.

Ten jubileusz przypomniał mi niewielką książeczkę wydaną przez „sekcję im. S. Moniuszki przy Towarzystwie Muzycznym w Warszawie” w czerwcu 1897 roku. W samo czterdziestolecie prawykonań dzieła, w dniu 16 lutego 1868 roku „na własnym koncercie Moniuszki”.

Lecz mnie Mickiewiczowsko – Moniuszkowskie *Sonety krymskie* kojarzą się z otwarciem nowo wybudowanego gmachu Biblioteki Śląskiej, kiedy to w końcu roku 1998 orkiestra Filharmonii Zabrzeńskiej pod kierunkiem Sławomira Chrzanowskiego z wspaniałym chórem Rezonans con Tutti i recytacjami niezapomnianego Andrzeja Lipskiego wykonała tę kantatę. Był to – czytamy w historii chóru – „hit sezonu”. Koncert był przygotowywany w oparciu o partyturę „na Chór czterogłosowy mieszany z towarzyszeniem Orkiestry”. Partytura, znajduje się w zbiorach Silesianki.

W kolejności był to drugi tak ważny i – w moim odczuciu – dostoyny koncert w Bibliotece. Pierwszym był, o miesiąc wcześniejszy, koncert Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, towarzyszący otwieranej właśnie nowej siedzibie Książnicy. Wkrótce okazało się, iż był to ostatni, dyrygowany przez Stanisława Hadynę publiczny koncert. 24 października 1998 roku niezwykle mocno zabrzmiał więc: *Mazurek Dąbrowskiego*, hymn *Gaude Mater Polonia* i pieśń *Bogurodzica*.

Moniuszko był zatem drugi, choć równie ważny, a na dodatek uhonorowany reprintem 12 eg-

zemplarzowym, numerowanym i kilkudziesięcioma egzemplarzami nie numerowanymi przekazanymi uczestnikom tego niezwyklego koncertu.

Biorąc jednak do ręki historyczny egzemplarz partytury uderzyły, zafrapowały i zaciekały mnie inicjalne zdania komentarza. Autor pisał: „*Na Sonety Krymskie*”, jak je obecnie ogółowi krajowemu i zagranicznemu podajemy, złożyły się dwa gienjusze polskie; Mickiewicz i Moniuszko. Zdaniem estetyków, tekst *Sonetów* jest najpiękniejszym utworem poety naszego; to samo mówią znawcy o muzyce, w którą Moniuszko przyoblekł słowa wieszca. Tak więc w *Sonetach* bratnią dłoń podają sobie nie tylko największy mistrz poezji polskiej mistrzowi muzyki polskiej, lecz kojarzą się w nich najpiękniejsze utwory obu arcymistrzów. Niestety, dzieło Moniuszki zbyt mało jest znane w kraju, a tem mniej za granicą”.

To rodzaj intelektualnej prowokacji. Gdyż przypominając dokonania twórcze Arcypoety przez znawców i interpretatorów, jedynie na marginesie przywoływane są konteksty kulturowe dopełniające dokonania poetyckie wieszca. Szczególnie fascynujące wciąż jeszcze może być przesłedzenie ich u innych artystów, wypowiadających się w innych językach artystycznej ekspresji, nie tylko poprzez imitacyjne przetwarzanie cytatów, kryptocytatów, nawiązań, ale i swoistą kulturową osmozę między wielką literaturą wrastającą w kulturę codzienności, a sferą współkreowania nowych jakości, świata własnych przekonań i wartości estetyczno- intelektualnych. To one stają się znakiem rozpoznawczym każdego z nas.

Z drugiej jednak strony stosunek do arcywartości akceptowanych lub negowanych pozwala dopełnić każdemu twórcy swoją artystyczną rozpoznawalność o zawsze patchworkowe mierzenie się z przeszłością.

I tak właśnie stało się ze spuścizną Adama Mickiewicza. Mickiewicz był powszechnie znany. Mimo iż krąg codzienności był bardziej odległy niż rzeczywistość Warszawy, Wilna, Krakowa czy Lwowa. W „Dzienniku Górnosiąskim” wydanym w Bytomiu w latach 1848–1849 pojawiła się informacja o nowym wydaniu poezji Litwina. I już wszyscy wiedzieli kim był ów Litwin. Dwie dekady później wrocławscy akademicy Górnosiąscy, studiując polską literaturę, sięgali – a jakże – po twórczość Mickiewiczową.

Powszechna znajomość dokonań literackich Arcypoety nie tłumaczył swoistej i odrębnej drogi fascynacji, jaką przeszedł Stanisław Moniuszko. Jej prapoczątków upatrywałbym w czasach dzieciństwa, kiedy jako pięcioletni chłopak otrzymał magiczną dla wielu pokoleń książkę Juliana Ursyna Niemcewicza *Śpiewy historyczne*, nawią-

zującą tematycznie do pisanych od Średniowiecza, po XIX wiek, katalogów władców Polski. Pod piórem Niemcewicza było to jednak nie tylko kompendium wiedzy historycznej, ale nade wszystko znakomity tekst literacki. Kontakty Niemcewicza z Mickiewiczem zostaną nawiązane w Moskwie dopiero w 1827 roku. Moniuszko wówczas będzie miał osiem lat. Jednak owe pośrednie ślady Mickiewiczowskie łączy postać preceptora, nauczyciela Stasia – Jakuba Jagiello, zresztą kolegi Adama Mickiewicza z okresu studiów. Nie wiemy, czy Jagiello był członkiem Towarzystwa Filomatów i czy słuchał wykładu o dumie jako gatunku literackim. Czy słuchał o Niemcewiczu? A jeśli Jagiello słuchał Adama, to co mówił Stasiowi o koleździe?

Jednak dopiero jako młody, niemal trzydziestoletni mężczyzna, wyraźnie ujawnia swoje za-fascynowanie twórczością wieszca. Szczególnie małymi formami poetyckimi. W 1837 roku udaje się na studia do Berlina.

Tutaj też publikuje *Trzy śpiewy* do słów Adama Mickiewicza (*Sen*, *Niepewność*, *Moja pieczętka*). Zastanawiam się, czy Moniuszko wiedział o berlińskim pobycie Arcypoety z roku 1829 i jego kontaktach ze środowiskiem kompozytorskim. No, i oczywiście z ówczesną polonią. Wszak przebywał tu znakomity Wojciech Cybulski, wkrótce berliński i wrocławski profesor sławistyki. Jednak nie ten okres decydująco wpłynął młodego twórcę.

Dopiero bowiem *Śpiewnik domowy* ujawnił w pełni preferencje estetyczno-artystyczne Stanisława Moniuszki. Co więcej, przyniósł satysfakcję i rozpoznawalność wśród odbiorców – adresatów. W ogłoszanych zbiorach pieśni do słów wybitnych współczesnych jemu poetów (tak na marginesie dodam, iż mnie zachwycił *Tren X* Jana Kochanowskiego, a więc wcale nie współczesnego S. M. twórcy), jednak wysoko cenionych.

Już w pierwszym zbiorze znajdzie się oczywiście i Mickiewiczowa *Świtezianka*, i *Dziad i baba* Kraszewskiego, i *Panicz i dziewczyna* Odyńca. W sumie w 12 *Śpiewnikach domowych* znalazło się aż 268 pieśni. Niesamowite. Sześć zbiorów ukazało się jeszcze za życia. Ale dla tropiciela Mickiewiczowskich śladów w spuściznie Moniuszkowskiej ważny jest ostatni za życia wydany tom, zawierający aż siedem utworów na głos i fortepian, oczywiście do słów Poety.

Badacze zresztą już dawno zwrócili uwagę na ważność właśnie tego cyklu dla kultury narodowej. One to bowiem „obejmują ponad 200 pieśni (od siebie dodam – 268 . JM), wśród nich najpopularniejsza jest *Przysłowiczka*, stanowiąc wartościowy kontrpunkt do romantycznej twórczości pieśniowej Franciszka Schuberta i Roberta Schumanna”.

W drugą rocznicę wybuchu powstania styczniowego w roku 1865 Moniuszko tworzy *Widma* oparte na Mickiewiczowych *Dziadach*. Wystawione w Warszawie i we Lwowie wzbudzają aplauz publiczności. W dwa lata później, w 1867 roku, tworzy *Sonety Krymskie*, wystawione w lutym roku następnego.

A ćwierć wieku później ukaże się edycja, z której jeden egzemplarz spoczywa w Bibliotece Śląskiej w Katowicach. ■





Drodzy Czytelnicy!

Zapraszamy do zaprenumerowania miesięcznika „Śląsk” na 2020 rok!

Wystarczy wyciąć i wypełnić zamieszczony obok blankiet, a następnie dokonać przelewu na wskazane konto.

*

Prenumerata redakcyjna gwarantuje systematyczną dostawę pisma do osoby zamawiającej!

*

Cena prenumeraty, podobnie jak cena pojedynczego egzemplarza nie ulega zmianie!

*

Prenumerata roczna – 84 złote
Prenumerata półroczna – 42 złote
Prenumerata kwartalna – 21 złotych

*

Cena jednego egzemplarza wynosi 7 złotych.

*

Dziękujemy wszystkim dotychczasowym prenumeratorom, zapraszamy nowych!

*

„Śląsk” ukazuje się przez 12 miesięcy w roku.

*

Zachęcamy także do odwiedzenia strony internetowej www.slaskgtl.com

*

POLEĆ „ŚLĄSK” SWOIM ZNAJOMYM I PRZYJACIOM – WSZYSTKIM, KTÓRYCH INTERESUJE ŚLĄSK!



odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

nazwa odbiorcy	GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
nazwa odbiorcy cd.	UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE
I.L. nr rachunku odbiorcy	08203000451110000004079490
nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)	W P P L N
nazwa zleceniodawcy	
nazwa zleceniodawcy cd.	
tytułem	PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA
tytułem cd.	„ŚLĄSK”
Opłata:	<div style="border: 1px solid black; width: 50px; height: 50px; margin: 0 auto; border-radius: 50%;"></div>
pieczęć, data i podpisy(ły) zleceniodawcy	

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

nazwa odbiorcy	GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
nazwa odbiorcy cd.	UL. JULIUSZA LIGONIA 7, 40-036 KATOWICE
I.L. nr rachunku odbiorcy	08203000451110000004079490
nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)	W P P L N
nazwa zleceniodawcy	
nazwa zleceniodawcy cd.	
tytułem	PRENUMERATA MIESIĘCZNIKA
tytułem cd.	„ŚLĄSK”
Opłata:	<div style="border: 1px solid black; width: 50px; height: 50px; margin: 0 auto; border-radius: 50%;"></div>
pieczęć, data i podpisy(ły) zleceniodawcy	

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:
Anna Gaitoer
Joanna Kotkowska

O Śląsku w Częstochowie

CZĘSTOCHOWA. 100. rocznica powstań śląskich to doskonała okazja, by zapoznać się z wielokulturową historią, ale i współczesnością województwa. Jednym z wydarzeń była rozmowa dr Elżbiety Wróbel z prof. Marianem Kisielem zatytułowana *Odczytywania Śląska. Nie tylko o literaturze międzywojennej*. Odbędzie się ona 26 września w Regionalnym Ośrodku Kultury w Częstochowie.



fotografia własna

W niezwykle erudycyjnej i ciekawej opowieści, której podstawą była literatura XIX i XX wieku, zapoznano częstochowian z najważniejszymi autorami i społeczno-kulturowymi okolicznościami ich życia. W rozmowie wskazano dzieła budujące śląską świadomość, m.in. poemat *Stary Kościół Miechowski* księdza Norberta Bonczyka, poemat Wilhelma Szewczyka *Hanyś* czy *Pogrzeb Korfaniego* tego autora. Oczywiście, nie mogło się obyć bez Karola Miarki i Wojciecha Korfaniego. W rozmowie przypomniano także korzenie współczesnych problemów Śląska, gdy w międzywojniu region stał się częścią odrodzonej Rzeczypospolitej.

Nie było to pierwsze działanie ROK-u upamiętniające 100-lecie powstań śląskich. Już w czerwcu przygotowano tam wystawę *Udział częstochowian w Powstaniach Śląskich* złożoną z dokumentów ze zbiorów Działu Historii Muzeum Częstochowskiego. Upamiętniono wówczas m.in. Bronisława Nowakowskiego, Franciszka Czarneckiego, Stefana Cudaka, Franciszka Cebę, Władysława Tyflewskiego, Władysława Pietrykę czy Klemensa Jędrzejczyka.

Częstochowskie Galle rozdane

CZĘSTOCHOWA. W tym roku po raz pierwszy przyznano częstochowskie nagrody teatralne za sezon 2018/2019. Statuetkę oraz nagrodę finansową ufundował Urząd Miasta Częstochowy. Nazwa nagrody pochodzi od Iwo Galla, dyrektora i reżysera Teatru Miejskiego w latach 1932–1935, wywodzącego się z Reduty Juliusza Osterwy i Mieczysława Limanowskiego. W latach trzydziestych silnie oddział na życie teatralne miasta, podejmując szereg inicjatyw. Laureatów nagrody przedstawia prezydentowi kapituła działająca przy Urzędzie Miasta, złożona z przedstawicieli środowisk nauki, kultury i mediów, a najlepszy spektakl wskazuje publiczność w powszechnym głosowaniu.

Za najlepszą rolę żeńską uznano Panią Venable Agaty Ochoty w spektaklu *Nagle, zeszłego lata* Tennessee Williamsa w reżyserii Krzysztofa Knurka. Najlepszą rolą męską okazał się Merkin Waldemara Cudzika w *Poniżej pasa* Richarda Dressera w reżyserii André Hübnera-Ochodlo. Spośród twórców związanych ze środowiskiem teatralnym Częstochowy wyróżniono Wojtkę Kowalskiego za spektakl *Miłość – uwolnić słowa*. Najlepszym spektaklem sezonu publiczność uznała przedstawienie *Czyż nie dobija się koni?* w reżyserii Magdaleny Piekorz.

Pamięci Zuzanny Ginczanki

CZĘSTOCHOWA. 26 października w Filii nr 9 Biblioteki Publicznej odbył się Salon Poezji przygotowany przez artystów związanych z Teatrem im. Adama Mickiewicza. Bohaterką wieczoru była Zuzanna Ginczanka, poetka zamordowana w czasie II wojny światowej, zaprzyjaźniona z najbardziej znanymi twórcami Dwudziestolecia. W międzywojniu wydała tylko jeden tomik wierszy, a satyryczne utwory publikowała m.in. na łamach „Szpilek”. Weszła w krąg literatów, gdy w wieku 17 lat za namową Juliana Tuwima wzięła udział w konkursie i otrzymała wyróżnienie.

Wiersze Ginczanki prezentowali Hanna Zbyryt oraz Marek Ślosarski. Dwugłos pokazał odmienne oblicza tej poezji wadzącej się ze współczesnością i poszukującej definicji świata. Można było usłyszeć młodzieńcze emocje, ale również ironię i refleksyjność. Prezentacja została uzupełniona piosenkami w wykonaniu Hanny Zbyryt z akompaniamentem Olgi Piotrowskiej, m.in. *Odrobina szczęścia w miłości* (1934, muzyka Jerzy Petersburski, słowa Emanuel Schlechter), *Kolęda warszawska* (muzyka Zbigniewa Preisnera do tekstu Stanisława Balińskiego) czy *Tylko mnie poproś do tańca* (muzyka Wanda Żukowska, słowa Bogdan Olewicz). Wiadomości o poetce, relacje jej znajomych i bliskich czytała Teresa Dzielska. Nad akustyką i światłami czuwali pracownicy Teatru.

W czasie spotkania można było zakupić książkę Jarosława Mikołajewskiego *Cień w cień. Za cieniem Zuzanny Ginczanki* (2019).

Jubileusz Bogusława Lustyka

CZĘSTOCHOWA. Miejska Galeria Sztuki przyzwyczała nas już do świętowania wraz z polskimi artystami. Z okazji 60-lecia pracy artystycznej Bogusława Lustyka przygotowano wystawę *Rytmy życia*, której wernisaż odbył się 12 września. Jubilat jest absolwentem warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Dyplom uzyskał w pracowni plakatu Józefa Mroszczaka oraz pracowni malarstwa Jerzego Tchórzewskiego. Uprawia malarstwo, rzeźbę, grafikę użytkową. Współpracuje m.in. z Teatrem Wielkim Operą Narodową w Warszawie, Narodowym Muzeum Tańca w Saratoga Springs w USA, Muzeum Mazowieckim w Płocku. W 1998 roku został oficjalnym artystą Kentucky Derby. Poza tym jego prace pokazywano na olimpiadach w Atlancie, Barcelonie i Londynie, gdzie zrealizował

projekt *Malowana kronika olimpiady*, za co został wyróżniony srebrnym wawrzynem PKOl.

Wystawa prezentowała rozmaite obszary działalności artysty. W Sali Poplenerowej pokazano plakaty, w Atresoli prace o powstaniu warszawskim (pochodzące z cyklu *Dziś idę walczyć*, *Mamo* czy *Powstańcze szaniec*), w Sali Gobelinowej m.in. *Exodus*, ale również prace przedstawiające najbardziej charakterystyczne motywy tej twórczości. Wśród rozmaitych technik można było zobaczyć autorską technikę *crush art*, czyli „krecję przez destrukcję”, polegającą na eksperymentowaniu odkształceniami i uszkodzeniami.

Festiwal Bachów

CZĘSTOCHOWA. W ostatni weekend września Filharmonia Częstochowska zaprosiła już po raz ósmy na spotkanie z muzyką dawną. Festiwal Bachów to doskonała forma popularyzowania muzyki czasów baroku oraz poszukiwania współczesnych nawiązań. Zaczęło się *Koncertem w dawnym stylu* w wykonaniu Orkiestry Filharmonii Częstochowskiej oraz Collegium Cantorum i solistów: Pauli Maciołek (sopran), Agnieszki Monasterskiej (alt), Jakuba Pawlika (tenor), Jacka Ozimkowskiego (bas). W programie znalazły się *Msza A-dur* Jana Sebastiana Bacha, *Koncert staropolski* i *Tryptyk mariacki* Romualda Twardowskiego oraz *Trzy utwory w dawnym stylu* Mikołaja Henryka Góreckiego.

Dwa następne dni proponowały nieco inną stylistykę. W klubie Szafa Gra Fisherboyz, czyli Piotr Matula i Maciej Milczarek przygotowali performance *Seconda Pratica* oparty na elektronicznych brzmieniach. W kolejny wieczór Electric Offen Hider, czyli zespół Michała Walczaka, zaprosił na *Barock&Roll*, czyli standardy barokowe w rockowych i jazzowych aranżacjach.

CZĘSTOCHOWA. Krótko

*zagrali: Filharmonia Częstochowska – Michał Bajor, Kuba Badach, Irena Santor; OPK Gaude Mater – Dock in Absolute (w ramach Jazztochowy); Hala Sportowa – Halina Kunicka; Rura – Ostry i DJ Haem, Mikser x Logos; ACK Politechnik – Zbigniew Zamachowski; Galeria Jurajska – Lady Pank;

*wystawiali: Muzeum Częstochowskie – Cezary Dubiel, Andrzej Desperak; Wejściówka – Anna Herbuś; Konduktorownia – Piotr Olejarz;

**Jazzowe Tadeuszki* były okazją do świętowania 50-lecia Five O’Clock Orchestra;

*11 października w Kościele Rektorackim odbył się koncert przy świecach; wysłuchano utworów Haydna, Mozarta i Schuberta; dyrygował i grał na skrzypcach Jan Stanienda.

Katowicki „Ulisses”

KATOWICE. Po raz pierwszy pomiędzy kolejnymi edycjami Ogólnopolskiego Festiwalu Sztuki Reżyserskiej „Interpretacje” Katowice Miasto Ogrodów zaprosiło na Re-Interpretacje. 18 października znakomici znawcy twórczości Jamesa Joyce’a spotkali się z publicznością, żeby porozmawiać o jego największym dziele: *Ulissesie*.

Pretekst dała 50. rocznica pierwszego polskiego wydania książki Joyce’a. Dzieło, które okrzyknięte zostało najtrudniejszą książką świata, jest przede wszystkim jednym z najważniejszych dokonań europejskiego modernizmu. Ta nadksięga, posługując się całą gamą wyrafinowanych strategii narracyjnych, spleta w sobie szereg wątków egzystencjalnych, historyzoficznych i teologicznych. W wieloznaczny i fascynujący sposób rozważa kondycję i sens greckiego, żydowskiego i chrześcijańskiego dziedzictwa kulturowego.

Najważniejszym propagatorem twórczości Joyce’a w Polsce był tłumacz i pisarz Maciej Słomczyński. To on doprowadził

w 1969 roku do wydania *Ulissesa* po polsku. Nie było to zadanie proste. O skali trudności świadczy fakt, iż napisanie powieści zajęło Joyce'owi 8 lat, a tłumaczenie utworu na polski trwało cztery lata dłużej. *Ulisses* pełen jest pułapek stylistycznych i niuansów. Słomczyński musiał zaznajomić się z przebogatym materiałem faktograficznym, poznać dokładnie nie tylko biografię pisarza oraz historię Irlandii, ale również stare mapy, przewodniki, pocztówki czy książki, o których wspomniano w powieści.

Pół wieku po pierwszym wydaniu *Ulissesa*, próbę nowego przekładu podjął Maciej Świerkocki – tłumacz literatury angielskiej, pisarz, scenarzysta i krytyk literacki. Jak wygląda proces twórczy? Jakie pułapki czyhają na tłumacza? Czy jest on także autorem? Na te i wiele innych pytań starali się znaleźć odpowiedź uczestnicy Re-Interpretacji w piątek 18 października, na Scenie Kameralnej Teatru Śląskiego. W wydarzeniu wzięli udział: dr hab. prof. UJ Katarzyna Bazarnik, Krzysztof Bartnicki, dr hab. Leszek Drong, dr hab. prof. UŚ Zbigniew Kadłubek, dr Michał Kisiel oraz dr Maciej Świerkocki. Dyskusję poprowadził Filip Łobodziński. Fragmenty najnowszego przekładu *Ulissesa* czytał Artur Świąć, aktor Teatru Śląskiego. Liczna publiczność obejrzała także multimedialną adaptację *Finnegans Wake*, najbardziej szalonego dzieła Joyce'a, w reżyserii Katarzyny Bazarnik i Jakuba Wróblewskiego.

Relacja ze spotkania jest dostępna na portalu YouTube oraz stronie miasto-ogrodow.eu

Startuje projekt Archiwa Rodzinne Niepodległej

KATOWICE. Archiwa Państwowe rozpoczynają projekt „Archiwa Rodzinne Niepodległej”, którego celem jest zwrócenie uwagi społeczeństwa na unikalną wartość rodzinnych pamiętek i aktywne zaangażowanie w świętowanie 100. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości. Przechowywane w domowych zbiorach dokumenty, fotografie, albumy, pamiętniki, rękopisy, afisze, odznaczenia i inne pamiątki stanowią wyjątkowe świadectwo historii poszczególnych ludzi, rodzin i lokalnych społeczności. Nierzapomniane i podniszczone czekają na ponowne odkrycie, na poszukiwaczy rodzinnej historii – Rodzinnych Archiwistów, którzy otoczą je opieką i przywrócą im dawną świetność. W 33 archiwach państwowych, które swoim zasięgiem działania obejmują całą Polskę, uruchomione zostały punkty konsultacyjne, gdzie można uzyskać pomoc i fachową poradę na temat sposobów prowadzenia archiwum rodzinnego, w tym zabezpieczenia starych rodzinnych dokumentów i fotografii. Udośćpniiony zostanie tam m.in. poradnik traktujący o tym, jak opisywać, zabezpieczać, a także tworzyć cyfrowe kopie rodzinnych pamiętek. W każdym archiwum państwowym zaplanowano również warsztaty, gdzie zaprezentowane zostaną przez archiwistów m.in. sposoby porządkowania i opisywania archiwów rodzinnych, techniki samodzielnej konserwacji i digitalizacji materiałów archiwalnych, metody prowadzenia badań genealogicznych i odczytywania dawnego pisma. Archiwum Państwowe w Katowicach postara się przekazać niezbędną wiedzę o tym jak tworzyć archiwa rodzinne.

II Międzynarodowy Festiwal Open the door

KATOWICE. W Katowicach, najpewniej jedyny w tej części Europy zorganizowany został festiwal który oddaje głos wykluczonym i pomijanym, podczas którego mówi się głośno o tym, co boli, co wzrusza, co porusza. Festiwal, który nie dzieli sztuki na gatunki: w programie obok teatru dramatycznego jest teatr tańca, obok nowej sztuki cyrkowej – spektakle zupełnie pozbawione słów, a obok klasyki – odważny eksperyment. Festiwal, który nie dzieli artystów ze względu na ich życiorysy, ukończone szkoły i życiowe doświadczenia. Festiwal, który zamiast

czerwonych dywanów ma nutę hippisowskiej wolności, który wychodzi w przestrzeń miasta z tytułami, które śmieszają, wzruszają, a czasem nie pozwalają zasnąć. Jedyne znane od początku kryteria tego festiwalu to sztuka i jakość artystyczna. Dlatego w programie są m.in. tytuły, które prezentowano na takich prestiżowych wydarzeniach jak Czeska Platforma Tańca czy Festiwal Fringe w Edynburgu. W ciągu 9 dni zaprezentowano ponad stu artystów i ich spektakli:

Brawurowy w swej bezkompromisowej szczerości spektakl opowiadający o utracie pamięci, o demencji, odchodzeniu i niezgodzie na nie, o walce z czasem i człowiekiem, którego kochamy (**JAK ZATRZYMAĆ CZAS, PERKUSYJNA SOŁÓWKA O DEMENCJI**/Antosh Wojcik (Wielka Brytania)). Kilka małych platform, trampolina i czterech mężczyzn na scenie zabiegających o uwagę widzów. Akrobaci obserwują się nawzajem, oceniają, wpadają na siebie, potykają się, nieustannie szukając konfrontacji. Spektakl z Barcelony, na który składają się mikropowieści, to fascynująca opowieść złożona z obserwacji codziennego życia, by jak w kalejdoskopie pokazać wielość ludzkich relacji. (**inTARSI/Compañía de Circo “eia”** (Hiszpania)) „*Jeden gest*” to rzecz o językach migowych. To spektakl o porozumiewaniu się ze światem – światem słyszących i światem innych głuchych. Bo jeśli język określa rzeczywistość, jak podkreślali filozofowie, to czego możemy dowiedzieć się o świecie z języków głuchych? Co w ich doświadczeniach komunikacji jest uniwersalne, a co wyjątkowe? Jedno jest pewne: słowa zwykle nie wystarczają... (**JEDEN GEST/Nowy Teatr** (Warszawa)) Na ile przeszkody i problemy mogą być źródłem kreatywności? I jak to jest, kiedy na własnej skórze przetestujesz wszelkie możliwe granice swojego ciała? Osobista opowieść o doświadczeniu życia z jedną nogą, jedną protezą i dwoma kulami zawarta w solowym spektaklu tanecznym Markéty Stránskiej – choreografki, performerki i fizjoterapeutki. (**LEĆI/MARKÉTA STRÁNSKÁ** (CZECHY)) Ona czy On? Taneczna dokudrama i spektakl oryginalnie wykorzystujący komiksową narrację i estetykę street artu. Czeski spektakl, który odnosi się do tematów społecznego wykluczenia, tożsamości i samotności wyróżniony został m.in. prestiżową nagrodą „Best of Contemporary Dance Award” przez „Washington Post” i „Herald Angel Award” na Fringe Festival w Edynburgu (**ON/A NAZYWA SIĘ NANCY JOE/Tantehorse** (Czechy)) Polska prapremiera tekstu bytomianki M. Majok narodzonego w 2018 roku Pulitzerem. Intymna opowieść w reżyserii M. Bogajewskiej, dyrektorki Teatru Ludowego w Krakowie, która chce swoim spektaklem zapytać, co tak naprawdę znaczy „niepełnosprawność”. (**KOSZT ŻYCIA/Teatr Śląski** (Katowice)) Głośny spektakl, którego punktem wyjścia jest napięcie, jakie towarzyszyło protestowi osób z niepełnosprawnościami i ich rodziców w 2018 r. (**REWOLUCJA, KTÓREJ NIE BYŁO/Teatr 21** (Warszawa)) Przedstawienie o człowieku, tanerczu, który pewnego dnia budzi się w szpitalu po wypadku samochodowym, z którego tylko on ocalał. Wśród skanujących, testujących, robiących pomiary medycznych sprzętów na nowo odkrywa swoje ciało. Nowe ciało. I nowe życie. (**TAKI JESTEM, TERAZ/Marc Brew Company** (Wielka Brytania/Szkocja)) „*Wieloryb the Globe*” to tekst dedykowany Krzysztofowi Globiszowi, wybitnemu artyście filmowo-teatralnemu. Po udarce mózgu aktor powrócił na scenę i gra w przejmującym spektaklu o empatii, o wychodzeniu z choroby, o słowach i o tym, czego słowa nie są w stanie powiedzieć (**WIELORYB THE GLOBE/Teatr Łażnia Nowa** (Kraków)) Czworo młodych ludzi na scenie i głos Krzysztofa Globisza. Nagradzany krakowski spektakl stworzony przez osoby niesłyszące, niedosłyszące i słyszące oparty jest nieprzypadkowo na tekście „*Wojna w niebie*” J. Chaikina o przeżywaniu afazji. Spektakl został przetłumaczony na Polski Język Migowy w taki sposób, aby poetycka forma tekstu została zachowana, a jednocześnie była w pełni zrozumiała przez osoby głuche. (**WOJNA W NIEBIE/Fundacja Migawka** (Kraków)). Program uzupełniały wyjątkowo interesujące pokazy plenerowe oraz liczne imprezy towarzyszące. Ten festiwal powinien trwać, być kontynuowany i szeroko propagowany.

KATOWICE. Otwarto Parklet Teatralna 4. Czym jest parklet? To miejscowe poszerzenie przestrzeni dla pieszych w okolicy najczęściej zdominowanej przez samochody. Przy Teatralnej 4 zajmuje trzy miejsca parkingowe, otoczony jest zielenią, posadzoną przez Zakład Zieleni Miejskiej w Katowicach. Projekt wykonali studenci Wydziału Architektury Politechniki Śląskiej. Otwarcie Parkletu Teatralna 4 jest częścią Europejskiego Tygodnia Zrównoważonego Transportu. Projekt jest elementem programu KATOobywatel, realizowanego przez Urząd Miasta w Katowicach.

75. sezon artystyczny Opery Śląskiej w Bytomiu

BYTOM. Nowy sezon artystyczny Opery Śląskiej w Bytomiu 2019/2020 – jubileuszowy – rozpoczęty został Koncertem inauguracyjnym 75. sezon artystyczny. Artyści Opery Śląskiej oraz goście, zaprezentowali najsłynniejsze i najpiękniejsze arie z bogatego repertuaru teatru. Na Dużej Scenie wystąpili: Anna Borucka, Gabriela Gołaszewska (zwyciężczyni tegorocznej edycji Międzynarodowego Festiwalu i Konkursu Sztuki Wokalnej im. Ady Sari), Katarzyna Mackiewicz, Anna Wiśniewska-Schoppa, Andrzej Lampert, Maciej Komandera, Kamil Zdebel, Zbigniew Wunsch oraz chór, orkiestra i balet pod kierownictwem Francka Chastusse Colombier – kierownika muzycznego Opery Śląskiej w Bytomiu. Artyści zaprezentowali fragmenty z takich oper jak: „Halka” Stanisława Moniuszki, „Nabucco” Giuseppe Verdiego, „Romeo i Julia” oraz „Faust” Charles’a Gounoda, „Samson i Dalila” Camille’a Saint-Saënsa, „Norma” Vincenza Belliniego, „Carmen” Georges’a Bizeta, „Napój miłosny” Gaetano Donizettiego czy „Opowieści Hoffmana” Jacques’a Offenbacha.

Ex Silesia Lux.

KATOWICE. Na placu przy Teatrze Śląskim w Katowicach marszałek Jakub Chelstowski zainaugurował wystawę mobilną Ex Silesia Lux. To niezwykle przedsięwzięcie historyczne realizowane jest przez Instytucję Kultury Ars Cameralis w Katowicach w ramach obchodów 100-lecia Powstań Śląskich. Projekt historyczny Ex Silesia zakłada przybliżenie trudnej, burzliwej historii Górnego Śląska, z jego wzlotami i upadkami. Pomysł zrodził się z potrzeby powrotu do przeszłości i stworzenia swoistej relacji z przodkami, mieszkańcami Górnego Śląska, którym sto lat temu przyszło podjąć ryzyko i walczyć o własną tożsamość. Wystawa miała na celu przywrócić pamięć o tych zwykłych ludziach: mężczyznach, chłopcach, matkach i żonach, którym powinniśmy być wdzięczni za wysiłek włożony w przyłączenie do Ojczyzny. W roku setnej rocznicy wybuchu pierwszego Powstania Śląskiego złote kontenery przypominały o powstańczych zmaganiach, które zdecydowały o dalszych losach naszego regionu. Złoto nawiązuje do potencjału drzemącego w tej ziemi, ukrytego nie tylko w „czarnym złocie”, ale przede wszystkim w tutejszych ludziach i kulturze. Orzeł zamknięty w symbolu serca nawiązuje do godła województwa, a zarazem do siły i męstwa powstańców. W projekcie wykorzystano zdjęcia pochodzące ze zbiorów: Muzeum Historii Katowic, Muzeum Powstań Śląskich w Świętochłowicach, Muzeum Śląskiego w Katowicach oraz Narodowego Archiwum Cyfrowego. Wybrane zdjęcia obrazują zarówno różnorodność mieszkańców Górnego Śląska, jak i działania powstańcze, dzięki czemu został nakreślony obraz regionu w okresie międzywojnia.

KATOWICE. Złote tło i wyjątkowa oprawa graficzna, z ikonami śląskiej historii na czele. Pasażerowie Kolei Śląskich mogą podróżować pociągiem nawiązującym do stulecia wybuchu Powstań Śląskich. Ten wyjątkowy pociąg został zaprezentowany na katowickim dworcu. W uroczystej prezentacji uczestniczył prezes Rady Ministrów Mateusz Morawiecki, województwo śląskie reprezentował marszałek Jakub Chelstowski. W pierwszy kurs „Powstaniec Śląski” wyruszył z Katowic do Tychów. „Powstaniec Śląski” wyróżnia się wyjątkową stylistyką i oprawą graficzną – ze złotego tła na podróżnych spoglądają m.in. uczestnicy katowickiej defilady z 1922 roku, kobiety w tradycyjnych ludowych strojach, ale również ikony śląskiej historii: Wojciech Korfanty, Józef Rymer, Alfons Zgrzebnik i Michał Grażyński. „Powstaniec Śląski” to inicjatywa marszałka województwa śląskiego Jakuba Chelstowskiego nawiązująca do obchodzonego w regionie jubileuszu 100-lecia Powstań Śląskich. Spośród floty Kolei Śląskich wybrany został pociąg typu EN76-009, czyli czteroczłonowy Elf pierwszej generacji. Przejazdy pociągu zostały tak rozplanowane, by szansę na jego zobaczenie mieli podróżni z niemal wszystkich linii. „Powstaniec Śląski” będzie kursował po regionie także w kolejnych latach, przypominając w ten sposób o tym niezwykle istotnym wydarzeniu w historii naszego regionu. Autorem koncepcji dla identyfikacji wizualnej pociągu jest zespół instytucji kultury Ars Cameralis i Marta Gawin. Na pociągu umieszczono 26 sylwetek powstańców, postaci historycznych oraz przedstawicieli grup społecznych charakterystycznych dla okresu międzywojnia. Znajdziemy wśród nich mieszkańców Górnego Śląska pozujących w śląskich strojach, babcię z wnuczkami podczas pielgrzymki do Piekar Śląskich, mężczyznę z lamą prezentującego męski strój śląski czy młodą dziewczynę w mirtowym wianku, ubraną w odświętny strój zakładany podczas uroczystości Bożego Ciała. Nie zabrakło nawiązania do plebiscytu, który odbył się na Górnym Śląsku w marcu 1921 roku – symbolizują go m.in. mężczyźni niosący urny i pracownik Polskiego Komisariatu Plebiscytowego. Wykorzystane zdjęcia pochodzą ze zbiorów Muzeum Powstań Śląskich w Świętochłowicach, Muzeum Śląskiego w Katowicach oraz Narodowego Archiwum Cyfrowego. Wszystkie sylwetki są ponadnaturalnej wielkości, a grafika zdjęć została wykonana przy użyciu nieregularnego wielokąta przypominającego kształtem bryłę węgla. Postaciom nadano dwukolorowy, czerwono-czarny gradient przywodzący na myśl zarówno barwy narodowe, jak i przelaną przez powstańców krew. Z kolei kolor złoty został wybrany, aby podkreślić znaczenie Powstań Śląskich i zwycięstwa, którym było ostateczne połączenie Górnego Śląska z odrodzoną Polską.

Tablica pamiątkowa

STRUMIEŃ Od złożenia kwiatów pod tablicą pamiątkową rozpoczęły się obchody 100. rocznicy I Powstania Śląskiego w Strumieniu. W uroczystości wzięła udział członka Zarządu Województwa Śląskiego Beata Białowąs. Tablica pamiątkowa, pod którą odczytano apel pamięci, umieszczona została na budynku, w którym w lipcu i sierpniu 1919 roku kwaterowało Główne Dowództwo POW Górnego Śląska. Stąd również nadany sygnał do rozpoczęcia walk. Dzieje Powstań Śląskich w ich lokalnym kontekście przypomniał historyk Wojciech Kielkowski, który wygłosił prelekcję pt „Powstania Śląskie 1919–1921. Mieszkańcy ziemi Strumińskiej wobec powstańczych zrywów na Górnym Śląsku”. Organizatorzy obchodów przewidzieli także rozstrzygnięcie konkursów plastycznego, ortograficznego i recytatorskiego, w których brali udział uczniowie szkół z terenu gminy Strumień. Całości towarzyszyły wstępy młodzieży, m.in. chóru szkolnego Canzonetta. Jako moment kulminacyjny obchodów zaplanowano popołudniowy koncert Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” im. Stanisława Hadyny. Honorowy patronat nad wydarzeniem objął Marszałek Województwa Śląskiego Jakub Chelstowski. ■

Już w lutym na oficjalnym instagramowym profilu pojawiła się identyfikacja wizualna tegorocznej edycji konkursu Ars Independent. Jeden ze sztandarowych festiwalu Miasta Ogrodów zapoczątkował tym samym akcją, która w okolicach września przyjęła charakter zmasowanej kampanii w mediach społecznościowych. W sumie to nic nowego – AIF zdążył nas w ubiegłych latach przygotować do zmiany formatu: klasyczna narracja filmowa przestała dominować w programie, a sam festiwal zaczął się otwierać na nowoczesne formy (audio) wizualne, na technologię, intermedialność i interdyscyplinarność.

W tym roku zabrakło nie tylko powtórek – przez co program, maksymalnie skompresowany, wielu z nas wykluczył z uczestnictwa w większości wydarzeń – zabrakło również miejsca na przeglądy autorskie (w przeszłości mogliśmy cieszyć się powtórkami z Szulkina, Kawalerowicza, Barczyka, Dworskiego), Out of Competition czy Miasto Muzyki. Rozumiem, więcej się nie dało upchnąć w czterech dniach festiwalu (wyłączywszy dzień inauguracji i dzień finałowy, AIF trwał właśnie cztery dni). Rozumiem, że są lata tłuste i chude, a w tym roku trafiliśmy właśnie na to drugie. AIF też nas do tej fluktuacji i sinusoidy zdążył przyzwyczać.

Identyfikacja wizualna przeniosła nas w nieco już odległe rejony PRL-u i papieru pakowego. Nie tylko jotpęgi w mediach i internetach tak wyglądały, książeczki z programem, przypominające najbardziej zgrzebne notesy z lat osiemdziesiątych i ziny – fizyczne wersje wirtualnej platformy komunikacyjnej #KronikaKonika również zostały zaprojektowane w kartonowym, papierowo-pakowym stylu. Niejedna nostalgiczna łza się zakręciła w oku, tym bardziej że festiwalowe hasło – *Unsubscribe* – również nawiązywało do tamtej, jeszcze zdecentralizowanej i anonimowej (w sieci) epoki. Do internetu końca lat '90 „zatomizowanego w niewielkich kanałach”, dalekiego od dzisiejszej specyfiki tego medium – przeladowanego informacjami, zmonopolizowanego i moderowanego niemal na każdym szczeblu (poza darknetem). Ktoś jeszcze dopisał – *unsubscribe* to sugestia, że nie wszystko musi się nam podobać, że my też przestajemy się na pewne rzeczy oglądać. Ale to przecież niż dziwnego. Festiwal od samego początku wyznaczał swój własny kierunek, nie oglądał się na mejnstrim, to zawsze było – jak powtarzają jego wierni mieszkańcy – święto „chodzących po zmroku” i „myślących inaczej”.

Ludzie z planety Ars już w samej inauguracji postanowili zaakcentować dwa najważniejsze wątki tegorocznej edycji. Koncert *Love&Revenge*, który w finale przerósł wszelkie oczekiwania i przełamał granice między sceną a widownią, zaszerwował elektroniczną muzyczną ilustrację do arabskiego kina lat 40. ubiegłego wieku. Jeśli się wypisywać z nierzeczywistości



AIF 2019, day 1

Planeta Ars

IX Ars Independent

RADOSŁAW KOBIERSKI

i interfejsów, to na całego (w każdym razie „prawie na całego”, w końcu wszyscy mamy w kieszeniach te swoje smartfony i jesteśmy pologowani, Bóg wie gdzie), najlepiej od razu w objęcia, uściski, miłosne iluminacje, nawet jeśli z dzisiejszej perspektywy tchną trochę kiczem, pachnącym czarną brylantyną i obsypują się tonami pudru. Tak, prócz konkursów głównych, *ForePlay*ów, *Sound&Vision* przeżyliśmy w tym roku prawdziwe bombardowanie tematem miłosnym. *Love&Revenge* przeniósł nas mocno na wschód, w krainę która już na wschodzie nie istnieje (temat miłosny został totalnie wyparty przez islamskich radykałów), z kolei *Miłość jest wszystkim: 100 lat podrywku* dokumentalistki Kim Longinotto i Richarda Hawleya (muzyka) okazał się sprawnym found footagem brytyjskiej kinematografii, nostalgiczną podróżą przez historię tego kina od pierwszego heteropocafunku zarejestrowanego na taśmie filmowej po homoerotyzm wysadzający w powietrze kodeks Haysa.

Na tych, którym było mało afektów i intymności, czekał pokaz sześcioletnich filmów w panelu, którego tytuł został zaczerpnięty ze słynnego filmu Anga Lee z 2007 roku *Ostrożnie, pożądanie* (nowe danie serwowane na planecie Ars – krótki metraż – mam nadzieję, stale zagości w repertuarze festiwalu) oraz zdobywca tegorocznego Czarnego Konia za pełny metraż *Nóż+serce* Yanna Gonzalesa. *Miłość* zresztą przeciekała przez własny blok tematyczny do *ForePlay* (np. Larry 7 *Miłość na fali*) do klipów z *Chocked&Blind* vol. 3, do niektórych animacji, pulsowała gdzieś w tle niemal każdego obrazu fil-

mowego startującego w konkursie głównym. Na planecie Ars nigdy nie serwuje się wyciskaczy łez, żadnych romanseid, nawet nakręconych na nucie najwyższej. Przeważnie oglądamy tu kino trudne, odarte z wszelkich złudzeń, medytujące nad złożonością ludzkich emocji. Ani *Jasmin Mozaffari* i jej kanadyjski debiut *Firecrackers*, ani Tom Cullen (pamiętamy go z wybitnego filmu *Całkiem inny weekend*) również ze swoim debiutem *Pink Wall* ani Kim Bo-ra w *Gnieździe kolibra* nie zajmują się tworzeniem tanich historii, dalecy są od formalizmu i stylizacji, kręcą swoje antybaśnie, z chirurgiczną precyzją analizują współczesne mity i stereotypy – od dalekiej Kanady po jeszcze dalszą Koreę Południową – i ukazują uwiecznionych, miotających się w nich bohaterów. Portretują ich z niezwykłą czułością, starannością i empatią – czy są to nastolatki, którzy muszą odnaleźć się w obojętnym świecie dorosłych, czy dorośli, którzy po latach uczą się komunikacji od początku. Coś jest w tym kinie niezależnym czystego, pierwotnego (w najlepszym tego słowa znaczeniu), niemanierycznego. Coś bardzo podmiotowego i *unsubscribe*. Trafiłem ostatnie dwa lata, głosując na *Old Stone* Johny Ma i *Posmak Tuszu* Morgana Simona. Tym razem wygrał autor prezentowanych już na AIF *Spotkań po północy* Yann Gonzales. Nie ulega jednak dla mnie wątpliwości, że każde z wyżej wymienionych dzieł w równej mierze zasługiwało na Czarnego Konia. I to najlepiej świadczy o rosnącym prestiżu i poziomie tego festiwalu. ■



AIF 2019, day 1. Fot. Tymoteusz Staniek.



